

**KATE HOFFMANN**  
**ŻONA DLA**  
**KAWALERA**

Scandalous

## Lokatorzy Bachelor Arms

**Ken Amberson** - nieco zdziwaczały administrator, który zna więcej anegdot związanych z Bachelor Arms, niż się do tego przyznaje.

**Josh Banks** - silny, małomówny mężczyzna, finansowy czarodziej, który czuje się bezpieczniej w towarzystwie liczb aniżeli kobiet.

**Eddie Cassidy** - barman „U Flynnna”, a także scenarzysta, który czeka na swój wielki dzień.

**Jill Foyle** - seksowna projektantka Wnętrz. Świeżo po rozwodzie. Przeniosła się do Los Angeles, aby rozpocząć nowe życie.

**Tru Hallihan** - prywatny detektyw, który woli żyć w pojedynkę. Szybko zdobywa kobiety i równie szybko je porzuca.

**Natasza Kuryan** - podstarzała *femme fatale*, z pochodzenia Rosjanka. Ongiś charakterizatorką gwiazd filmowych.

**Garrett McCabe** - zaprzysięgły kawaler. W pewnej gazecie prowadzi stałą rubrykę wychwalającą zalety samotnego życia.

**Brenda Muir** - młoda entuzjastka. Marzy o karierze aktorki, a na razie zarabia na życie jako kelnerka.

**Bobbie-Sue O'Hara** - najlepsza przyjaciółka Brendy. Pracuje jako początkująca aktorka i kelnerka, lecz wie, że prawdziwą władzę ma ten, kto stoi z drugiej strony kamery.

**Bob Robinson** - óma barowa. Przesiaduje „U Flynnna” dzień i noc. Ma własne zdanie ó wszystkim i wszystkich.

**Theodore „Teddy” Smith** - miejscowy donżuan. Każda świeżo poznana kobieta wywołuje błysk w jego oku.

scandalous

## ROZDZIAŁ

# 1

- Osiemnasta trzydzieści siedem. Obiekt opuszcza biurowiec w towarzystwie kobiety. Włosy ciemne, wzrost około 165 centymetrów... aha, zgrabne nogi... ubrana w beżowy kostium, niesie skórzaną teczkę.

Nie odrywając oczu od opisywanej pary, Tru Hallihan odłożył dyktafon i podniósł z siedzenia samochodu aparat fotograficzny. Wkręcił teleobiektyw i ustawił ostrość. Nacisnął spust. Zrobił serię zdjęć.

- Jakiego kociaka masz dziś na tapecie, Ellis? - mruknął, kierując obiektyw na kobietę. - A to ci heca! Widzieliśmy się już, prawda? Nasza tajemnicza dama wraca w kolejnej odsłonie. - Pstryknął jeszcze pięć zdjęć. - Jak ci na imię, kochanie? Jesteś kłopotliwym sekrecikiem Ellisa?

Twarz Ellisa Stone'a znów pojawiła się w kadrze. Jeszcze jeden „hollywoodzki złoty chłopak” - pasma rozjaśnionych słońcem włosów, wspaniała opalenizna, eleganckie ubranie.

- Typowe - stwierdził Tru półgłosem.

Kobieta nadstawiła policzek do niewinnego pocałunku.

Aparat zaterkotał, a Tru czekał z nadzieją na coś bardziej nieprzyzwoitego. Nastawił ostrość i nie wypuszczał kobiety z kadru.

Po Stonie absolutnie nie spodziewał się znajomości z kobietą tej klasy. Doświadczenie nauczyło go, że większość robiących karierę producentów hollywoodzkich woli młode, niezbyt bystre infantylne blondynki o nadnaturalnym biuście. Ta; kobieta wyglądała na subtelnie wyrafinowaną. Nienaganny makijaż, prosta fryzura, kostium dobrej marki świadczyły o pewności siebie i inteligencji.

- Masz klasę, kochanie. Po co włączysz się z żonatym mężczyzną?

Odkąd przed tygodniem zajął się sprawą, już trzeci raz przyłapał ich razem, a każde spotkanie odbywało się po godzinach pracy w pustym biurze Stone'a.

Gdyby był początkującym detektywem, prawdopodobnie uznałby kobietę za współpracowniczkę Stone'a. Tru Hallihan śledził jednak zbyt wielu niewiernych małżonków (i sfotografował więcej cudzych schadzek, niż odbył własnych), by uznawać kogokolwiek za niewinnego.

Para rozmawiała dalej, stojąc na chodniku w bezpiecznej odległości od siebie. Kobieta sprawiała wrażenie zdenerwowanej. Raz po raz oglądała się przez ramię.

- No, szybciej - szepnął zirytowany Tru. - Dajcie mi coś, co będę mógł wykorzystać;

Chociaż sprawy rozwodowe przynosiły jego agencji detektywistycznej przyzwoite dochody, nie należały do ulubionych zajęć Hallihana. Niestety - sytuacja finansowa nie pozwalała mu na przebieranie w zleceniach; Zalegał z czynszem za ostatni miesiąc, w poprzednim tygodniu odcięto mu prąd, a samochód, z którego był dumny (cadillac,

rocznik 1957), tkwił w warsztacie jako zastaw za koszty remontu. Właściwie Tru nie był bankrutem. Uzbierał sporą sumkę. Na nieszczęście zainwestował ją w całości w przedsięwzięcie o wysokim stopniu ryzyka. Tak więc przyszłość jawiła mu się w ponurych barwach - do chwili gdy przed siedmioma dniami zadzwonił Simon Marshall.

Propozycja wyglądała zbyt interesująco, by z niej nie skorzystać. Miał zebrać dowody przeciwko zięciowi Marshalla, producentowi telewizyjnemu Ellisowi Stone'owi, czyli złapać go na gorącym uczynku. Za udowodnienie zdrady małżeńskiej Tru dostałby dwadzieścia tysięcy dolarów-pięciokrotność swojej zwykłej gaży, oraz dodatkowy stały zarobek za konwojowanie co miesiąc przewozu pensji dla pracowników Marshalla. Dzięki temu zleceniu Tru mógłby postawić firmę na nogi, wynająć lepszy lokal na biuro i zatrudnić sekretarkę. Wciągnąłby też na listę swoich klientów znane nazwisko, co ułatwiłoby mu dostęp do następnych szacownych zleceniodawców.

To plusy propozycji Marshalla. Miała ona i minus. Gdyby nie odkrył niczego, nie dostałby ani grosza. Po siedmiu dniach stałej obserwacji Ellisa nie znalazł niczego kompromitującego. Marshallowi nie brakowało arogancji. Facet nie zostałby multimilionerem, gdyby płacił za cokolwiek z góry. Hallihan był zaś w głębi duszy hazardzistą, a poza tym niezłym detektywem od spraw rozwodowych. Jeśli Ellis miał coś na sumieniu, Tru odkryje to prędzej czy później. Mając dowód w rękę, Marshall pozbędzie się zięcia trwoniącego fortunę córki.

Tru opuścił aparat, bo obserwowane osoby rozeszły się w przeciwne strony. Przez chwilę zamierzał śledzić kobietę, lecz przecież nie tajemnicza dama, ale Ellis stanowił cel

detektywa. Jeśli miał z nią romans, dama jeszcze pojawi się na horyzoncie.

Przeszła przez jezdnię i wskoczyła do białego BMW. Nie zdążył spisać numeru z tablicy rejestracyjnej ani zrobić zdjęcia samochodu. W takiej sytuacji na nic zdałyby się nawet znajomości w wydziale komunikacji. Znał przecież tylko markę i model auta.

Zaczekał, aż Ellis wyjedzie z parkingu, i ruszył za nim, utrzymując bezpieczną odległość. Po półgodzinie Stone zatrzymał się przed modną restauracją, wysiadł z samochodu i rzucił kluczyki portierowi; Tru znalazł miejsce do zaparkowania po drugiej stronie ulicy i postanowił tam czekać. Gdyby miał na sobie ubranie lepsze niż dżinsy i podkoszulek, może wszedłby do środka na drinka i rzut oka, nie chciał jednak ryzykować, że ktoś go zobaczy. Na razie nie. Sięgnął na tylne siedzenie po paczkę czipsów i ciepłąwą colę. Musiał się zadowolić takim obiadem.

Po godzinie nuda stała się nie do zniesienia. Przekręcił kluczyk w stacyjce i włączył radio. Mógł sobie pozwolić na piętnaście minut rozrywki, zanim wyczerpie się akumulator w służbowym samochodzie. Chociaż jego wysłużony wóz był nieoceniony przy śledzeniu „obiektów”, jako zwykły środek transportu był zaledwie oczko lepszy niż rower.

Tęsknił za swoim cadillakiem, za prądem elektrycznym i poranną gorącą kawą, za gotówką w portfelu. Miał trzydzieści pięć lat, a prześlizgiwał się przez życie jak młodzieniaszek. Kiedyś bardzo mu to odpowiadało, lecz teraz pragnął czegoś więcej.

- Cholera, za stary jestem na takie rzeczy - mruknął, kręcąc gałkami radia.

„Dobry wieczór, Los Angeles. Słuchacie KTRL, roz-

głośni rozmawiającej na żywo ze słuchaczami. A oto audycja «Małżeństwo doskonałe», którą prowadzi doktor Carly Lovelace. Dziś rozmawiamy o ciele. Dodzwoniła się następną słuchaczka, Alice z Pomony. Jesteś na antenie, Alice".

„Pani doktor, lubię mówić do męża, kiedy się kochamy, lecz bez względu na to, co mówię, on odpowiada mi tylko jęczeniem i stękaniem. Czy coś robię źle?"

Tru uśmiechnął się i głośniej nastawił radio. Bąknął pod nosem:

- Według mnie wszystko w porządku, kochanie. Uwielbiam, kiedy gadasz do mnie świństwa.

„Alice, nie robisz nic złego; Chodzi tu o konflikt lewej i prawej półkuli mózgowej. Czy próbowałaś kiedykolwiek rozmawiać z mężem, kiedy ogląda mecz koszykówki lub naprawia cieknący kran? Umysł mężczyzny jest wyspecjalizowany. Prawa strona kontroluje działanie, a lewa - mowę. W przeciwieństwie do kobiet, które potrafią jednocześnie wypowiadać się i wykonywać różne czynności, mężczyźni zazwyczaj nie umieją wykorzystywać jednocześnie obu półkul mózgowych. Łatwo się rozprasza, zwłaszcza podejmując zadanie tak skomplikowane jak stosunek płciowy. Jeśli szukasz rozmowy, przypuszczalnie musisz siępożegnać z działaniem, ale jeśli oczekujesz działania, lepiej zapomnij o rozmowie. Proponuję, abyś otwarcie przedyskutowała ten problem ze swoim partnerem. Jeśli ty lubisz mówić, a to go nie rozprasza, nie ma problemu. Nie oczekuj jednak odpowiedzi. Po prostu baw się dobrze i okazuj wyrozumiałość".

Nawet w kiepskim radiu samochodowym głos terapeutki brzmiał urzekająco, głęboko, matowo. Palec Tru zamarł na gałce strojenia. Nie zmienił stacji. Kiedy rozmowa ze



słuchaczami zeszła na jeszcze bardziej intymne tematy, Tru rozparł się na siedzeniu i zamknął oczy. Słuchanie rad terapeutki było jak uprawianie seksu przez telefon z doktorem filozofii.

Zawsze inteligencja działała na niego silniej niż zgrabne ciało czy piękna twarz. Niestety, kobiety z głową na karku zwykle szukały czegoś więcej, niż Tru chciał im dać. Wysoki iloraz inteligencji oraz przelotny związek - te dwie sprawy wydawały się nie do pogodzenia. Tak więc poprzestawał na pięknie fizycznym. Było to znacznie bezpieczniejsze rozwiązanie.

Zasłuchany w radiowe porady pani doktor Lovelace, Tru omal nie przegapił odjazdu Ellisa. Producent wyszedł z restauracji o dwudziestej dwadzieścia sześć. Tru ruszył za czarnym mercedesem przez Beverly Hills w stronę Bel Air. W połowie drogi zrezygnował, Stone jechał do domu. Tru zamierzał zaś jak co wtorek spędzić wieczór z kolegami „U Flynna”, przy pokerze. Jazdę umilała mu doktor Lovelace. Tru nie wsłuchiwał się w jej słowa, lecz chłonał hipnotyzujący ton głosu.

- Widzieć jak rentgen-stwierdził Garrett McCabe. -  
W ten sposób mógłbym zaglądać kobietom pod ubrania.

— A ja chciałbym umieć latać - oświadczył Eddie. -  
Zaoszczędziłbym na biletach lotniczych.

Tru przystawił sobie krzesło i wypowiedział sakramentalne:

- Wchodzę do gry.

Rozejrzał się po lokalu „U Flynna”, nazwanym tak na cześć gwiazdora filmów przygodowych. Modny biało-  
czarny wystrój, ciemne drewno, egzotyczne rośliny, a na

ścianach plakaty z filmów z Flynnem i innymi śmiałkami, którzy dawno temu mieszkali w pobliskiej willi Bachelor Arms. Bar, jak zwykle, okupował tłumek, lecz w sali na zapleczu oprócz kolegów Hallihana było tylko dwóch bilardzistów.

- Ary, Josh? - spytał Bob Robinson. - Jaka cudowną moc chciałbyś posiadać?

Josh Banks podniósł wzrok znad wachlarzyka kart i zmrużył oczy za okularami w tradycyjnej metalowej oprawce.

- Słucham?

- Supermoc - powtórzył Bob: -Wybieraj.

Josh zmarszczył czoło.

- Rosja?

- Ja też nie bardzo chwytam - odezwał się Tru. - O czym dziś rozmawiamy?

- Zaczęło się od Boba - wyjaśnił Eddie Cassidy. - Powiedział, że wolałby być Batmanem niż Supermanem. Wtedy Garrett spytał, jaką cudowną moc wybralibyśmy, gdyby istniała taka możliwość. Bob chce być supersiłaczem, Garrett mieć oczy jak promienie rentgenowskie. Josh chce dysponować siłą Rosji. Sądzę, że nie zrozumiał, o jaką cudowną moc nam chodzi.

Tru, Garrett i Josh, lokatorzy, sąsiedniej willi, Bachelor Arms, poznali się w miejscowej pralni. Regularne spotkania przy praniu zamieniły się we wtorkowe wieczory przy pokerze „U Flynnna”. Eddie Cassidy, barman o ambicjach scenarzysty, zazwyczaj dołączał do nich i stawiał kolejkę. Stały bywalec baru Bob Robinson również często grał z nimi w karty.

- A więc co wybierasz, Tru? - nalegał Bob.

Tru długo namyślał się nad odpowiedzią.

- Chciałbym móc stawać się niewidzialnym.
- Umiejętność bardzo przydatna dla prywatnego detektywa - przyznał Bob.

Tru uśmiechnął się i potrząsnął głową. Nigdy nie przedstawiała go zadziwiać różnorodność tematów, które omawiali we wtorkowe wieczory - od polityki do sportu, od teorii naukowych do bohaterów masowej wyobraźni. Raz spędzili całą noc, dyskutując nad składem i pochodzeniem kurzu domowego.

- Jak scenariusz, Eddie? - spytał Tru, gotów przejść do poważniejszych problemów. Pytanie należało do żelaznego repertuaru przyjacielskich spotkań. Odkąd Tru sięgał pamięcią, Eddie usiłował sprzedać scenariusz i czekał na swój wielki dzień, a jego żona ledwie wiązała koniec z końcem. Przyjście na świat dziecka nie poprawiło ich sytuacji materialnej, lecz wydawali się szczęśliwi.

- Nie pytaj. Sprawa z Carillon Productions jest nieaktualna. Teraz scenariusz leży u agenta z TLC. To mała firma specjalizująca się w romantycznych komediach. W ciągu sześciu miesięcy dwukrotnie zmienili tytuł i zaproponowali trzy duże poprawki. Podobno ktoś zainteresował się tekstem, ale oficjalnie nic jeszcze nie słyszałem. Chciałbym już sprzedać tę cholerną historię. Natychmiast zrobiłbym użytek z gotówki.

- Nie martw się - poradził Garrett. - Czytałem ostatnią wersję. Jest dobra. Sprzeda się.

Skoro Garrett McCabe twierdził, że scenariusz Eddie'ego się sprzeda, Tru w to wierzył. Znany felietonista „Los Angeles Post” jak mało kto znał zwyczaje panujące w Los

Angeles. Stała rubryka „Nasza jest noc” opisywała z czysto męskiego punktu widzenia modę, skandale i patologię kalifornijskiego Miasta Aniołów.

- Dostaniesz tyle pieniędzy, Eddie, że będziesz musiał poprosić Josha o zarządzanie twoim majątkiem - dodał Garrett.

Josh znów podniósł wzrok znad kart,

- Słucham? - Okulary zjechały mu na czubek nosa, więc palcem wskazującym popchnął je na miejsce. - Mam licytować?

- Spokojnie, Josh. Powiemy ci, kiedy twoja kolej - zapewnił Tru.

Josh traktował grę w pokera bardzo poważnie, tak samo zresztą jak wszystko w życiu. Z zawodu doradca podatkowy, był geniuszem w dziedzinie liczb i zazwyczaj jeszcze przed rozdaniem kart znał swoje szanse na wygraną. Prowadził sprawy podatkowe nielicznej grupy klientów - hollywoodzkiej śmietanki. I chociaż wydawało się, że nie śledzi gry z uwagą, zawsze wracał do domu z okrągłą sumką wkieszeni.

- Czy wiecie, że Emporium daje przegląd filmów z Marilyn Monroe? „Dwadzieścia cztery godziny na dobę z Normą Jean”. Tak się naprawdę nazywała.

- Uwielbiam Marilyn Monroe - oświadczył Bob. - Ona miała najseksowniejszy głos w dziejach Hollywood. Cudowne brzmienie.

- Wiesz, kto ma seksowniejszy? - spytał Garrett. - Katharine Hepburn. Czapki z głów, bez dyskusji.

- Zawsze wolałem Audrey Hepburn niż Katharine - orzekł Eddie. - A co ty sądzisz, Tru? Najseksowniejszy głos w dziejach Hollywood?

- Carly Lovelace - odparł Tru bezwiednie i spostrzegł, że wszyscy się na niego gapią.

- Masz na myśli tę radiową terapeutkę od seksu?-odezwał się Bob.

- Od związków męsko-damskich - sprostował Eddie.  
- Doradczynię w sprawach małżeńskich. Moja żona nigdy nie omija jej programów.

- Słuchaj, chyba nikt nie wie, kim ona naprawdę jest.  
- Garrett rzucił dwa żetony na środek stołu, - Jej prawdziwe nazwisko to tajemnica najlepiej strzeżoną w Los Angeles.

- Żartujesz. - W Tru odezwał się instynkt detektywa.  
- Jak ktoś tego pokroju mógłby zachować anonimowość w mieście, w którym nie ma żadnych sekretów?

- Wymaga to pewnych wysiłków ale jest do zrobienia  
- odparł Garrett. - Krążą plotki, że ona w ogóle nie jest doktorem. Słyszałem nawet, że to wcale nie jest kobieta.

Tru uśmiechnął się szeroko. W uszach zabrzmiał mu znów urzekający głos. Jego właścicielka zrobiłaby furorę w każdej -Party line"

Rozparł się wygodnie na krześle i skrzyżował wyciągnięte przed siebie nogi. Poczował nagle nieprzewartą chęć, by ujrzeć twarz kryjącą się za zagadkowym głosem. Może za rozwikłanie tajemnicy wpadłoby parę dolarów do kieszeni?

- Założę się z wami, chłopaki, że dowiem się, kim naprawdę jest doktor Loyelace - oznajmił. -I to do naszego następnego spotkania we wtorek wieczorem.

- Nasz prywatny detektyw podjął wyzwanie! - Garrett klepnął go po ramieniu. - Trzymamy go za słowo!

- Zgoda - stwierdził Bob i wypił łyk piwa.

- Popieram - dodał Eddie.

Josh podniósł wzrok znad kart i zmarszczył czoło.

- Szanse przemawiają na naszą korzyść. Tru raczej przegra. Wchodzę w to.

- Dzięki za zaufanie - odrzekł ironicznie Hallihan.

- O co się zakładamy? - Garrett chciał doprowadzić sprawę do końca.

Po chwili namysłu Tru uśmiechnął się zadowolony.

- Jeśli ustalę tożsamość pani doktor Lovelace, zapłacicie kaucję za mojego cadiilaka. Nie oddadzą mi samochodu z warsztatu, dopóki nie ureguluję rachunku. Wypadnie po dwadzieścia pięć dolarów na głowę.

Rozejrzał się, a każdy z graczy wyraził spojrzeniem zgodę.

- A jeśli ty przegrasz? - spytał Josh.

- Nie przegram. Nikt w tym mieście nie ukryje się przed Tru Hallihanem. Za tydzień przekażę wam rewelacje.

- Ale jeśli przegrasz? - powtórzył Josh.

- W porządku. Jeśli przegram... przyjdę do baru „U Flynna” w piątkowy wieczór w samych spodenkach bokserskich.

- Zapłacę dwadzieścia pięć dolarów, żeby to zobaczyć - oświadczył Garrett. - Powiem też Brendzie i Bobbie-Sue. Dziewczyny będą zachwycone.

- A żeby uatrakcyjnić nasz zakład, obiecuję, że przedstawię wam prawdziwą doktor Lovelace przy następnym pokerze.

Tru wiedział, że niewiele kobiet potrafiłoby się oprzeć jego czarowi. Podejmował ryzyko, ale w granicach rozsądku. Jeśli kobieta okaże się niezamężna, może uda się namówić ją na randkę w przyszły wtorek i wstąpić na drinka do baru.

- W to już nie uwierzę - odezwał się Eddie. - Ona nigdy nie zgodzi się tu przyjść. Porwanie jest karane.

- Eddie, zapominasz, z kim rozmawiasz - zażartował

Tru.— Od kiedy to przejmuję się przepisami? Wcale nie zamierzam jej porwać. Przyjdzie tu z własnej nieprzymuszonej woli. Jeśli ją sprowadzę, ty, McCabe, zgodzisz się zapłacić mój rachunek za elektryczność. Jeśli mi się nie uda, stawiam wam piwo przy pokerze przez następne trzy miesiące.

- Umowa stoi - potwierdził Garrett.

Tfu wyłożył karty - parę asów. Boże, jak cudownie będzie odzyskać cadillaka. A kiedy włączą mu prąd, znów zacznie witać dzień filiżanką wymienionej kawy. Tak, dzięki doktor Lovelace życie Hallihana wróci do normy.

- Ful - oznajmił Josh, zgarniając stertę żetonów.

Tru sięgnął do portfela, lecz wiedział, że nie znajdzie tam pieniędzy na nowe żetony. Musiał szybko zdobyć gotówkę i wyjść na prostą. Musiał przyłapać Ellisa Stone'a na gorącym uczynku, a przede wszystkim odnaleźć kobietę kryjącą się za niesamowitym głosem - panią doktor Carly Lovelace.

. A więc znalazłaś nowe dochodowe zajęcie.

Doktor Caroline Leighton uniosła brwi i popatrzyła sceptycznie na kobietę siedzącą w malowniczej pozie na skórzanej kanapie. Niesforne rude włosy, przetykane fioletowymi pasemkami, spływały na watowane ramiona bluzki Aurory Starr. Żując gumę, przesuwała kciukiem po brzegu talii kart do tarota.

Zamyślona Caroline zmierzyła wzrokiem kosmyk własnych włosów, prostych do ramion, ciemnobrązowych. Na tle ekstrawaganckiej grzywy Aurory jej fryzura wydawała się bardzo skromna. Caroline miała mniej czasu, a i cierpliwości do zajmowania się włosami. W myślach dopisała do listy spraw do załatwienia: „fryzjer”.

- Zaczynasz mówić jak wróżka— uśmiechnęła się do Aurory.

- Wiedziałam, że tak powiesz - odparła Aurora, przyglądając się swoim purpurowym paznokciom. Zabrzczały bransoletki na rękach. - Przecież wiesz, że mam zdolności parapsychiczne.

- To ty tak twierdzisz - sprostowała Caroline.

Aurora Starr wynajmowała lokal naprzeciwko, na tym samym piętrze ekskluzywnego biurowca w Beverly Hills. Prowadziła najpopularniejszą w kraju „gorącą linię” horoskopów, zatrudniając czternaście wróżek, równie zwariowanych jak ona sama. Caroline poznała Aurorę przed rokiem, kiedy wpadła jak burza do jej gabinetu w porze lunchu z nowiną, że wykryła jakąś niszczącą energię psychiczną przenikającą przez ściany. Przed końcem przerwy obiadowej znała już wszystkie szczegóły małżeństwa i rozwoju Caroline. Od tego pierwszego spotkania często składała sąsiadce niespodziewane wizyty, zazwyczaj przynosząc wieści o złych wibracjach lub wyprzedaży butów w domu towarowym.

Aurora położyła się na brzuchu i wbiła zaciekawiony wzrok w Caroline.

- Co jest nie tak, Carly? Wydajesz się przepracowana. Czuję w tym pokoju paskudną aurę.

- Nie nazywaj mnie tak! Nie powinnam ci nigdy wspominać o doktor Lovelace.

- Ależ nie wspomniałaś ani słowem, Caro! Sama to wyczułam, pamiętasz? A teraz czuję, że coś cię niepokoi. Zdradź Aurorze parę pikantnych szczegółów...

- Co? - fuknęła Caroline. - Nie potrafisz sama ich odkryć?



Aurora westchnęła dramatycznie i usiadła.

- Nie potrafię uruchomić swoich mocy ot tak, po prostu, jak się przekręca kurek w kuchni. Poza tym jestem wyczerpana i nie potrafiłabym się teraz skoncentrować. Tak więc odpuść mi, dobrze? - Odrzuciła włosy na plecy. Nie spuszczała z Caroline niewiarygodnie lawendowych oczu. - Wyrzuć to z siebie, Caro, zanim stracę cierpliwość.

Zrezygnowana Caroline osunęła się na oparcie krzesła.

- Zgoda, ale nie chcę, abyś dzieliła się z kimkolwiek tymi informacjami. - Zaczekała, aż Aurora kiwnie głową potakująco. - Rozmawiałam o możliwości przekształcenia mojego programu radiowego w telewizyjne *talk show*. Pomysł wyszedł od Ellisa Stone'a, producenta. Powiedziałam mu, że jestem zainteresowana.

- Wspaniale, Caro! Wyobraź sobie tylko, ty jako gospodyni *talk show*! Oczywiście będziesz robiła programy na temat parapsychologii.

Caroline potrząsnęła głową.

- Odstąpimy od tradycyjnej formuły *talk show*. Program będzie trwał godzinę i zaproszę tylko jedną parę. Każdy z małżonków usiadzie w kabinie dźwiękoszczelnej i przedstawi własny punkt widzenia na problemy w ich małżeństwie. Potem usiądziemy razem w studiu. Zaproponuję pewne rozwiązania, a publiczność będzie mogła zadawać pytania i wyrażać własne opinie.

- To brzmi cudownie! Dlaczego więc promieniuje od ciebie negatywna energia?

- Stone organizuje w tę sobotę przyjęcie dla ludzi z branży telewizyjnej. Zostałam zaproszona jako gość honorowy.

Aurora puściła balona z gumy do żucia.

- Zapowiada się niezła zabawa. Rany, chętnie bym z to-

bą poszła, ale muszę zmienić kotu piasek. - Wzruszyła ramionami. - Poza tym na widok mężczyzn w garniturach boli mnie głowa. Wiesz, jony ujemne i szara flanela.

- Nie martw się, nie będziesz musiała zwalczać swojej awersji do butów na wysokim obcasie. Nie jesteś zaproszona.

- Cóż za łaska losu!

- Ale mój mąż jest. - Twarz Caroline wykrzywił grymas.

- Edward? Nie sądziłam, że ze sobą rozmawiacie.

- Nie Edward. Lance Lovelace. Mówię o ukochanym mężu, którego przywołuję podczas każdej audycji. Producenti oczekują ode mnie, że im przedstawię to ucieleśnienie wierności małżeńskiej.

- Powiedz im prawdę - zasugerowała Aurora.

- Nie mogę. Mam udzielać porad małżeńskich, podczas gdy z własnego małżeństwa uczyniłam ruinę? Wiem, że po świecie chodzi mnóstwo rozwiedzionych terapeutów, którzy nie tracą przez to wiarygodności. Ellis wydaje się jednak mieć obsesję na punkcie mojego szczęśliwego małżeństwa, a ja nie potrafię zdobyć się na prawdę. Nie chcę stracić wielkiej szansy, zanim będę mogła pokazać, na co mnie stać.

- Jesteś cudowną doradczynią. Uratowałaś wiele małżeństw,

- I mam teraz szansę dzięki temu programowi uratować ich jeszcze więcej. Nie mogę ryzykować wykrycia przez producentów, że opowiadam bajeczki na temat swego życia osobistego, aby lepiej wypaść w życiu zawodowym. - Westchnęła. - I po co wymyślałam postać Lance'a? A wszystko wydawało się takie proste: sama w studiu przed mikrofonem, a gdzieś w oddali setki niewidzialnych słuchaczy... Nikt nie wiedział, kim jestem. Audycja radioowa to rodzaj spektaklu.

- Powiedz, że Lance wyjechał w interesach.
- Już trzy razy uciekałam się do tej wymówki, a Ellis zmieniał termin spotkania — odrzekła Caroline. - Wcześniej czy później będę musiała albo przedstawić męża, albo wyznać prawdę. Zastanawiałam się nawet, czy wypożyczyłabyś mi Darrella na wieczór.

Aurora roześmiała się.

- Darrell jest wspianiałym mężem, ale absolutnie nie potrafi oszukiwać. I chyba na nic zdałaby się mu taka umiejętność, skoro poślubił osobę o zdolnościach parapsycho-cznych.

- Auroro, powiedz, co robić.

Twarz Aurory rozjaśniła się.

- Zwracasz się o poradę jak do specjalisty?

Caroline skinęła głową, nie do końca jednak przekonana, czy powinna zachęcać Aurorę do pomocy. Po dłuższej chwili wróżka wstała i podeszła do jej biurka.

- Wyczuwam, że znalazłaś się na rozstaju dróg. Musisz podjąć decyzję w bardzo skomplikowanej sytuacji. Kieruj się instynktem.

Typowa odpowiedź wróżki. Jak gdyby czytając w myślach przyjaciółki, Aurorą uśmiechnęła się przebiegle i ruszyła do wyjścia.

- Czy za takie przepowiednie płacą ci pięć dolarów za minutę? - spytała Caroline.

- Nie zapominaj, że pierwsza minuta jest za darmo. Dostajesz to, za co płacisz. A poza tym nie mam wpływu na niedowiarków - oświadczyła Aurora, zamykając drzwi.

Caroline zdjęła okulary, skrzyżowała ramiona i przechyliła głowę na oparcie fotela. Cóż za czort namówił ją kiedyś do przyjęcia pracy w radiu! Prowadziła świetnie prosperu-

jąca poradnię małżeńską w Beverly Hills, miała ekskluzywną klientelę, piękny gabinet -wszystko, o czym mogła marzyć trzydziestopięcioletnia kobieta z wysokimi aspiracjami zawodowymi.

Z początku odrzuciła radiową propozycję. Uważała, że brakuje jej przebojowości, otwartości, aby prowadzić interesujące rozmowy na antenie. Szefowie rozgłośni poprosili jednak, by spróbowała, bez żadnych zobowiązań.

Ku swemu zaskoczeniu stwierdziła, że w ciemnym studiu, ukryta za pseudonimem doktor Carly Lovelace, stała się osobą, jaką zawsze chciała być: błyskotliwą i dowcipną. Tak więc przyjęła tę pracę. Przecież klienci nie domyśla się związku" między Lovelace i Leighton. Czowała się bezpieczna. Do chwili gdy wytropił ją Ellis Stone i złożył kuszącą propozycję.

Mimo wszelkich uprzedzeń bardzo poważnie traktowała możliwości, jakie dałby jej program telewizyjny. Choć z radiosłuchaczami rozmawiała, lekko i dowcipnie, udzielała im porad pod każdym względem profesjonalnych. Za pośrednictwem telewizji mogłaby natomiast dotrzeć do par małżeńskich ze wszystkich zakątków kraju, których nie stać było na płacenie dwustu dolarów za godzinę terapii. Mogłaby im pomóc zrozumieć mechanizmy rządzące związkiem damsko-męskim oraz zachęcić do stawienia czoła problemom.

Nie mogła jednakże decydować się na karierę telewizyjną, zachowując jednocześnie praktykę prywatną. Radio ukrywało jej tożsamość, lecz w telewizji stałaby się osobą publiczną. Podniosła głowę i pomasowała pulsujące tęnym bólem skronie. Najlepiej gdyby zapomniała o telewizji. Nęcąca propozycja stawiała więcej pytań, niż Caroline znała odpowiedzi.

Jej rodzice; psychologowie cieszący się uznaniem w całym kraju, poczują się z pewnością zakłopotani. Koledzy będą zaszokowani, a potem okażą lekceważenie. Pacjenci po prostu uciekną. Poza tym Garoline nie wiedziała nawet, czy przed kamerami nie zje jej trema. No i trzeba będzie przedstawić tego fantastycznego męża, Lance'a Lovelace'a.

Zadzwonił telefon. Podniosła słuchawkę.

- Przyszli pacjenci zapisani na godzinę pierwszą, państwo Dorfmannowie - poinformowała recepcjonistka Janinę i ściszyła głos. — Już się kłóca. Usłyszałam ich krzyki, zanim weszli do budynku.

Caroline podziękowała i sięgnęła po torebkę. Popatrzyła na twarz odbitą w lusterku puderniczki, wetknęła kosmyk włosów w luźny węzeł na karku i jeszcze raz zerknęła badawczo w lusterko. Swoją profesjonalizm podkreślała oszczędnym makijażem, klasycznymi kostiumami kupowanymi w eleganckich butikach oraz chłodnym, beznamietnym zachowaniem.

Zatrzasnęła puderniczkę i westchnęła. To śmieszne, jak szybko znikął jej dystans wobec świata, kiedy w studiu radiowym zapalała się lampka „Nadajemy na żywo”. Stawała się wtedy jak gdyby inną osobą - taką, jaką byłaby, gdyby rozintelektualizowani rodzice nie tłumili jej naturalnej potrzeby popisywania się.

Jak czułaby się, stojąc przed publicznością w ogólnokrajowej telewizji, a potem na ulicy czy w sklepie warzywniczym, kiedy rozpoznawaliby ją przechodnie? W pewnym sensie taka perspektywa wydawała się interesująca. Może to szansa na poznanie tłumionej dotąd strony jej osobowości?

Chciała skorzystać z tej szansy. W myślach dołączyła

hasło „mąż” do listy spraw do załatwienia. Na pierwszym miejscu.

Tru stał w recepcji luksusowego biurowca. Recepcjonistka, Janine Reed, jak głosił identyfikator, uśmiechnęła się niespokojnie.

- Przyjmie mnie - zapewnił. - Proszę tylko powiedzieć, że przyszedł Tru Hallihan, prywatny detektyw. Mam z nią do omówienia sprawę prywatną.

Janine podniosła słuchawkę. Zabrzączał interkom w pobliskim gabinecie. I odpowiedział głos, niepowtarzalny głos.

- Doktor Leighton, jakiś prywatny detektyw do pani. Chce się z panią spotkać.

Głos w słuchawce zniżył się do szeptu. Janine zamieniła się w słuch.

- Nie - odpowiedziała. - On nie ma umówionego spotkania i nie chce powiedzieć, o co chodzi; Na dziewiątą są zapisani Bartonowie. Czy znajdzie pani teraz czas, czy zapisać go na kiedy indziej? .

- Zobaczę się z nim teraz. Wpuść go.

Tak, to ten głos! Zniknęły wszelkie wątpliwości. To na pewno doktor Lovelace. Dwa dni sprawdzania tropów prowadzących donikąd, czasu zmarnowanego na czarowanie sekretarek w rozgłośni oraz pieniędzy wydanych na łapówki dla personelu. Godziny czekania pod gmachem stacji KTRL po programie doktor Lovelace. I nic, żadnego śladu. Dopiero rozmowny goniec wspomniał o filii KTRL w Burbank. Jasne! Gdzież lepiej ukryto by największy skarb rozgłośni? Dwadzieścia dolarów łapówki dla strażnika parkingu i już znał numer na jej tablicy rejestracyjnej. A raniem poznał nazwi-

sko i adres domowy. Zajrzał jeszcze do książki telefonicznej, co zaprowadziło go do ekskluzywnego biurowca w Beverly Hills, Wskoczył do służbowego samochodu przekonany, że zobaczy Garoline Leighton. Powtarzał sobie, że chce po prostu wygrać zakład, lecz musiał również przyznać, iż pragnie poznać kobietę z cudownym głosem i sprawdzić, czy rzeczywistość odpowiada nader pociągającej wizji stworzonej przez jego wyobraźnię.

- Doktor Leighton zaraz pana przyjmie. Czy podać kawę lub coś do picia?

Uśmiechnął się uwodzicielsko.

- Kawa? Cudowny pomysł, Janine. Dziękuję.

Odpowiedziała zalotnym uśmiechem.

- Z cukrem i śmietanką?

- Bez niczego. I przynieś też filiżankę dla doktor Leighton. Chyba będzie potrzebowała kawy.

Wkroczył do gabinetu i stanął przed jej biurkiem. Nie podniosła wzroku, skupiona; na rozłożonych przed sobą papierach.

- Jeśli przyszedł pan tu po informacje, muszę uprzedzić, że moich pacjentów chroni tajemnica zawodowa - oświadczyła spokojnie, - Z Janine też pan nic nie wyciągnie.

- Nie po to tu jestem.

Zdjęła okulary, wstała i spojrzała mu prosto w oczy. Mrugnęła powiekami, nie mogąc wprost uwierzyć w to, co zobaczył. Niemożliwe, ale prawdziwe! Oto patrzył na piękną twarz tajemnicznej damy, na twarz, którą parę dni wcześniej widział w teleobiektywie aparatu fotograficznego, twarz kobiety, którą podejrzewał o romans z Ellisem Stone'em. Kobieta z krainy fantazji rozplynęła się nagle na jego oczach, a jej miejsce zajął kociak Ellisa Stone'a.

- Czy coś się stało? - spytała Caroline.
- Nie, nic takiego.
- Janine mówiła, że jest pan prywatnym detektywem.

Czy mogę zobaczyć jakąś legitymację?

Wyjął portfel z tylnej kieszeni spodni. Kobieta wyszła zza biurka, wzięła dokumenty i wycofała się na bezpieczną odległość. Otworzyła legitymację prywatnego detektywa i zmierzyła wzrokiem jej właściciela.

- Harry Truman Hallihan?
- Tak jak bohaterski prezydent USA, ulubieniec mojego dziadka. Przyjaciele nazywają mnie Tru.
- Czy może mi pan wyjawić powód swojej wizyty? Kto pana przysłał?
- Nikt. Przyszedłem z własnej inicjatywy. Muszę omówić z panią pewną ważną kwestię.
- Proszę siadać - wskazała parę krzeseł stojących po drugiej stronie biurka.

Tru zajął miejsce na obitym miękką skórą meblu i rozejrzał się. W porównaniu z jego maleńkim biurem cztery na cztery metry w West Hollywood gabinet Caroline wydawał się olbrzymi. Całą jedną ścianę pokrywały półki z książkami i kosztownymi bibelotami. Okna wychodziły na ulicę. Na ścianie za fotelem doktor Leighton wisały jeden przy drugim dyplomy i nagrody.

- Doradztwo małżeńskie to chyba dochodowy interes - mruknął pod nosem.

Zjawiła się Janine z kawą, a wychodząc obdarowała gościa zachęcającym uśmiechem, co nie umknęło uwagi Caroline. Twarz jej stężała.

Tru wypił łyk i odsłonił zęby w uśmiechu.

- Wspaniała kawa.



Kobieta splotła dłonie i obrzuciła go surowym spojrzeniem.

- Marnuje pan mój czas, panie Hallihan.

Tru skrzyżował nogi i w niedbałej pozie rozparł się na krześle. Była całkiem ładna, chociaż usilnie pracowała nad zatuszowaniem swojego seksapilu. Zastanawiał się, jak wyglądałaby z ciemnymi włosami rozpuszczonymi wokół twarzy, nie zaś upiętymi w kok niczym nauczycielka.

- Doskonale się orientuję, że nie należy pani do kobiet, które marnują czas. Dlatego przejdę do rzeczy. Wiem, że doktor Carly Lovelace to pani.

Przesunęła się nerwowo na fotelu. Nie była już zimna jak bryła lodu. W jej oczach przez chwilę Tru dostrzegł nawet obawę i bezbronność.

- I co z tego? - wybuehnęła. - Jaki użytek zamierza pan zrobić z tej informacji? Jeśli to szantaż, nie odniesie pan sukcesu.

Tru zawahał się. Czy szantaż doprowadziłby go do celu? Zrezygnował z tego wariantu. Na jego twarzy pojawił się wyraz zaskoczenia. W kontakcie z tą nader rozsądną kobietą więcej mogła zdziałać szczerłość.

- Ależ, Carly, za kogo pani mnie ma? Nigdy nie ważyłbym się pani szantażować! Chodzi o zakład przy pokerze.

- Zakład?! - wykrzyknęła, zrywając się z krzesła. - Zajmuje mi pan czas takimi bzdurami?! - Potrząsnęła głową z niesmakiem. - Mężczyźni! Daję słowo, że czasem wasz brak odpowiedzialności zwala mnie u nóg. Chodzi o głupi zakład?

Prysnęło opanowanie. Lodowatą obojętność zastąpił ognisty gniew. Szmaragdowe oczy napełniły się złością, a cera barwy kości słoniowej świetnie podkreślała ich kolor.

Coś kusiło Hallihana, aby wyciągnąć ramiona i utulić w nich ucieleśnioną wściekłość, ale zmienił zdanie.

- Jeśli ustalę, kim jest doktor Lovelace, odzyskam samochód.

Wyszła zza biurka, oparła się o jego krawędź i buntowniczo skrzyżowała ramiona.

- Chociaż chciałabym się dowiedzieć, co te dwie sprawy mają ze sobą wspólnego, myślę, że na tym skończymy. Będę wdzięczna, jeśli zachowa pan dla siebie wiedzę o tożsamości doktor Lovelace. Może pan już iść.

- W zasadzie jeszcze nie skończyliśmy. Muszę pani zrobić zdjęcie. Obiecałem to kolegom. - Wyciągnął z kieszeni miniaturowy aparat fotograficzny. - Proszę o uśmiech. - Pstryknął kilka zdjęć. Wyrwała mu aparat z ręki, wyciągnęła błonę i rzuciła Hallihanowi. Uśmiechnęła się przy tym przelotnie i tak zmysłowo, aż detektywowi przeszły ciarki po plecach.

- I co teraz? - spytał słodki, uwodzicielski głos.

Marszcząc brwi, Tru obejrzał aparat. Nie spodziewał się tak wojowniczej reakcji, a po sobie takiego niezdecydowania. Nie miał zapasowej rolki filmu. Zerknął na przeświealoną błonę, a potem na Caroline. Za fasadą opanowania krył się przeciwnik nieprzewidywalny i niemożliwy do sfotografowania.

A więc klops. Nic jednak nie tracił, brnąc dalej w tę sprawę.

- Jest jeszcze jeden problem. Obiecałem chłopakom, że przyprowadzę panią we wtorek wieczorem tam, gdzie zawsze gramy w pokera.

- Panie Hallihan - warknęła przez zaciśnięte zęby - chyba lepiej, żeby pan wyszedł, zanim...

Zadzwonił telefon. Gwałtownie podniosła słuchawkę. Przez chwilę słuchała bez słowa.

- Zgoda, połącz go - odezwała się wreszcie.

Tru zauważył nagłą zmianę nastroju Caroline. Irytację zastąpiła udawana radość. Uśmiechnięta kobieta przechadzała się tam i z powrotem za biurkiem, ściskając słuchawkę tak mocno, aż pobielewały jej kostki palców

- Cześć - zawołała. - Naprawdę dzwonicz z samolotu znad Kansas?... Tak, rozmawiałam z Lance'em o przyjęciu, ale nie sądzę, żeby mógł przyjść... Wyjeżdża w interesach... Innym razem? Nie, nie, Lance jest bardzo zajęty...

Wzrok detektywa wędrował po wiotkiej figurze terapeutki. Usiłował wyobrazić sobie ponętne szczegóły zamaskowane kostiumem o prostym, surowym kroju. Była wysoka i smukła. Tru zsunął się nieco z krzesła, aby spod biurka obejrzeć długie, zgrabne nogi. Właśnie nogi pociągały go w kobietach najbardziej, a Caroline Leighton miała nogi wspaniałe. Hallihana podniecały szczupłe kostki, słodka krągłość łydek, jedwabista skóra pod kolanami i długa, seksowna linia ud.

- Oczywiście, Lance marzy o poznaniu ciebie i jestem pewna, że...

Lance? Tm oderwał zachwycony wzrok od nóg Caroline. Kim, do diabła, był Lance? Wspólnikiem? Zerknął na lewą dłoń kobiety. Brak obrączki o niczym nie świadczył. W dzisiejszych czasach prywatny detektyw nie może polegać na obrączce jako niezbitym dowodzie stanu cywilnego. Lekka serdeczność w głosie terapeutki nasuwała przypuszczenie, że Lance to dla niej ktoś więcej niż przyjaciel. Tm zamyślił się. Nowy, interesujący trop. Czy w życiu Caroline Leighton istniał już jakiś mężczyzna?

- Lance - mruknął pod nosem. - Cóż za dziwne imię.

Caroline zasłoniła dłonią słuchawkę.

- Czy mógłby pan wyjść? To rozmowa prywatna.

- A mój zakład? - nie ustępował. - Ja naprawdę z przyjemnością jadałbym na śniadanie chrupiącą ryżową grzankę, lecz jeśli nie pokażę pani moim kolegom od pokera, będę musiał się pożegnać z opiekaczem.

Wpatrywała się w niego przez chwilę. Pokręciła głową i wróciła do rozmowy.

- Mam właśnie Lance'a na drugiej linii. Jeśli poczekaasz chwilkę, sprawdzę jego terminarz.

Przełączyła telefon; Oparła ręce na blacie biurka i spojrzała detektywowi prosto w oczy.

- Chce pan, żebym wystąpiła podczas wieczorku pokrowego?

Zaskoczony Tru kiwnął głową. Oczy Carołine patrzyły uważnie, zdecydowanie.

- Zgoda, przyjdę, ale pod jednym warunkiem.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

- Proszę mówić.

- W sobotę wieczorem będzie pan musiał towarzyszyć mi podczas przyjęcia.

Wzruszył ramionami.

- Zamiast Lance'a, tak? Jasne, mogę to zrobić. Żaden problem.

Powróciła do rozmowy telefonicznej.

- Tak, już jestem. Niespodzianka! Sobota pasuje nam obojgu. Przyjdziemy z Lance'em. Bardzo się cieszymy z tego spotkania. W porządku. Wkrótce porozmawiamy. Dowidzenia.

Powoli odłożyła słuchawkę i zamyślona spojrzała na Hallihana. Nie unikał jej wzroku.

- Trochę się w tym wszystkim zagubiłem. Dlaczego chce pani mnie zabrać na przyjęcie, skoro Lance też idzie?

Usiadła za biurkiem i pochyłona oparła łokcie o blat, składając palce jak do modlitwy.

- Panie Hallihan, przez jeden wieczór będzie pan udawał Lance'a.

- Mam wystąpić jako pani narzeczony?

Tru roześmiał się. Niesamowite! Nie do wiary! Przypuszczalna kochanka Ellisa Stone'a zaprasza go na randkę. Chociaż tym razem nie trafił jeszcze na kobietę swoich marzeń, Caroline zgodziła się mu pomóc w wygraniu zakładu. Cadillac wraca więc do właściciela. I włączą mu prąd. A co najważniejsze, znalazł kontakt z osobą, której śledzenie mogło mu przynieść honorarium w wysokości dwudziestu tysięcy dolarów.

Uśmiechnął się szeroko.

- Trudna praca, ale ktoś ją musi wykonać, prawda?

- Panie Hallihan, Lance nie jest moim narzeczonym. To mój mąż.

## ROZDZIAŁ

# 2

Caroline obserwowała Hallihana wiercącego się na krześle. Znała ten typ mężczyzny: intrygujący, zabójczo przystojny i unikający stałego związku z kobietą. Tacy nie chcą nigdy dorosnąć. Na sam dźwięk słowa „odpowiedzialność” zamieniają się w kłębek nerwów, a określenie „mąż” wywołuje u nich atak panicznego strachu; Dostrzegająca to w rozbieranym wzroku detektywa, którego instynkt wołał rozpaczliwie: „Natychmiast uciekaj”. Zastanawiała się, czy dokonała właściwego wyboru. Czy mężczyzna taki jak Tru Hallihan mógł w ogóle wypaść przekonująco w roli czułego i troskliwego męża? Teraz nie może jednak sobie pozwolić na kaprysy!

- Jesteś mężatką?

Rozparty swobodnie Tru podciągnął się na krześle i oparł łokcie na kolanach.

Skinęła szybko głową, pośpiesznie szukając w myślach sposobu na wyjaśnienie prawdy.

- I chcesz, żebym udawał twojego męża?

- Tak się umówiliśmy - odparła, przypatrując mu się badawczo.

Bez wątpienia miała do czynienia z bardzo uwodziciel-

skim mężczyzną i czuła, że wpadła w sidła jego magnetycznego uroku. Czarne jak noc, zmierzwione włosy i jednolity zarost nadawały mu nieco demoniczny wygląd. Różnił się od wszystkich gładkich, dobrze ułożonych ludzi sukcesu, którzy zazwyczaj ją pociągali. Wygnieciona Iniana marynarka kryła szerokie ramiona i wąskie biodra, sprężyste dzinsy opinały się na długich, muskularnych nogach. Jego siła, wygląd i inteligencja budziły zaufanie, jednocześnie było w nim jednak coś z małego chłopca.

- A co twój prawdziwy mąż myśli o tym wszystkim?

W orzechowych oczach Hallihana pojawiło się na chwilę niedowierzanie. Widać zwykle nie angażował się w znajomości z mężatkami. Caroline poczuła dziwne zadowolenie. Może drzemał w nim, jak to się często zdarza, utajony instynkt niepodzielności stadła małżeńskiego?

- Nie martw się o Lance'a. On nie ma zdania na żaden temat. Właściwie on po prostu nie istnieje.

Tru wybuchnął śmiechem i pokręcił głową. Caroline pomyślała, że ma bardzo miły uśmiech. W jego oczach roz błysły figlarne, czarcie ogniki. Pewnie wypróbował ten uśmiech na tylu kobietach, że zliczyć nie sposób.

- Przyjemnie powiedziane! - stwierdził z wyrzutem. - I jak kobiety mogą się dziwić, że mężczyźni tak niechętnie się żenią. Przecież to zabrzmiało tak, jakbyś większym uczuciem darzyła ten filodendron w kącie niż własnego męża!

Caroline wzięła głęboki oddech i ruszyła do ataku.

- Ja nie mam męża, panie Hallihan. Miałam, ale rozwiedliśmy się trzy lata temu. Lance to po prostu wytwór mojej wyobraźni, przykład, którego używam w audycjach radiowych, ideał troskliwego i czułego męża.

- Zaraz, wyjaśnijmy jedną sprawę. Lance nie istnieje, tak? Ty jednak chcesz, żebym udawał Lance'a?

- Jesteśmy oboje profesjonalistami. Pomyśl o tym jako o zleceniu od klienta. Od tego przyjęcia dużo zależy. Potrzebuję Lance'a, żeby zrobić dobre wrażenie. Natychmiast po przyjęciu może wrócić między bajki, gdzie jego miejsce.

- Dlaczego chcesz, żebyśmy udawali małżeństwo?

- Przenikliwy wzrok detektywa przewiercał Caroline na wskroś. Przystojna twarz rozjaśniła się powoli. Coś mu zaświtało. - Już wiem. Doradzasz innym małżeństwom, a własne zaprzepaściłaś,

- Niczego nie zaprzepaściłam. Nie układało się nam.

- Gdzie teraz jest Lance? Z sekretarką na Florydzie?

- Edward mieszka w San Francisco. Jest chirurgiem plastycznym.

- Aha. Ciało i rzeźnik. - Tru pokiwał głową z aprobatą.

- Więc komu przypadł jacht i dom w Malibu?

- Masz bardzo złe zdanie na temat małżeństwa. Może to jednak nie najgorsza instytucja?

- Mnóstwo moich zleceń dotyczy rozwodów i widzę, co małżeństwo potrafi zrobić z ludźmi. Dziś wyznajesz dozgonną miłość, a jutro walczysz jak lew o komplet kryształowych kieliszków czy ręczniki z monogramem... albo zaczynasz romansik na boku - dodał, unosząc ciemne brwi i patrząc badawczo.

- Nie wszystkie małżeństwa tak wyglądają! Niektórzy wierzą w ich trwałość.

- A ja nie - stwierdził chłodno.

- Sądzisz zatem, że nieprzekonująco zagrasz rolę Lance'a?



- Tego nie powiedziałem. Wiele razy udawałem kogoś innego. Prywatnym detektywom to się zdarza. Rola zakochanego męża to dla mnie nowe wyzwanie, lecz myślę, że sobie poradzę.

- Dobrze. Umowa stoi. Wieczorek pokerowy w zamian za przyjęcie. Chyba powinniśmy się spotkać, żeby omówić szczegóły. - Zajrzała do kalendarza na biurku. - Mogłabym znaleźć czas jutro rano. Masz biuro?

Tru rozejrzał się po eleganckim wnętrzu, porównując je z własną klitką.

- W zasadzie nie.

- W porządku. Spotkamy się zatem w twoim mieszkaniu. Poruszył się niespokojnie na krześle.

- U mnie? A dlaczego nie tutaj?

Garoline uznała to za typową reakcję. Mężczyźni sądzą, że lepiej mieć do czynienia z kobietami na ich własnym terenie. Jeśli coś nie wychodzi, zawsze mogą rzucić się do ucieczki. Cóż, nie zamierzała stracić kontroli nad ani jednym punktem umowy z Hallihanem.

- Nie. Najlepiej, jeśli umówimy się w twoim mieszkaniu— oświadczyła stanowczo. - Prasa przejawia niezdrowe zainteresowanie osobą doktor Lovelace. Nie chcę niepotrzebnie ryzykować. Skoro ty odkryłeś, moją tożsamość, każdy może to zrobić.

Tru nachmurzył się.

- Najpierw Josh, a teraz ty! Dlaczego wszyscy nagle wątpią w moje umiejętności?

- Wcale nie wątpię. Po prostu wolę być ostrożna.

- Nie sędzę, by moje mieszkanie.,,

- Daj mi tylko adres. - Położyła kartkę i pióro przed Hallihanem. - Rozumiem, że pragniesz zachować go w se-

krecie, nie należę jednak do otaczającego cię grona kobiet na jedną noc. Chodzi o interesy i kiedy zakończymy sprawę, nie będę wystawać pod twoimi drzwiami.

- Ależ to nie tak...

Zmroziła go wzrokiem. Uniósł brwi, chwycił za pióro i nabazgrał adres. Caroline wyciągnęła kartkę z dłoni Hallihana i sięgnęła po torebkę. Wyjęła z portfela dwa banknoty dwustudolarowe i wręczyła mężczyźnie.

- Co to jest?

- Musisz wypożyczyć smoking na przyjęcie. Załatwisz to przy Rodeo Drive w sklepie Aldus. Kosztuje słono. Zwrócisz mi resztę. Tylko sprawdź, czy smoking dobrze leży. Długość rękawów zawsze sprawia problemy, a ramiona...

- Wiem, jak powinien leżeć smoking - odparł Tru. - Znam też sklep, o którym mówisz.

Caroline się zaczerwieniła. Czasem nie panowała nad sobą, choć dążyła do perfekcji w tym względzie. Właśnie dlatego odszedł Edward. Przerazała go żona, która chciała analizować każde jego zachowanie, omówić każdy problem, a nawet proponowała swoją pomoc jako specjalistka. Czas upływał, a Caroline ciągle ingerowała w każdy szczegół życia Edwarda, łącznie z długością rękawów garnituru czy nazwą sklepu, w którym kupował ubrania.

Od małego uczono ją kontrolowania własnego życia, rozpatrywania problemów i logicznego ich rozwiązywania. Rodzice podziwiali samodzielność córki i zachęcali do głośnego wyrażania opinii. Odkąd zaczęła mówić, traktowali ją jak dorosłą. Dorastała w poczuciu własnej wartości i upartym dążeniu do perfekcji.

Włożyła wiele energii w związek u Edwardem, zawsze

starając się otwierać pole do dialogu, lecz w pewnym punkcie szlaku ku perfekcji mąż zbuntował się i zawrócił. Gdy wygasła namiętność, Edward poszukał ciepła w ramionach innej kobiety.

- A więc do zobaczenia jutro rano. - Wyciągnęła rękę na pożegnanie.

Tfu spojrzął jej prosto w oczy i uśmiechnął się uwodzicielsko.

- Podoba mi się ten pomysł - zażartował, ściskając dłoń Caroline. - Wszelkie dobrodziejstwa małżeństwa bez wzajemnych zobowiązań. Pomysł, który mógłby zyskać popularność.

Po plecach Caroline przebiegł dreszcz. Sugestywna propozycja Hallihana poruszyła czułą strunę. Przez wyobraźnię przemknął obraz nagiego detektywa leżącego na jej łóżku. Jakże długo była bez mężczyzny! Nawet łajdak w rodzaju Hallihana wydawał się księciem z bajki...

- Nie licz na żadne dobrodziejstwa - odrzekła zirytowana - poza wizytą przy stoliku pokerowym. Ustalmy to sobie jasno na początku. Nie nastąpią też dalsze spotkania czy przysługi.

- Nigdy nie wiadomo.

Uwolniła dłonie z uścisku i zatarła je nerwowo.

- O dziewiątej jestem umówiona z pacjentem. Będę wdzięczna, jeśli zachowasz nasz układ w taj emnicy.

- Tajemnica to moje drugie nazwisko. A ciebie traktuję jako jedną z klientek - odrzekł, idąc do drzwi. Zatrzymał się na progu i oparł o futrynę. - Jest jeszcze jedna sprawa.

- Mianowicie?

- Skoro Lance nie istnieje, czy nie moglibyśmy przynajmniej zmienić mu imienia? Z pewnym Lance'em łączą

mnie przykre wspomnienia. Co byś powiedziała na Ricka albo Joe? To odpowiednie imię dla faceta z jajami. Lance pasuje raczej do fryzjera.

Caroline musiała przyznać, że rozbuchana osobowość Hallihana rozsadziłaby ciało spokojnego Lance'a stworzonego przez jej wyobraźnię.

- Porozmawiamy o tym rano.

Odsłonił zęby w uśmiechu.

- Może powinnaś wziąć pod uwagę imię Tru?

Odwrócił się, minął recepcję i wyszedł na korytarz. Caroline odprowadziła go wzrokiem i jeszcze długo stała na progu gabinetu, rozmyślając o wydarzeniach ostatnich trzydziestu minut. Nigdy przedtem nie spotkała mężczyzny podobnego do Hallihana. Pod maską supermena wyczuwała szczerą i uczciwą, tak pracowicie skrywaną.

- Tru - powiedziała do siebie półgłosem.

Podobało jej się to imię. Kiedy wróciła za biurko całym z siebie zadowolona, w myślach wykreśliła punkt „mąż” z listy spraw do załatwienia.

Tru wsunął klucz do zamka bramy rezydencji Bachelor Arms. Przyciskając do piersi sześciobutelkowe opakowanie piwa i torbę z chińskim jedzeniem na wynos, zdołał pociągnąć klamkę. Życie znów nabrało dla niego sensu. Nie przejąłby się nawet kolejnym rachunkiem wsuniętym pod drzwi. Los mu sprzyjał, odkąd poznał doktor Caroline Leighton.

Dzięki pieniądzom na wypożyczenie smokingu już w godzinę po opuszczeniu gabinetu terapeutki wykupił samochód z warsztatu. I wszystko zaczęło nagle wracać do normy. W przypływie energii dopadł kilku klientów zale-

gających mu z honorarium i koło południa zebrał sumę wystarczającą na opłatę za elektryczność. Osobista wizyta w kasie elektrowni i chwytająca za serce prośba o włączenie prądu (powołał się przy tym na chorą babcię) sprawiły, że odzyskał panowanie nad sytuacją.

Po drodze do domu wstąpił do Aldusa, modnego sklepu z męską odzieżą, który nieźle znał. Theodore Smith, elegant w średnim wieku, lokator spod 2F, pracował tam jako sprzedawca i często informował sąsiadów z Bachelor Arms o spodziewanych obniżkach cen na markową odzież.

Tru wybrał lśniący smoking Armaniego i namówił Theodore'a, aby dzięki swym sklepowym wpływom „wypożyczył” mu frak na weekend, w zamian za odstąpienie własnego cadillaka - rocznik 1957 - na następny weekend. Theodore był bawidamkiem, lecz jego skromny samochódzik przeznaczony do jazdy po mieście raczej nie oszalał kobiet.

I oto nie minął dzień, a kłopoty finansowe Hallihana zostały rozwiązane. Wygrana z zakładu przy pokerze miała mu przynieść czysty zysk.

Bachelor Arms była to niegdyś luksusowa rezydencja, zbudowana przez zamożną rodzinę w początkach świetności Hollywood. Z nadejściem kryzysu, pod koniec lat dwudziestych, budynek podzielono na trzy obszerne, szykowne apartamenty dla najświetniejszych gwiazdorów Hollywood, samych zresztą kawalerów. Willa zdobyła wkrótce przydomek Bachelor Arms, czyli „W ramionach kawalerów” i zasłynęła z szalonych przyjęć.

Potem z apartamentów wydzielono jeszcze mniejsze mieszkania. Basen na malowniczym wewnętrznym dziedzińcu wypełnił się szlamem. Jednak wypłowiełe różowe

sztukaterie, turkusowe lamperie, czerwone boazerie, żelazne okucia balkonów i bujna tropikalna roślinność na dziedzińcu tworzyły atmosferę oazy pośrodku ruchliwego Los Angeles. Choć Tru wynajmował mieszkanie jednopokojowe typu studio, nie wyobrażał sobie życia gdzie indziej. To miejsce zdawało się oddychać utraconą wspaniałością i skandalami Hollywood. Wymarzony dom dla prywatnego detektywa Hallihana, który zaczytywał się w powieściach Chandlera i uwielbiał ich bohatera, Philipa Marlowa.

Przechodząc zauważył, że drzwi numer 1G są otwarte. Zajrzał do przestronnego wnętrza. Od kiedy stało puste? Prosił administratora, Kena Ambersona, żeby dał mu znać, kiedy zwolni się większe mieszkanie, lecz Ken nie wspominał ani słowem o 1G.

Tru zostawił piwo i jedzenie na korytarzu i wkroczył do środka. Rozejrzał się powoli, chcąc zarejestrować każdy szczegół. Właśnie czegoś takiego szukał. Kiedy wzrosną jego dochody, będzie wreszcie w stanie zapłacić większy czynsz.

Wzrok Hallihana padł na przeciwległą ścianę salonu. Przy łukowatym okienku wisiało olbrzymie lustro, wysokie na półtora metra i niemal równie szerokie. Detektyw zbliżył się do zwierciadła i dotknął pięknej ozdobnej mosiężnej ramy. Chwyciwszy za dolne rogi, spróbował zdjąć lustro ze ściany. Bezskutecznie. Długo, surowo przyglądał się własnemu odbiciu. Nigdy przedtem nie widział tego zwierciadła, lecz podświadomie wiedział, że to o nim właśnie krążyły legendy. Potrząsnął głową, jak gdyby odganiając wiszące w powietrzu złe przeczucia. Z Bachelor Arms wiązało się mnóstwo opowieści o pijaństwach, orgiach, samobójstwach, a nawet morderstwach, lecz lustro miało

swoją odrębną legendę. Niestety, Tru nie pamiętał szczegółów.

- Zastanawiasz się nad małym goleniem-strzyżeniem?

Wyrwany z zamyślenia Tru podniósł wzrok i spostrzegł w lustrze odbicie eleganckiego, wypielęgowanego Theodorem Smitha tuż obok swojego.

- Nie wiedziałem, że znów zwolniło się to mieszkanie - stwierdził Theodore, krytycznie oglądając się w posrebrzanej tafli. Przygładził siwiejące na skroniach włosy i przesunął palcami po wymaglinowanych zmarszczkach na czole. Uwielbiał lustra i schlebające wyglądowi oświetlenie. Miał okazję do muskania piórek niczym zalotny gołąb.

- Ja też nie - przyznał Tru. - Co o tym sądzisz?

- Operacja plastyczna - odrzekł cicho Smith. - Myślę o korekcie oczu. - Naciągnął skórę pod oczodołami. - Czy wyglądam młodziej?

- Pytałem o twoje zdanie na temat lustra.

Theodore zmarszczył brwi i wzruszył ramionami.

- Nie wyglądam w nim lepiej niż w innych lustrach, więc co mnie to obchodzi? Dlaczego ktoś je tu zostawił? Wygląda na antyk.

- Chyba nie należało do poprzedniego lokatora. Słyszałeś legendy o tym domu? Legendy o podobnym zwierciadle?

- Nie, a powinienem?

Tru zaśmiał się cicho i poczuł się swobodniej.

- Niekoniecznie. - Zerknął na torbę przewieszoną przez ramię Theodore'a.— To mój smoking?

- Armani. Trzy tysiące dolarów w sprzedaży detalicznej. Tylko nie wylej na to sosu pomidorowego, bo szef mnie zabije. Dodaję plisowaną koszulę i wiążaną muchę, model już gotowy, na wypadek gdybyś nie wiedział, jak się

to wiąże. Przypuszczam, że nie masz własnych spinek do mankietów i kołnierzyka?

- Do podkoszulków nie są przecież potrzebne.
- Pożyczę ci - zaoferował Theodore. - Wpadnij po nie jutro rano. - Zerknął na zegarek. - Muszę iść. Umówiłem się na kolację z Jill Foyle z 2B, wiesz, tą podobną do Lindy Evans z „Dynastii”.

Hallihan obserwował w lustrze Smitha oddalającego się ku drzwiom.

- Dzięki! - zawołał za nim. - Jestem ci naprawdę bardzo wdzięczny.

Theodore spojrzął przez ramię i uśmiechnął się.

- Zadałeś się z wyjątkową ślicznotką, skoro dla niej wskakujesz w smoking.

Hallihan wybuchnął śmiechem.

- O, tak, to wyjątkowa osoba - odezwał się ironicznie.
- Tak wyjątkowa, że pokrywa koszty imprezy.

Zgoda, była wyjątkowa: świetna figura, zmysłowy głos, bujne kasztanowe włosy upięte w zgrabny koczek, a przede wszystkim długie nogi... Miała jednak w sobie coś więcej, coś nieuchwytnego. Dziwnym zrzędzeniem losu okazała się śledzonym „obiektem”, tajemniczą kochanką Ellisa Stone'a. Prawdopodobnie instynkt detektywa przywiódł Hallihana do niej. Nic poza tym.

Kiedy umilkły kroki na korytarzu, Tru powrócił do studiowania własnego odbicia. Nagle zamrugał. W srebrzystej głębi zwierciadła pojawiła się druga twarz. Czarnowłosa nieznajoma kobieta patrzyła na niego długo, uważnie i jak gdyby wyrażając aprobatę, uśmiechnęła się. Tru szybko odwrócił głowę, lecz pokój był pusty. A tajemnicze odbicie zniknęło.



- Włączyli ci prąd.

Przestraszony detektyw obejrzał się i stanął oko w oko z administratorem budynku.

- Cześć, Ken - bąknął, zastanawiając się, czy nie wziął czasem odbicia Kena za tajemniczą piękność. W swojej karierze zawodowej często miewał do czynienia z dziwakami, żaden z nich jednak nie mógł się równać z Ambersonem, Administrator wyrastał jak spod ziemi i nieoczekiwanie zniknął. Przejawiał też niezwykle talent w dziedzinie rozpracowywania w najdrobniejszych szczegółach życia lokatorów. Tru podejrzewał Kena o grzebanie w śmietniku i założenie podsłuchu we wszystkich mieszkaniach, lecz nie dysponował nawet śladem dowodu na to.

- Godzinę temu byli ludzie z elektrowni - oznajmił Ken beznamiętnym głosem.

- Dobra. Dzięki. Zaszło nieporozumienie z moim rachunkiem i przez pomyłkę wyłączyli mi prąd.

Ken nie spuszczał z niego przenikliwego wzroku, jak gdyby czekając na dalsze wyjaśnienia lub zmianę tematu. Tru zdecydował się na drugie wyjście.

- Zauważyłem, że zwolniło się to mieszkanie. Myślałem, że dasz mi znać.

- A kto powiedział, że się zwolniło? - spytał Amberson.

- Nie widzę, żeby ktoś tu mieszkał. Planujesz wynająć komuś to mieszkanie czy nie?

Ken nerwowo zerknął w lustro.

- Jeszcze się nie zdecydowałem.

Zadowolony z siebie Amberson czuł się ważny niczym generał na polu bitwy, dowodzący żołnierzami-lokatorami Bachelor Arms. Rządził budynkiem jak własnym impe-

rium. Ot, współczesny Napoleon, niskiego wzrostu i o autokratycznych zapędach.

- Powiesz mi wreszcie czy nie? - rozgniewał się Tru.  
- Jestem zainteresowany większym mieszkaniem;

Ken skinął głową, jak gdyby zwalniając nieudolnego podwładnego. Hallihan posłusznie wyszedł. Odwrócił się, by raz jeszcze napomknąć o swojej ofercie, ale drzwi zamknęły się cicho, jak gdyby Mały Generał zrobił to siłą woli, nie ruszając się ze środka pokoju.

Caroline stała przed drzwiami mieszkania 2E, niecierpliwie stukając obcasem pantofelka. Zerknęła na zegarek i zapukała powtórnie, bardziej stanowczo. Bez odpowiedzi. Gdzie on się podziewa? Przecież byli umówieni. Wyjęła z torebki starannie złożoną kartkę i sprawdziła adres. Wszystko się zgadzało. Nie pomyliła ani mieszkania, ani daty, soboty rano. Trzy razy naciskała brzęczykdomofonu, aż wreszcie postanowiła wkroczyć do budynku dzięki uprzejmości któregoś z sąsiadów.

Załomotała do drzwi, bardziej z bezsilnego gniewu niż w nadziei odpowiedzi. Nieodpowiedzialny, niedojrzały mężczyzna.

- Komu, do diabła, się tak spieszy?

Drzwi otworzyły się gwałtownie. Na progu stanął zaspany i wyraźnie zirytowany Tru Hallihan. Nie ogolony, w znoszonym podkoszulku i workowatych wzorzystych szortach do kolan, nie mógłby wzbudzić zaufania. Upłynęła dłuższa chwila, zanim rozpoznał gościa i nieco złagodniał.

- Obudziłam cię - stwierdziła rzecz oczywistą, ale nic innego nie przyszło jej do głowy wobec rozczochranego i bez wątpienia seksownego mężczyzny.

- Co sobie pomyślałaś, kiedy nie otwierałem? - burknął, wpuszczając Caroline do pokoju.

- Pomyślałam, że jednak jesteśmy umówieni - odrzekła uparcie. - Zapomniałaś?

Powędrował do niewielkiej kuchni, ziewając i przeciągając się po drodze;

- Muszę zaparzyć kawy. Widocznie zasnęłam. Która godzina? - zawołał, odkręcając kran.

- Siódma.

Wystawił głowę z kuchni.. Miał taką minę, jak gdyby Garoline oznajmiła właśnie, że Księżyc jest zrobiony z sera szwajcarskiego.

.- Siódma? Nie powiesz mi chyba, że siódma rano?

Kobieta była zbyt wytrącona z równowagi początkiem wizyty, aby przechodzić do rzeczy. A przecież miała bardzo mało czasu, aby wprowadzić Hallihaha w rolę jej męża. Z tego, co ujrzała w mieszkaniu mężczyzny, zorientowała się, że jedna poranna rozmowa nie wystarczy. Pokój wyglądał jak po eksplozji szafy. Na wszystkich meblach leżały ubrania, podłogę zaścielały buty i skarpetki. Wołała oszczędzić sobie widoku kuchni, nie mówiąc o łazience.

Stanął na progu, przeczesując palcami zjezoną czuprynę.

- Cofam to. Wcale nie zasnęłam. Kiedy umówiłaś się na sobotę rano, sądziłem, że masz na myśli godzinę dziewiątą, dziesiątą. Kto przy zdrowych zmysłach wstaje tak wcześnie w sobotę?

- Ja. Caroline przeszła na pozycje obronne. - Leżenie w łóżku przez cały dzień uważam za marnowanie czasu. Poranek to dla mnie bardzo pracowita pora. Wstaję i robię listę spraw do załatwienia, - Rozejrzała się znacząco. - Zakupy, porządki domowe...

- Dałem sprzątacze rok wolnego - wyjaśnił Tru. - Proszę o wybaczenie.

- Chodzi mi o to, że w sobotni poranek czuję się świeża, wypoczęta i pełna energii - dodała, próbując ukryć nietakt.

- To pewnie skutek tego, że nie prowadzisz życia towarzyskiego - stwierdził z żartobliwym współczuciem i podał jej dzbanek na kawę. - Skoro masz tyle energii, możesz zaparzyć kawę. Lubię mocną. Idę pod prysznic. Będę za parę minut.

Ukłuta do żywego docinkiem, Caroline odprowadziła detektywa wzrokiem, po czym położyła torbę i postanowiła bliżej poznać jego lokum. Na tapczanie kłębiły się prześcieradła, koce i poduszki. Jedyny fotel, wygodny mebel z podnóżkiem, stanowił żelazny punkt wyposażenia mieszkania każdego kawalera. Na siedzeniu leżał zresztą stos gazet. Widocznie dla Hallihana lektury i sprzęt stereo były ważniejsze niż meble, bo jedną ze ścian zajmowała aparatura i olbrzymi telewizor. Na drugiej ścianie od podłogi do sufitu ciągnęły się półki z książkami. Caroline dotarła tam, brodząc wśród butów i stert czasopism. Na półkach stała klasyka: Thoreau, Melville, Hawthorne, dzieła wszystkie Szekspira i Dickensa oraz kolekcją starych powieści kryminalnych. Doktor Leighton nie spodziewała się po Hallihanie tale wyrafinowanego gustu. Pasowały do niego raczej kolorowe magazyny z rozebranymi dziewczynami.

Aż ją korciło, żeby posprzątać. Nie z litości dla lokatora, lecz dlatego, że nie znosiła pracować w bałaganie. Wyczuła jednak w Hallihanie niechęć do jakiegokolwiek kobiecej ingerencji w jego życie i nie chciała sprawiać wrażenia osoby zbyt natrętnej czy pewnej siebie. Poza tym nawet w prakty-

ce zawodowej nie uciekała się nigdy do odgrywania roli opiekuńczej, wrażliwej kumpelki.

Obrzuciła pokój ostatnim, bezradnym spojrzeniem i ruszyła do kuchni zaparzyć kawę. Ku jej zdumieniu panował tu wzorowy porządek. Przyczynę tego stanu rzeczy odkryła, otwierając lodówkę. Była pusta, nie licząc paczuszki wyśmienitej ziarnistej kawy, słoika dżemu grejpfrutowego, czterech puszek piwa i kartonu mleka z datą ważności sprzed miesiąca. W zamrażalniku tkwił bochenek chleba i wybór lodów, jakiego nie powstydziałaby się żadna lodziarnia. Hallihari miał więc przynajmniej jedną słabość.

Zrobiła kawę, nalała sobie kubek, usiadła przy stoliku i czekała. Po paru minutach zjawił się Tru - umyty, lecz wciąż nie ogolony, z mokrymi włosami zaczesanymi do tyłu. Gdyby nie ciemny zarost, podkoszulek i podarte dżinsy, jego wygląd mógłby wzbudzić szacunek i zaufanie; Uśmiechnął się szeroko, uwodzicielsko, a Caroline natychmiast zmieniła zdanie. Szacunek - tak, ale zaufania-za grosz.

- Nie przyniosłaś przypadkiem paczków?

Pokręciła głową.

- Chyba nie było ich na twojej liście. - Nalał kubek kawy i usiadł okrakiem na krześle. - No i co, doktorku? Pamiętasz film o tym tytule z Barbrą Streisand?

Splotła dłonie przed sobą i zebrała myśli.

- Musimy opracować strategię na dzisiejszy wieczór. Chcę, żebyś się dobrze przygotował. Ponieważ większość z tych ludzi zobaczę po raz pierwszy, będą się głównie interesowali moją osobą. Twoja obecność to czysta formalność. Nie będziesz musiał wiele mówić. Trzymaj się mnie i przytakuj wszystkiemu, co powiem.

- Jak tresowana małpa?

Twarz Caroline oblała się rumieńcem. Tru wyjął jej z ust słowa, których nie mogła wypowiedzieć na głos.

- Ależ skąd! Staraj się włączyć do rozmowy, a ja będę prowadzić główny wątek.

- Chcesz to rozegrać jak najbezpieczniej, prawda? - Obserwował ją znad kubka przenikliwym spojrzeniem oczu o dziwnej, hipnotyzującej barwie zieleni zmieszanej z brązem.

- Nie robię śmiesznych zakładów przy pokerze, jeśli o to ci chodzi.

Wesołe iskierki rozbłysły w jego oczach.

- Śmiesznych? Nie przesadzaj. Przecież zgodziłaś się na nasz układ. Założę się, że stawiasz sobie za punkt honoru nigdy nie zachowywać się śmiesznie.

- Panie Hallihan...

- Tru - zachęcił miły głos. - Ostatecznie jesteśmy mężem i żoną.

- W takim razie powinnam mówić do ciebie: Lance.

Spojrzał z niesmakiem.

- Naprawdę nienawidzę tego imienia. Pasuje do jakiegoś mięczaka.

Caroline z trudem powstrzymała się od śmiechu.

- Założę się, że stawiasz sobie za punkt honoru nigdy nie być uważany za mięczaka.

Tru stuknął się z nią kubkiem i zaśmiał się beztrudnie, serdecznie, jak gdyby zapraszając gościa do odprężenia się choć na jedną, cudowną chwilę.

- Trafiłaś w dziesiątkę, kochanie. Dlatego się z tobą ożeniłem. Dla twej błyskotliwości i rewelacyjnego poczucia humoru.

- Lepiej zabierzmy się do pracy, Lance. Zacznijmy od

podstaw. - Wyjęła z torby pióro i blok liniowanego papieru i położyła przed Hallihanem. Spojrzał pytająco. - Sporządziłam listę kilku... faktów, które powinieneś poznać. Może chciałbyś też coś zanotować w trakcie rozmowy.

Przejechał palcem po krawędziach kartek.

- Kilka faktów? Napisałaś książkę o tym facecie! Jak na człowieka, który nie istnieje, Lance cieszy się pełnią życia.

- Odsunął blok.

- Nie zamierzasz przestudiować tych zapisków?

- Mam fotograficzną pamięć - odparł Tru. - Co porabia Lance?

Zmarszczyła brwi.

- Nic. To znaczy nie sędzę, abym kiedykolwiek wspominała w audycjach o jego karierze zawodowej. Musimy tu coś wymyślić.

- Dobrą. Co powiesz na zawód prywatnego detektywa? - zaproponował.

Potrząsnęła głową.

- Nie, to nie przejdzie.

- Dlaczego?

Zawahała się. Dlaczego musiał kwestionować wszystko, co mówiła? Dlaczego nie mógł być po prostu pomocnym, zadowolonym ze swej sytuacji mężem?

- To byłoby nielogiczne. - Wiedziała, że Hallihanowi nie wystarczą banały. Odetchnęła głęboko. - Taki mężczyzna nie jest w moim typie. Może czujesz się równie pewnie w jakiejś innej dziedzinie?

- Znam się na mnóstwie rzeczy - zażartował - ale one mają więcej wspólnego z zabawą niż z pracą.

I znów się zaczerwieniła. W porządku, mógł być ekspertem w dziedzinie koszykówki czy golfa. Czemu zawsze

dopatrywała się w jego słowach podtekstu seksualnego? Stwierdziła w myślach, że musiało mu na tym zależeć. Pragnął za wszelką cenę wyprowadzić ją z równowagi, a ona mu tylko ułatwiała zadanie.

- Posłuchaj, Hallihan - odezwała się chłodnym tonem. Uniósł ciemne brwi. - Tru - poprawiła się. - Wolę, żebyśmy pozostali na stopie zawodowej. Nie jestem zainteresowana twoimi podbojami miłosnymi.

- Podbojami?

Kiwnęła głową. Odsłonił zęby w uśmiechu.

- Podoba mi się to określenie. Podboje. Pozwól, że je zanotuję. - Naskrobał słówko w notatniku i podniósł wzrok. - Chodziło mi o futbol. Nieźle gram.

Nie powinna tak się dać zirytować.

- Zrobiłem doktorat z literatury angielskiej na Uniwersytecie Stanford - oświadczył żartobliwie wyniosłym tonem. - Nie przygotowało mnie to co prawda do niczego poza karierą naukową, ale mogłoby się okazać przydatne postaci Lance'a.

- Masz doktorat? - spytała z niedowierzaniem.

- Nie bądź taką zaszokowana. Każdemu wolno dokonać w życiu niepraktycznego wyboru.

- Ja... nie jestem zaszokowana. Cóż, może trochę. Dlaczego nie wykładasz na uczelni?

- Napisałem pracę doktorską o amerykańskiej powieści kryminalnej. Uwielbiam książki Raymonda Chandlera, Dashiella Hammetta i Mickey Spillane'a. Poza tym nie jestem facetem, który pasowałby do nadętych dyskusji, garniturów i krawatów.

- Rzeczywiście. - Zamyślona Caroline bębniła palcem o kubek z kawą. - Mogłeś zostać fizykiem atomowym. To



robi wrażenie, ale jest źle widziane w kręgach inteligentnych. Nikt nie odważyłby się o cokolwiek cię zapytać. A jeśli nawet, zasłoniłbyś się tajemnicą państwową. Faceci na przyjęciu znudziliby się w twoim towarzystwie i zignorowali cię, żeby nie wypaść na głupców.

- Zadziwiasz mnie! - zawołał Tru. - Potrafisz nie tylko logicznie wnioskować, ale i sprytnie kłamać, doktor Leighton!

- Ja nie kłamię. W zasadzie nie.

Odepchnął krzesło i ruszył do kuchni.

- A jak byś to określiła?

Szukała odpowiedniego słowa.

- Bronię swego prawa do wolnego wyboru.

- Kim są faceci, przed którymi odegrasz tę komedię?

Zawahała się. Obiecał dochować tajemnicy, lecz nie była pewna, czy może mu bezgranicznie zaufać.

- To dystrybutorzy programów telewizyjnych. Zapropnowano mi przekształcenie mojej audycji radiowej w cykliczne *talk show*. Ponieważ wielu terapeutów doradzających małżeństwom to ludzie rozwiedzeni, producent i jego szefowie są szczególnie wyczuleni na tę sprawę. Nie chcę, aby taka drobnostka przekreśliła moją życiową szansę.

- Jak długo planujesz ciągnąć maskaradę? - dobiegło pytanie z kuchni.

- Dopóki nie przekonają się, ile jestem warta. Potem mogę powiedzieć prawdę. Nie będzie to już miało znaczenia. A jeśli się nie uda, ta kwestia nie wywrze wpływu na praktykę, którą prowadzę. Oczywiście, jeśli i ty nie zdradzisz się przed nikim.

Stanął na progu kuchni i oparł się o futrynę.

- Pisarz - stwierdził krótko.

- Co?

- Lance może być pisarzem. Ambitnym autorem ślęczącym nad wielką współczesną powieścią kryminalną. Albo scenarzystą, walczącym o przebicie się na ekran. W Los Angeles roi się od takich.

Zdaniem Caroline był to niegłupi pomysł, który rozwiązywał wszelkie problemy. Z pewnością człowiek z doktorem z literatury angielskiej potrafiłby udawać ambitnego pisarza.

- Zgoda na scenarzystę. Jeśli pomyślą, że chcesz im sprzedać scenariusz, zaczną cię unikać jak ognia. - Westchnęła w duchu. Jeden kłopot z głowy, a następne już pukają do drzwi. Przeistaczanie Hallihana w Lance'a bardzo ją wyczerpywało. Nie miała pewności, czy wyjdzie żywa z wojny na pomysły i dowcipne komentarze. A przecież ledwie zaczęli przygotowania do wieczornego „występu”.

- Sama już nie wiem - oznajmiła, odwracając wzrok. - Zrobiłam listę zalet i wad naszego planu. Na papierze wygląda to dobrze, ale wątpliwości pozostają. Może powinnam po prostu powiedzieć Ellisowi prawdę i liczyć na łut szczęścia? Czyha na nas tyle pułapek.

- Ellisowi? - spytał podejrzliwie.

Spostrzegła zaniepokojenie na jego twarzy.

- Tak, Ellisowi Stone'owi. Znasz go?

Wzruszył ramionami.

- Nie... to znaczy słyszałem o nim. Gruba ryba. Trzęsie całym miastem.

- Ellis stoi na czele firmy, która chce produkować moje *talk show*. To bardzo wyrozumiały człowiek i gdybym mu wyjawiała prawdę o rozwodzie, na pewno....

- Daj spokój, Caroline - przywołał ją do porządku. - Teraz nie możesz już się wycofać. Nie możesz ryzykować.

Słyszając, jak brzmi jej imię w jego ustach, przeraziła się i zamknęła oczy. Gdyby chodziło o innego mężczyznę, z pewnością od razu odzyskałaby panowanie nad sobą, lecz Tru jawił się niczym nieunikniona katastrofa. Czuła, że nie powinna ufać mu w tak ważnej kwestii jak własna przyszłość. W jego obecności traciła zaufanie nawet do samej siebie. Miał szczególny dar wytrącania jej z równowagi.

Stanął za jej plecami i delikatnie dotknął ramienia.

- Opowiedz o swoim wspaniałym mężu, Caroline.

Próbowała nie zważać na żar bijący od jego palców, lecz ciepła, kojąca fala rozlewała się w jej ciele niczym lampka dobrego koniaku. Wstała, uwalniając się z kuszącej bliskości.

- Zgoda - stwierdziła, powstrzymując drżenie głosu. Zaczęła spacerować tam i z powrotem po pokoju. - Lance jest, a raczej byłby, wrażliwy i troskliwy. Przedkładałby moje potrzeby i uczucia ponad swoje.

— Aha, oferma bez kręgosłupa - podsumował Tru, znów dosiadając okrakiem krzesła.

- Nie oferma - zaprotestowała spokojnie. - Okazywanie przez mężczyznę wrażliwości nie jest wadą.

- Póki nie zrobi mu się na piersiach odcisk od pantofla żony!

Zerknęła na jego szeroki, masywny tors, opięty podkoszulkiem. Nie mogła sobie wyobrazić, że stawia stopę na piersi Hallihana, ale że jej dotyka - owszem... Zakłęła w duchu i przywołała do porządku wyobraźnię i hormony.

— Uważasz tak z doświadczenia czy z niewiedzy?

Wzruszył ramionami.

- Mówi mi to zdrowy rozsądek. Zawsze powtarzam, że prawdziwy mężczyzna jest jak potrawy kuchni meksykańskiej: ostry, gorący, smakowity. Chociaż wiesz, że nie powinnaś więcej jeść, zamawiasz następną porcję pikantnych pierogów. Natomiast wrażliwi faceci wolą owsiankę, może i zdrową, ale bez smaku i bez wyrazu. Powiedz szczerze, Caroline, co byś wybrała?

Rosądek mówił jej zawsze: owsianka. Ale Tru miała rację. Monotonną dietą nie służy życiu erotycznemu. Wyszła za męża za miłośnika owsianki i usiłowała przyzwyczaić Edwarda do jeszcze bardziej mdłego smaku potraw. Może powinna dla odmiany spróbować kuchni meksykańskiej? Przekonać się, czy polubi inny smak?

- Myślę, że odchodzimy od tematu - oświadczyła. - W moich audycjach Lance występuje jako człowiek otwarty, chętnie dzielący się swymi problemami i odczuciami. Jeśli chcesz się wcielić w tę postać, musisz okazywać innym więcej czułości i troski.

- Chcesz, żebym płakał?

- Ależ nie - odparła z naciskiem.

- Może dodać trochę romantycznej mgiełki do opowieści o naszym poznaniu? A tak przy okazji, jak myśmy się poznali?

- Proszę cię o powagę. Od tego przyjęcia wiele zależy. Jeśli zamierzasz stroić sobie żarty, lepiej wynajmę jakiegoś tępego neandertalczyka do towarzystwa.

Uśmiechnął się ironicznie.

- Czyż nie masz z nim właśnie do czynienia?

Zacisnęła pięści, zamknęła oczy i wzięła głęboki oddech.

- Nie - uznała, unosząc powieki. - Sądzę, że chcesz na

wszystkich robić takie wrażenie, lecz w głębi serca jesteś wrażliwym, troskliwym człowiekiem.

Chwycił się za piersi.

- Ach! Zraniłaś mnie, Caroline!

Zaczekała, aż twarz detektywa przybierze skruszony wyraz.

- Jesteś gotów zabrać się wreszcie do pracy czy zapominamy o całym przedsięwzięciu?

- Jestem gotów. - Rozłożył szeroko ramiona i błagalnie wznosił oczy ku niebu. - Dalej, doktor Leighton. Mój los spoczywa w twoich rękach. Dokonaj przeistoczenia grzesznika w ukochanego męża.

Chyba zwariowała myśląc, że tó się uda. Z równym powodzeniem mogłaby giąć gołymi rękami żelazne sztaby. Westchnęła ciężko. Tru nie tracił przez to wcale na atrakcyjności.

W zasadzie, choć wyglądało to na szaleństwo, podobał jej się taki, jaki był.

## ROZDZIAŁ

# 3

Jak na wczesny sobotni wieczór w barze „U Flynna” panował spokój. Tru obiecał Theodore’owi, że wpadnie do niego przed spotkaniem z Caroline, aby ów arbiter elegancji rzucił jeszcze okiem na jego strój. Kiedy nikt nie odpowiadał na pukanie do drzwi, wydedukował, że lokator spod 2F sączy chardonnay, zajmując ulubiony stołek barowy. I rzeczywiście, zastał go w towarzystwie Garretta i Josha. Bob Robinson siedział jak zwykle w rogu, a Eddie tkwił za barem. Tru postanowił nie wchodzić do lokalu. Nie chciał się tłumaczyć przyjaciołom ze swego oficjalnego wyglądu. Napotkał jednak wzrok Garretta.

- Wstrzymajcie oddech! - zagrzmiął głos przyjaciela.

- Co my tu mamy?

Wszystkie oczy skierowały się na Hallihana. Tru obrzucił Garretta zirytowanym spojrzeniem, podszedł jednak do baru i dosiadł się do kolegów. Zachowując zimną krew, zamówił piwo i czekał na początek przesłuchania.

- Kto ci umarł? - zażartował Garrett.

- Na pogrzeb nie wkłada się smokingu od Armaniego

- obruszył się Theodore. - Truman ma randkę. Z wyjątkową kobietą. Czy tak się o niej wyraziłeś, Tru?

Jak wyjątkową? - spytał Garrett. - Musi być boska, skoro tak się odstawił. Aktorka czy modelka? Pewnie idą na ceremonię rozdania Oscarów czy czegoś takiego. No, kim ona jest, Tru? I czy dostanę jej numer telefonu, kiedy cię porzuci?

Hallihan wypił haust piwa.

- Nie uwierzylibyście.

- Spróbuj! Zobaczymy - zachęcił Garrett.

Aż go korciło, aby wyłożyć kawę na ławę i powiedzieć prawdę o tajemniczej Garly Lovelace, a z drugiej strony, podświadomie i niewytłumaczalnie pragnął rewelację na razie zachować tylko dla siebie. Cały rano spędził na zgłębianiu psychiki Lance'a i na dowiadywaniu się, czego Caroline szuka w mężczyznach. Pod koniec spotkania miał wrażenie, że wie o niej więcej niż o jakiegokolwiek kobiecie przedtem.

Coraz bardziej wątpił, że terapeutka ma romans z żonatym mężczyzną, zwłaszcza kimś takim jak Ellis Stone. Dlaczego tak się starała zataić prawdę o mężu przed człowiekiem, z którym sypiała? To bez sensu. Jeśli było coś między nimi, Tru na pewno odkryje to podczas przyjęcia. Jeśli zaś nic ich nie łączyło, powróci do punktu wyjścia. Śmiesznie to brzmiało, ale pozostała mu tylko nadzieja, że Caroline nie jest kochanką Ellisa Stone'a.

Na swój sposób ją polubił. Różniła się od kobiet, z którymi zazwyczaj umawiał się na randki. I to nie tym, że nie była atrakcyjna, bo była. Każdy głupiec dostrzegłby, co się kryje pod oficjalną maską. Zielone oczy, miękkie, długie rzęsy, bujne, lśniące włosy muskające zgrabny kark... I głos, Boże, co za głos! W każdym mężczyźnie obudziłby dreszcz pożądania.

Było coś jeszcze. Tru chciał wierzyć, że ma do czynienia

z kobietą niezdolną kłamać w imię błahego romansu ze Stone'em. Chciał pewności, że to kobieta warta zaufania; nie zasłużyła na to, by stać się tematem pogawędek przy barze. Przynajmniej nie tego wieczoru.

- Później - odparł. - Co powiesz, Theodore? Mogę się tak pokazać między ludźmi?

Odsunął się od baru, stanął na baczność, a potem obrócił się powoli.

Theodore obrzucił go krytycznym wzrokiem.

- Spodnie leżą jak ulał, ale góra marszczy się nieco na ramionach. Jeśli nie zamierzasz podnosić ciężarów, wszystko będzie dobrze.

- Nie martw się. Największym ciężarem, jaki dziś podniosę, będzie kieliszek szampana.

- Tru, nie bądź taki - błagał Bob. - Opowiedz o swojej tajemniczej damie.

Hallihan potrząsała głową i wypił łyk piwa. Za wcześniej na zdradzenie tajemnicy. Chciał się jednak dowiedzieć czegoś więcej o innej kobiecie.

- Nie myślcie, że chcę zmienić temat - odezwał się - ale czy widzieliście kogokolwiek wprowadzającego się lub wprowadzającego z 1G?

- To mieszkanie z lustrem? - spytał Theodore.

- Jakim lustrem? - zainteresował się Bob.

- Od miesiący nie widziałem tam nikogo- stwierdził Garrett, - Czemu pytasz?

- Zgłosiłem Ambersonowi, że szukam większego mieszkania. Miał mnie powiadomić, kiedy tylko coś się zwolni. Wczoraj po południu przechodziłem koło 1G. Było w nim tylko olbrzymie lustro na ścianie. Ma z półtora metra wysokości i naprawdę piękną ramę. Słyszeliście o jakiejś legen-



dzie z nim związanej? Coś mi się obiło o uszy, ale nie pamiętam dokładnie. Amberson wyglądał na rozeźlonego, jak gdyby usiłował coś ukryć.

- Chyba o to chodzi - mruknął Bob. - Nie twierdzę, że wierzę w szalone opowieści, ale niedawno pojawiła się plotka, że w tym mieszkaniu straszy. Poznałem trzech facetów, którzy mieszkali w 1G i w tajemniczy sposób wyprowadzili się po dwóch, trzech miesiącach. Chyba widzieli w lustrze dziwne odbicie.

Detektyw poczuł, żą przeszedł go dreszcz.

- Tru co rano widzi dziwne odbicie w lustrze - zażartował Garrett. - Swoją ohydną gębę do ogolenia.

- Co widać w lustrze? - Hallihan drażył sprawę.

- Postać kobiety - wyjaśnił Bob. - Może to duch? Jest ubrana w długą suknię i patrzy tak, jak gdyby zaglądała ci w duszę. Legenda głosi, że kto ją ujrzy, doświadczy przykrości, której najbardziej się obawia.

Tru zmarszczył czoło.

- Dziwne - oznajmił Eddie. - Słyszałem, że kiedy ktoś zobaczy kobietę, spełnią się jego najskrytsze marzenia.

- Jestem pewien, że chodzi o strach - upierał się Bob.

- A moim zdaniem o marzenie - oponował Eddie.

- No więc? - nalegał Tru.

Bob wzruszył ramionami i zamówił następne piwo.

- To chyba bez znaczenia. Oczywiście, dopóki nie ujrzysz odbicia.

- Przecież ty nic nie widziałeś, prawda? - spytał Josh.

- Nie, nie. - Tru potrząsnął głową. - Byłem tylko ciekaw. Pamiętam, że coś słyszałem, ale szczegóły wyleciały mi z głowy.

- • Myślę, że to wszystko stek bzdur - oświadczył Bob.

- Amberson rozgłasza takie bajki. Dziwak, ot co. Zawsze mamrocze coś do siebie. Aż mi ciarki chodzą po plecach.

- Mnie też - potwierdził Eddie. - Ma takie niesamowite oczy. Napędza mi stracha. Nie przychodzi tu często, ale kiedy już zajrzy, omijam go szerokim łukiem.

Tru wysączył resztkę piwa i rzucił na ladę dwudolarówkę. Nagle wydało mu się, że wokół wyrastają niewidzialne mury. Naprawdę widział kobietę w lustrze. Nie wyobraził sobie tego.

- Słuchajcie, muszę iść. Zobaczymy się później.

- A jak ci idzie z naszym zakładem?-zagadnął Garrett.

- Znalazłeś prawdziwą doktor Carly Lovelace?

- Tak - odrzekł Tru zdawkowo. - Znalazłem ją.

- A więc przyjdzie do nas na pokera we wtorek?

- Tak. - Hallihan ruszył do drzwi.

- Zaczekaj - zawołał za nim Garrett. - Chcemy dowiedzieć się czegoś więcej. Kim ona jest?

- Muszę iść. Pogadamy później.

Niczym z płonącego domu wybiegł na ulicę i odetchnął głęboko. Śmieszna historia... Nie wierzył w duchy. Nie zobaczył niczego w zwierciadle! Był po prostu zmęczony, zdenerwowany i wziął odbicie Ambersona za tajemniczą wizję. Administrator widocznie lubił straszyć lokatorów.

A jednocześnie Hallihana nie opuszczało uczucie, że coś (lub ktoś) wtargnęło w jego życie. Wielka obawa czy najskrytsze marzenie?

Westchnął i pomaszerował do samochodu. Przynajmniej tego wieczoru był bezpieczny. Chociaż Caroline Leighton nie zbywało na urodzie, z pewnością nie nazwałby jej kobietą swoich marzeń. Nie musiał się jej też obawiać. Groził mu co najwyżej czterogodzinny wykład na

temat męża idealnego oraz powtarzanie nie kończącej się listy spraw do załatwienia.

- Śmieszna historia - powtórzył pod nosem, wskazując do cadillaka. Nie wierzył w duchy,

Zerknął w boczne lusterko i włączył się w ruch. Ciepły wieczór i lekki wiatr - oto cudowne zakończenie spalonego słońcem wrześniowego dnia. Uwielbiał jazdę na wzgórza wznoszące się nad miastem. Cieszyły go ptasie trele i szum palmowych liści poruszanych wiatrem. Dotarł do domu Caroline w Laurel Canyon z półgodzinnym opóźnieniem.

- Spóźniłeś się - powitała go, otwierając frontowe drzwi.

Miała talent do stwierdzania rzeczy oczywistych. Zignorował jej marsową minę i wkroczył do przewiewnego holu. Dom terapeutki zadziwiał jako dzieło architektoniczne. Zbudowano go na łagodnym zboczu wzgórza z drewna sekwoi i szkła. Nie był zbyt duży, lecz przejrzysty rozkład pomieszczeń i białe meble dawały wrażenie przestronności. Doktor Leighton mieszkała komfortowo i z klasą.

- A ty za to....- zamierzał odciąć się za wymówkę, lecz błyskotliwa riposta uwięzła mu w gardle. - Wyglądasz pięknie.

Przyjrzał się badawczo Caroline. Włożyła prostą czarną suknię bez rękawów, z wycięciem tuż przy nasadzie szyi i na ramionach. Suknia kończyła się powyżej kolan, odsłaniając niewiarygodnie zgrabne nogi. Między karkiem a kolanami miękki materiał podkreślał krągłości piersi, bioder i pośladków. Ciemne włosy Caroline upięta w nienaganny koczek, dzięki czemu wyglądała nie tyle jak surowa nauczycielka, ile jak wyrafinowana intelektualistka.

- Wyglądasz... o rany, rewelacyjnie - dodał.

- To dobrze - dygnęła żartobliwie. - Widzę, że przestudiowałeś listę, którą ci wręczyłam. Kobieta zawsze cieszy się z komplementów. Zwłaszcza z komplementów męża.

Tru uśmiechnął się.

- Wcale nie udawałem, Caroline. Mówię szczerze. Wyglądasz świetnie.

Niespokojnie odwróciła wzrok.

- Ty też wyglądasz bardzo dobrze - bąknęła pod nosem. - Widzę, że postanowiłeś się ogolić.

Potarł szczękę dłonią.

- Tak, doszedłem do wniosku, że już najwyższy czas. - Podniósł łokcie. - A co sądzisz o tym stroju?

Ruchem wypielegnowanego palca nakazała, by się obrócił. Czuł, jak jej dłonie wygładzają materiał i ciągną za dół smokingu. Zmarszczyła brwi.

- Trochę przyciasny.

Wzruszył ramionami.

- Cóż, Lance nie zawsze służy za wzorzec krawieckiej biegłości. Facet jest po prostu człowiekiem. Opuść mu.

Słowa Hallihana potrafiły chyba czuć strunę. Zielone oczy rozblęły gniewem.

- O co ci właściwie chodzi? - zaatakowała.

- O nic.

- No proszę, powiedz! - zażądała. - Lance byłby szczerzy. Powiedziałyby dokładnie to, co myśli. Szczerść w rozmowie to fundament dobrego małżeństwa.

- Chodziło mi o to, że współczuję każdemu facetowi, który starałby się sprostać twoim wysokim wymaganiom, doktor Leighton.

Chociaż Tru nie miał pojęcia, co wywołało tak gwałtów-

na reakcję Caroline, wyraz oburzenia na jej twarzy sprawił mu satysfakcję. Lubił ją obserwować, kiedy nie panowała nad emocjami. Uważał, że od czasu do czasu ktoś powinien wyrwać ją z klatki chłodu i samokontroli. Ciągłe wewnętrzne napięcie nie było dobre ani dla niej, ani dla Hallihana.

- Jeśli natomiast ty będziesz zaniżał wymagania wobec siebie i innych, nie zbudujesz na nich nawet kurnika - odparowała gładko.

- Nasza pierwsza sprzeczka małżeńska - podsumował.

- Doniosła okazja. Czy możemy się pocałować i zakończyć spór?

Spojrzała zdumiona.

- To nie sprzeczka. I nie jesteśmy mężem i żoną! Grasz tylko pewną rolę, a jeśli nie potrafisz tego zrobić, nasza umowa zostanie rozwiązana. Nie ma Lance'a, nie ma spotkania przy pokerze.

Stanął przed nią i delikatnie ujął ją za ramiona. Przesuwał w górę i w dół po jedwabistej skórze, rozkoszując się ciepłym, aksamitnym dotykiem i słodkim, kwiatowym zapachem.

- Przepraszam, kochanie - mruknął skruszonym tonem. - Nie chciałem cię zdenerwować. Zachowałem się grubiańsko i bez serca. Mam nadzieję, że mi wybaczysz.

Zerknęła podejrzliwie i z wahaniem podjęła watek.

^ Ja też przepraszam. Chyba jestem trochę wytrącona z równowagi przez dzisiejsze przyjęcie. Nić chciałam być wobec ciebie tak agresywna... mój drogi.

Tru pochylił się i cmoknął Caroline w policzek.

- Zbiera mi się na mdłości - szepnął jej na ucho. - Te słodkie przeprosiny źle wpływają na mój żołądek.

- Na pewno przeżyjesz - stwierdziła, cofając się

o krok. Wzięła szal i torebkę z wyściełanej kanapki i odechnęła głęboko. - Gotowy?

Kiwnął głową.

- Tak. Cyrk objazdowy Leightonów jedzie w świat.  
- Ale czy przygotowałeś się do przyjęcia? Naprawdę przestudiowałeś listę z informacjami czy tylko się wygłupiasz?

- Cóż to za różnica, skoro sama nie potrafisz sprawdzić?  
- Kiedy mam urodziny?  
- Piątego lutego.  
- Kiedy obchodzimy rocznicę ślubu?  
- Podobnie jak większość mężów z trudem przypominam sobie datę; Pobraliśmy się dziewięć lat temu w małym kościółku w twoim rodzinnym mieście, Westport w stanie Connecticut. Świadkami byli: twoja koleżanka z akademika i Bill, mój brat. Wesele odbyło się w wiejskiej gospodzie rodziców panny młodej. - Uśmiechnął się. - Podano owoce morza z makaronem i sernik na deser.

- Jedliśmy co innego -zaprotestowała.

Okrył szalem jej nagie ramiona.

- Pomiąłem tę część zapisków. Skoro tyle wiem o weselu, opowiedz mi ze szczegółami o miodowym miesiącu. Dobrze się bawiliśmy, prawda?

Wyszli przed dom.

- Spędziliśmy tydzień w Paryżu. Było bardzo miło.

Obrócił ją ku sobie zaskoczony-

- Bardzo miło? Kochanie, tak możesz powiedzieć o jeździe w samolocie czy pogodzie. Nasz miesiąc miodowy był fantastyczny! Nadzwyczajny! - Objął Caroline w talii i spojrzął w szeroko otwarte oczy. - Przez cały tydzień nie wychodziliśmy z pokoju hotelowego i kochaliśmy się na-

miętnie. Byłaś nienasycona, a ja opadałem z sił. Żywiliśmy się miłością i szampanem.

Wyrwała się z jego ramion i ruszyła w stronę podjazdu.

- Nie tak zapamiętałam naszą podróż poślubną - zawołała przez ramię.

Pospieszył za nią i chwycił pod rękę.

- To źle. Ale tak mogło być. Z odpowiednim facetem.

- Byłam z odpowiednim facetem. Z mężem, Edwardem. I bawiliśmy się... cudownie.

Odwrociła wzrok. Tru powstrzymał uśmiech. Okazała się straszną kłamczucha, zwłaszcza gdy rozmowa dotyczyła małżeństwa i byłego męża. Hallihan wątpił, czy jakikolwiek mężczyzna poznał drzemiące w Caroline pokłady namiętności. Musiałby wykazać mnóstwo cierpliwości i wytrwałości, aby dotrzeć do tej kobiety. Gdyby on właśnie odkrył prawdziwą Caroline, nie pozwoliłby jej odejść.

- Zwiedzaliśmy muzea, galerie, spacerowaliśmy po Rive Gauche. Jadaliśmy w jednej z najlepszych restauracji w mieście... Było bardzo romantycznie. Może powinnam ci o tym napisać.

- Nie trzeba. Umiem wyobrazić sobie szczegóły. Wszystko przebiegło zgodnie z planem, bez wzlotów i upadków, tyle że trochę nudno, zgadza się?

Przystanęła gwałtownie i wyrwała rękę.

- Nie! Edward i ja bawiliśmy się naprawdę znakomicie.

- Ale bez wściekłej żądy i niepohamowanej namiętności, czy tak, Caroline? Chociaż dobrze się bawiliście, czegoś brakowało.

- Nic o tym nie wiesz - wybuchnęła, owijając ciaśniej szal wokół ramion, jak gdyby chroniła się przed bolesną prawdą.

- Więc opowiedz mi! W swojej pracy wciąż trafiam na małżeństwa, które wpadły w poślizg. Opowiedz. Dlaczego rozpadł się wasz związek?

- Nie twoja sprawa— odparła, idąc dalej.

Miał odmienne zdanie. Odprowadził ją wzrokiem. Podziwiał lekkie kołysanie bioder i zgrabnie zaokrąglony tyłek. Takiego jeszcze w życiu nie widział. Wspaniałe nogi Caroline spadły na drugie miejsce w klasyfikacji najseksowniejszych cech terapeutki.

Dogonił ją na podjeździe. Stała trzy metry od jego samochodu - z dłońmi na biodrach i z wyrazem niedowierzania na twarzy. Zapomniała o gniewie i irytacji. Wodziła wzrokiem od ozdób maski, poprzez skórzaną tapicerkę aż do skrzydlatego tyłu karoserii.

- Co to jest? - spytała zaskoczona.

- Cadillac, rocznik 1957, model ze składanym dachem. Klasyka motoryzacji. Występował w filmach.

- Myślę, że powinniśmy pojechać moim samochodem - oświadczyła.

- Dlaczego? Do układnej pani doktor nie pasuje taka odlotowa gabłota?

Spokojnie wytrzymała wyzywające spojrzenie.

- Wbrew temu, co sądzisz, nie unikam chwil spontanicznej radości, oczywiście w pewnych granicach. Po prostu moje BMW jest o wiele... mniejsze. Obawiam się, że nie znajdziemy miejsca do zaparkowania tej... gabłoty.

- Cóż, spróbujemy. Używaj życia, Caroline - zażartował. - Zabaw się. Skosztuj zakazanych przyjemności!

Zmrużyła oczy i patrzyła przez chwilę spód czarnych gęstych rzęs. A potem podeszła do drzwiczek dla pasażera



i otwarta je energicznie. Tru ledwie zdążył pomóc jej wsiąść i zatrzasnąć drzwiczki.

- Nie pożałujesz - zapowiedział obiecująco, uśmiechając się szeroko.

- Już żałuję - odparła cicho.

Pomknęli w dół Laurel Canyon Boulevard. Na ciemnofioletowym niebie pojawiły się pierwsze gwiazdy. Wiał ciepły wietrzyki a jego muśnięcia przypomniały Hallihano-wiv jak bardzo kocha Los Angeles. Jednym okiem śledził jezdnię, drugim zerkał na swoją towarzyszkę. Denerwowały ją niesforne kosmyki włosów, przylegające do policzków i karku. Zanim skręcili w Santa Mónica Boulevard, po raz kolejny zatknęła skrupulatnie ten sam kosmyk za ucho. Gdy stanęli na światłach, Tru wyciągnął rękę i jednym ruchem rozpiął nienaganny koczek. Spinki i ozdobne grzebyki rozsypały się wokoło. Wiatr porwał oswobodzone, długie do ramion włosy, a Caroline krzyknęła przerażona i zła-pała detektywa za rękę.

- Co ty...

Położył palec na jej ustach.

- Spokojnie, odpręż się. - Odgarnął włosy z policzka kobiety. - O wiele lepiej.

-Wyglądam jak czupiradło, dzięki tobie.

- Chłopcy z telewizji będą zachwyceni. Zaufaj mi, znam mężczyzn nieco lepiej niż ty. Ci faceci zakochają się w twoim wyglądzie. Wyglądasz teraz zmysłowo i bardzo kobieco. Nie można ci się oprzeć.

Nakierowała na siebie lusterko wsteczne.

- Nieprawda! - Zerknęła raz jeszcze. -Mówisz szczerze?

Ustawił lusterko w poprzedniej pozycji i opuścił klapkę przeciwsłoneczną, w której zamontowano większe lustro.

- Tak, przysięgam. A teraz przestań łowić męzowskie komplementy i pozwól mi prowadzić.

Resztę drogi przebyli w milczeniu. Tru kątem oka obserwował Caroline. Spostrzegł, że im bliżej byli, tym bardziej się denerwowała i coraz częściej poprawiała włosy. Zniknęła charakterystyczna dla niej pewność siebie. A może bardziej była niepewna zachowania Hallihana?

Zaparkowali przed ekskluzywnym Regent Beverly Wilshire Hotel. Tru przekazał kluczyki strażnikowi. Kiedy wreszcie stanął u boku Caroline i wziął ją pod ramię, podniosła wzrok i uśmiechnęła się niespokojnie.

- Wszystko będzie dobrze. Nie martw się - poprosił.

- Nie martwię się. To znaczy nie za bardzo. Pamiętasz wszystko, o czym rozmawialiśmy?

- Tak - zapewnił. - Tylko się odpręż;

- Nie mogę. Nie wiem, skąd mi przyszło do głowy, że nam się uda. Jeśli od razu się wycofamy...

- Nie wycofamy się, Caroline. — Pociągnął ją do drzwi, ale powstrzymała go i spojrzała z wahaniem.

- Dziękuję, Tru. Jestem doprawdy wdzięczna, że to robisz.

Odstąpił zęby w uśmiechu i uniósł brwi.

- Żaden problem, kochanie. Supermaż Lance Leighton zawsze z radością wspomaga żonę w chwilach kryzysu.

Spoza otaczającego ją kręgu pracowników zarządu telewizji Caroline usiłowała dostrzec Hallihana. Wypatrzyła go przy bufecie, skąd, sącąc rozcieńczoną whisky, obserwował „żonę”. Przez pierwszą godzinę przyjęcia towarzyszył jej w milczeniu, kiwaniem głowy potwierdzając każde słowo. Zdobył się tylko na kilka życzliwych komentarzy. Jak

jednak przewidywała Caroline, obecność męża na przyjęciu okazała się czystą formalnością. Po ogólnym przedstawieniu gości Lance został wyłączonej z rozmów o interesach i pozostawiony sam sobie.

Godzinę spędził na pogawędce przy szampanie i kawiorze z Ellisem Stone'em i jego piękną żoną Marianne. Ku uldze Caroline teraz stał przy barze sam, Marianne pełniła po prostu obowiązki gospodyni, lecz Caroline wyczuwała w jej zainteresowaniu detektywem coś.. zaborczego.

Jęknęła w duchu. Co jej chodziło po głowie? Czyżby zazdrość? Absurd! Podświadomie bała się o coś (o kogoś), co do niej należało. Lance, jej mąż, spędził niespodziewanie dużo czasu z inną kobietą. Z atrakcyjną kobietą: wysoką, smukłą, bogatą blondynką.

Marianne przeszła przez salę, aby dołączyć do Ellisa i grupy otaczającej Caroline. Terapeutka poczuła na sobie jej wzroki jak gdyby oceniający ewentualną przeciwniczkę. Odpowiedziała uśmiechem. Powiedziała sobie, że nie ma powodów do niepokoju. Tru okazał po prostu grzeczność pani domu. Musiała też przyznać, że wieczór przebiegał raczej pomyślnie. Jeszcze nie zapadły najważniejsze decyzje. Tru w przekonujący sposób grał rolę Lance'a. Na razie. Poza tym posiadał szczególny talent oczarowywania wszystkich kobiet świata. Innym mężczyznom mogło się to nie spodobać.

Wzrok Caroline powędrował znów w stronę Hallihana. Uśmiechnął się. Fala ciepła zalała jej ciało. Poczowała rumieńce na twarzy. Tru w smokingu robił niezapomniane wrażenie: kuszące połączenie wyrafinowanej inteligencji i uwodzicielskiego czaru. Bujne włosy, zazwyczaj zwichrzone, zaczesał starannie na kark, co podkreśliło harmonię rysów twarzy.

Nie zważając na płonące policzki, przez dłuższą chwilę wpatrywała się w niego z nadzieją, że odczyta to jako prośbę o uwolnienie jej od natarczywych pytań Ellisa i jego współpracowników. Wszyscy upodobali sobie temat romansów pozamałżeńskich i chcieli poznać opinię Caroline w tej sprawie. Czuła się jak na sali sądowej. Każdą jej odpowiedź rozpatrywano według kryteriów rozrywki telewizyjnej.

Z niechęcią musiała przyznać, że Tru był jej potrzebny, właśnie tu i teraz. Kiedy stał tuż obok, obejmując ją w tali, czuła przypływ siły i wiary w siebie. Po części dlatego, że nie musiała martwić się o to, co Tru mówi do innych gości, po części zaś dlatego, że zdawał się szczerze wierzyć w powodzenie, ich przedsięwzięcia.

Zacisnęła palce na pustym kieliszku. Chociaż Tru pozbył się wszelkich wątpliwości, skurczony w supełek żołądek Caroline przypominał o zdenerwowaniu, a wypity szampan wywoływał mdłości.

- Dlaczego mężczyźni oszukują żony? - spytał Ellis.

Uśmiechnęła się z pobłażaniem.

- Badania dowiodły, że kobiety cenią monogamię, lecz mężczyźni przywiązują do wierności niniejszą wagę - wyjaśniła. - Takie zachowanie mężczyzn jest zakodowane w genach. Im więcej potomstwa przybywało danemu plemieniu, tym większe miało ono szanse na przetrwanie. My jednak nie żyjemy w epoce kamienia łupanego, prawda, panowie? Współczesne kobiety pragną wiernych małżonków. Mężczyźni muszą przewalczyć zapis genetyczny i nauczyć się żyć w dwudziestym wieku. Wielu mężczyzn wybiera wierność zamiast ryzyka utraty kogoś, kogo naprawdę kochają.

- A co pani sądzi o kobietach oszukujących mężów?  
- spytała Marianne.

Caroline spostrzegła na jej ustach cień uśmiechu.

- O kobietach?

- Tak. Przecież co dobre dla gąsiora, dobre i dla gęsi, jak mawiają niektórzy.

- Jeśli przypuszcza pani, że wzajemna niewierność służy małżeństwu, myli się pani - odrzekła Caroline. - Większość kobiet zdradza mężów, ponieważ ich małżeństwu czegoś brakuje. Zwykle brakuje uczucia, partnerstwa lub romantycznej aury. Ważne jest, aby rozmawiać z małżonkiem, przedstawiać mu swoje potrzeby i pragnienia, tak by mógł je zaspokoić. To samo dotyczy mężów.

Rozejrzała się po otaczających ją twarzach i zrozumiała, że nie zdała egzaminu. Goście wyglądali na znudzonych. Parę osób ziewało. Mimo udzielania podręcznikowych odpowiedzi nie była wspaniałą doktor Loyelace. Nie wypadła ani odważnie, ani dowcipnie, ani rozrywkowe Żołądek Caroline skurczył się do rozmiarów guzika.

- Przepraszam państwa - odezwała się z wymuszonymu śmiechem. - Muszę skontaktować się z domem. Zaraz wracam.

Wymknęła się z sali, lecz zamiast podejść do automatu telefonicznego, zбочyła do damskiej toalety. W eleganckiej łazience nie było nikogo. Zamknęła się w kabinie i wyjęła z torebki starannie złożoną karteczkę. Szybko przejrzała listę celów, jakie postawiła sobie na wieczór. Usiłowała skupić uwagę na ostatnim temacie. Co się z nią działo? Denerwowała się tym przyjęciem, od chwili gdy zawarła umowę z Tru. On spisywał się jednak wzorowo, podczas gdy ona pograżała się coraz bardziej.

Dźwięk otwieranych drzwi przywołał ją do rzeczywistości. Nie czas na tchórzostwo i kapitulację. Czas przywołać postać Carly Lovelace, bystrej i dowcipnej królowej wieczornych audycji radiowych. Jej właśnie pragnęli producenci telewizyjni, nie zaś oschłej, konserwatywnej doktor Caroline Leighton. Powiedziała sobie w myślach: „Potrafisz to zrobić!”

- Boże, chyba po następnym takim nudnym przyjęciu zacznę wyc.

Caroline natychmiast rozpoznała głos Marianne Stone. Postanowiła na razie nie wychodzić z kabiny.

- Ellis bawi się chyba dobrze - stwierdził inny głos.  
- Leci na tę psycholożkę.

— Nie przypominaj mi, proszę - odparła cierpko Marianne

— Jeśli Ellis zobaczy w pobliżu spódnicę, nie przepuści okazji, żeby się zabawić... z wzajemnością.

- Sądziś, że to ona?

- Może. Myślałam, że Ellis woli panienki, które mają siano zamiast mózgu. Wiesz, ma wybujałe mniemanie o własnej inteligencji i unika rywalizacji na tym polu. Co nie zmienia faktu, że ta Leighton jest atrakcyjna, na swój raczej intelektualny sposób.

Caroline powoli usiadła i wstrzymała oddech. Marianne nie mogła uwierzyć, że ma romans z Ellisem! Ależ Stone nie uczynił nigdy najmniejszego gestu w tym kierunku nie mówiąc o samej Caroline. Od pierwszego spotkania zachowywał się jak dżentelmen w każdym calu. Brzydziła się podsłuchiwaniami, lecz w tej sytuacji postanowiła wyteńczyć słuch.

- Ellis jest bardzo ostrożny, jeśli chodzi o romanse - ciągnęła Marianne. - To, że go dotychczas nie przyłapa-

łam, nie znaczy, że mnie nie oszukuje. Z pewnością prędzej czy później wpadnie i wreszcie doprowadzę do ostatecznej konfrontacji. Oczywiście tatuś jest wściekły. Chce, żebym się rozwiodła z Ellisem. Ale małżeństwo ma pewne... zalety.

- Widzę co najmniej jedną - stwierdził drugi głos. - Mąż przedstawił ci Lance'a Leightona. Zdaje się, że miło spędziłaś czas w towarzystwie tego cudownego młodego człowieka.

Marianne westchnęła ciężko.

- Ledwo się mieści w tym fraku, co? Ale cóż miałam robić? Żona praktycznie go opuściła, a jest zbyt uroczy, żeby podpierać ściany.

- Biedactwo. Żona pracuje dzień i noc, a on siedzi sam w domu, pisząc jakiś nudny scenariusz. Uważasz, że pozwoliliby sobie na skok w bok?

Caroline poczuła przypływ zazdrości. Nie myliła się! Marianne Stone miała chętkę na Hallihana... Na jej męża... Właściwie niedokładnie na męża - na udawanego męża.

Marianne zachichotała.

- Jak na moje wyczucie tak! Ich małżeństwo przeżywa kryzys. Wierz mi, moja droga, potrafię to poznać. Doktor Leighton nie umie nawet spojrzeć mężowi prosto w oczy. I za każdym razem, kiedy on jej dotyka, dosłownie zamiera. Ellis zamierza utopić moje pieniądze w tym poronionym programie. Nudna radiowa psycholożka, która nie potrafi uszczęśliwić własnego męża! Wyobraź sobie druzgocące recenzje. Włosy stają dęba z przerażenia! - ironizowała żona Stone'a.

Głosy się oddaliły. Trzasnęły zamykane drzwi łazienki.





dominacji w sytuacjach towarzyskich, ale nie mój Lance. To bardzo wyrozumiały człowiek. W naszym związku panuje doskonała równowaga. Prawda, kochanie?

- Tak, oczywiście.., Pełna równowaga.

- Dajcie spokój - zażartowała Marianne, chwytając Hallihana za drugi rękaw. - Musicie przecież o coś walczyć. Żadne małżeństwo nie jest idealne. - Zerknęła z niechęcią na Ellisa.

Tru roześmiał się.

- Och, my też walczymy,..

- Ale tylko o drobnostki.- przerwała mu Caroline. - Lance patrzy na każdą sytuację z wielu stron i dochodzimy do kompromisu,

Tru powiódł wzrokiem po stojących wokoło gościach.

- Nie zawsze. Czasem to ja mam rację.

- Czyż nie jest słodki? - spytała rozbawionym tonem Caroline. - Tak, kochanie, czasem myślisz, że masz rację, ale czy ci to sprawia różnicę?

Zmarszczył czoło.

- Chyba nie - odezwał się niepewnie. - Zupełnie.

- Oczywiście. Widzą państwo, obwinianie się i martwienie o to, kto ma rację, działa na niekorzyść stabilnego związku. Prawdę mówiąc, powstała między nami mała różnica zdań w drodze na przyjęcie. Tak, kochanie?

- O której różnicy myślisz?

- Przecież pamiętasz! -Caroline czule przywarła do jego ramienia.

- Opowiedz, Caroline - zachęcił z dobrze udanym opowianiem w głosie, - Zrobisz to o wiele lepiej- niż ja.

- Zabłądziliśmy - zaczęła Caroline. - A wszystkie panie wiedzą z pewnością, jak mężczyźni nienawidzą pytać

o drogę. Nigdy nie wiedziałam, po co nasz kraj wysłała aż trzech kosmonautów na Księżyc. Gdyby się zgubili, żaden nie wykazałby choć tyle rozsądku, aby spytać o drogę. Okrążyliby Jowisza, zanim znaleźliby stację paliw i poprosili o pomoc. Dlatego promami kosmicznymi latają kobiety.

Zgromadzone żony producentów wybuchnęły śmiechem i pokiwały głowami. Marianne zdobyła się ledwie na chłodny uśmiezek.

- No i widzicie? - zawołał triumfalnie Ellis. - Ma poczucie humoru! Kobiety ją uwielbiają: Przyciągnie przed ekrany miliony widzów i poda nam sukces na półmisku.

- Razem z mężem, Lance'em - stwierdził Tru półgłosem, aby usłyszała go tylko Caroline. - A wszyscy usmażeni, pokrojeni i w buraczkach.

Zerknęła spod oka na Hallihana. Za maską łagodności i obojętnego uśmiechu kryły się nieodgadnione uczucia.

- Cóż, panowie, chyba możemy posunąć się o krok i dać pani doktor Lovelace szansę sprawdzenia się w kontakcie z prawdziwą publicznością - zaproponował Ellis. - Nagramy program, a eksperci od dystrybucji pokażą go w kilku ośrodkach, aby zbadać reakcje rynku.

Producenci patrzyli na siebie przez przerażająco długą chwilę, po czym entuzjastycznie wyrazili zgodę. Fala ulgi załała serce Caroline. Wszyscy ściskali jej rękę i gratulowali. Udało się! Doktor Carly Lovelace zdała pierwszy egzamin.

Ellis przytulił ją i pocałował jako ostatni.

- Dobra robota - oświadczył. - Zaczynałem się już martwić, ale wreszcie objawiła się nam doktor Lovelace, którą wszyscy znamy i kochamy. - Nachylił się do jej ucha.

- Tylko niech nie zniknie w dniu nagrania, dobrze? - szepnął rozpaczliwie błagalnym tonem.

Nieco zeszywniała, więc zwolnił uścisk.

- Oczywiście. Nie martw się.

Ogarnęły ją wątpliwości. Tym razem postać Carly Love-lace pojawiła się na zawołanie, lecz czy uda się ją przywołać w chwili najwyższej konieczności, przed kamerami i publicznością obserwującą jej każdy gest? Caroline rzuciła nerwowe spojrzenie przez ramię Ellisa. Marianne Stone czyhała na nią niczym jastrząb. Tę sprawę trzeba było załatwić natychmiast, aby później, w studiu telewizyjnym, nie stracić panowania nad sobą.

Zwróciła się do Hallihana.

- Kochanie, udało nam się!

Spontanicznie objęła go z szyć i przycisnęła wargi do ust mężczyzny. I sama nie wiedziała, co ją pchnęło do tego pocałunku - czy wściekłość na gapiącą się Marianne, czy wdzięczność dla detektywa i podniecenie sukcesem, czy też chwilowa niepoczytalność. Kiedy jednak zaczęła, nie mogła się wycofać, jak gdyby nagle opuściła ją energia. Ciepłe, sprężyste wafgi Tru rozchyliły się, a kiedy język dotknął jej języka, jakby poraził ją prąd. Nogi ugięły się pod nią, w głowie zawirowało. To nie do pomyślenia! Musiała resztką przytomności powstrzymać Hallihana. Z wielkim wysiłkiem oderwała się od niego.

Zamglone oczy mężczyzny świadczyły o rosnącym pożądaniu, lecz wołała je wziąć za zakłopotanie.

- Interesujący zwrot akcji - szepnął. - Sądzę jednak, że potrzeba nam więcej prób.

Gdyby nie otaczający ich tłum, z pewnością Tru poszedłby za ciosem i wykorzystał słabość Caroline. Pragnął

pocałować ją znów, długo i namiętnie. Gzytała to w jego oczach. I coś więcej.

Rozejrzała się po sali; Producenci wciąż ściskali sobie dłonie i poklepywali się po plecach na potwierdzenie świeżo ubitego interesu. Marianne Stone nie spuszczała wzroku z „Leightonów”. Wyraz podejrzliwości na jej twarzy ustąpił miejsca zazdrości. „Tylko spróbuj zabrać mi męża!” - pomyślała Caroline. I, jak gdyby odczytawszy tę groźbę, Marianne przyłączyła się do Ellisa i jego rozmówców.

- Czy ten punkt programu mamy za sobą? - spytał Tru półgłosem. - Bo jeśli tak, chciałbym omówić z tobą pewną kwestię z zakresu protokołu małżeńskiego. Na osobności..

Nie zważając na gości, chwycił Caroline za łokieć i delikatnie pociągnął w stronę wnęki kryjącej wejście do hotelowej kuchni.

- Dokąd mnie prowadzisz? - Próbowała się wyrwać, lecz trzymał mocno. - Tru, przestań. Nie możemy ot tak, po prostu wyjść. Puść mnie!

- Musimy porozmawiać - oznajmił surowo. - Natychmiast.

- O czym? Wszystko idzie dobrze. Udało nam się.

Wciągnął ją do wnęki i przyparł do ściany.

- Czy zechciałabyś wyjaśnić, co ty właściwie wyprawiasz, Caroline?

- Przepraszam, ale nie miałam wyboru. Podśлуchałam rozmowę Marianne Stone w toalecie. Podejrzewała, że nasze małżeństwo przeżywa kryzys, więc postanowiłam jej udowodnić, że... że się myli.

- Ośmieszylaś Lance'a na oczach wszystkich.

Nie! Pocałowałam cię! Pomyślałam, że to jedyny sposób, aby pokazać, że wciąż namiętnie się kochamy.

- Nie mówię o pocałunku, tylko o tym, że publicznie odarłaś mnie z męskości. Caroline, wszyscy mężczyźni na sali patrzyli na mnie jak na pantoflarza, półgłówka, który pozwala żonie grać pierwsze skrzypce w rodzinie.

- Nie bądź śmieszny. Nic takiego nie zrobiłam. A poza tym mówiłam o Lansie, nie "o tobie - stwierdziła ironicznie.

- tylko szaleńcowi przyszedłoby do głowy, że oddałbyś jakiegokolwiek kobiecie palmę pierwszeństwa, nie mówiąc o własnej żonie.

- Wyszedłem na idiotę. Wszyscy się nade mną litują. Uważają mnie za ofermę.

- Nieprawda. Uważają cię za dobrego, wrażliwego mężczyznę, który pragnie jak najlepiej dla swojego małżeństwa,

- Uważają mnie za ofermę - upierał się.

- Nie jesteś...

. Zamknął jej usta pocałunkiem, krótkim, ale gwałtownym. Zadrżała aż po koniuszki palców. Ujął jej twarz w dłonie, cofnął się o krok i zajął głęboko w zielone oczy.

- Nie jestem Lance'em i nie jestem ofermą. Nazywam się Tru Hallihan. I niech pani o tym nie zapomina, doktor Leighton.

To powiedziawszy, odwrócił się gwałtownie i dołączył do gości.

## ROZDZIAŁ

# 4

Po pięciu minutach Caroline, całkiem już opanowana, wróciła na salę. Tru dyskutował właśnie z zapałem na temat wędkarstwa z Ellisem Stone'em. Jak na rozpustnika oszukującego żonę nie był z niego taki zły człowiek. Nie wiele starszy od Hallihana, tuż po czterdziestce, dorastał w pobliżu rodzinnego domu detektywa, w Reseda. Pochodził z ubogiej warstwy mieszkańców Los Angeles, lecz potrafił się wybić, w czym oczywiście pomogło mu poślubienie bogatej panny.

Ignorując rozmówcę „męża”, Caroline z determinacją w oczach podeszła wprost do Hallihana.

- Kochanie, chyba już czas się pożegnać - oznajmiła.
- Musisz zdążyć na poranny samolot.
- Wyjeżdżasz? - spytał Ellis.

Tru zerknął na terapeutkę. Wymyśliła tę historię na własną rękę. Do niej należały szczegóły, choćby nawet sprzeczne z jego wersją.

Kiwnęła głową.

- Tak. Lance leci do Nowego Jorku... w interesach. Nie będzie go bardzo długo.
- Ale zdążysz wrócić przed weekendem, prawda? Z ra-

dością zaprosimy was do naszego domku nad Lake Arrowhead.

- Lake Arrowhead? - zdumiała się Caroline.

- Ellis chce nam odstąpić na weekend domek nad jeziorem, kochanie.

Gładko przełknęła nowinę.

- A czy wspomniałeś, najdroższy, że weekend spędzisz jeszcze w Nowym Jorku?-spytała.

- Nie. Na pewno wrócę. Przyjąłem zaproszenie w imieniu nas obojga.

- Przyjąłeś? Ależ, Lance, z pewnością nie zdążysz załatwić wszystkich spraw w Nowym Jorku, i to jeszcze przez część następnego tygodnia. Nie pamiętasz, że o tym rozmawialiśmy?

Potrząsnął głową.

- Nie, Caroline, jestem przekonany, że wrócę w czwartek. A poza tym z przyjemnością spędzę weekend w górskiej ciszy. Ellis mówi, że ryby tam biorą. Wspaniale odpoczniemy.

- Nie sądzę, Lance.

Boże, ależ kobiety potrafią być uparte! Tru nie zamierzał jednak wejść znów w rolę potakującego pantoflarza. Nadszedł czas, by Lance, jak prawdziwy mężczyzna, śmiało stawiał czoło dominującej żonie.

- Caroline, chcę, żebyśmy przyjęli zaproszenie Ellisa - odezwał się pozornie opanowanym głosem. - Pojedziemy do Lake Arrowhead. Koniec dyskusji.

Ellis klepnął go po plecach, wyraźnie dumny z pierwszego przejawu samodzielności Lance'a.

- O to właśnie chodziło! - stwierdził. - Lance, to moja wizytówka. Sekretarka powie ci, jak tam dojechać i jakim

kodek wyłączyć system alarmowy. Klucz leży pod doniczką przy drzwiach komórki. Życzę miłego, spokojnego weekendu. Kiedy Caroline zacznie regularnie prowadzić swój program, będziecie mieli mało czasu dla siebie. Wykorzystajcie więc okazję.

Tru uściśnął dłoń Ellisa.

- Dziękujemy ci bardzo. Marzyłem o wybraniu się na ryby i porządnym odpoczynku. Caroline na pewno też się tam spodoba. Prawda, najdroższa?

Uśmiechnęła się nerwowo.

- Tak, oczywiście. Dziękuję, Ellis. A teraz lepiej już pójdziemy. Zadzwońę do ciebie w sprawie scenariusza pierwszego programu.

Chwyliła Hallihana pod ramię i ruszyli przez zatłoczoną salę. Tylko zaciśnięte kurczowo palce świadczyły o wściekłości Caroline. Natychmiast po wyjściu na ulicę gniew zaczął w niej kipieć. Nie odezwała się, dopóki samochód nie skręcił na Wilshire Boulevard.

- Jak mogłeś? - wybuchnęła.

Zmarszczył brwi.

- Niby co?

- Jak mogłeś przyjąć następne zaproszenie od Ellisa Stone'a?

- Jezu, sam nie wiem. Facet proponuje weekend za darmo w luksusowej górskiej posiadłości. Od wielu miesięcy nie opuszczałem miasta. Nie wspominając o tym, że Ellis nie liczył się z odmową. Powinnaś o tym wiedzieć.

- Dobrze wiesz, że nie tak się umawialiśmy. Po dzisiejszym wieczorze Lance miał zniknąć. Zresztą nie jest wcale amatorem wypadów na zieloną trawę!

- Lance jest facetem, a faceci lubią wędkować. Mają to



zapisane w genach. Skąd w ogóle wiesz, co on lubi? Przecież Lance nie istnieje.

- Nie lubi łowić ryb i nie lubi gór! - upierała się. -  
Wiem na pewno!

- Dobry Boże, jakie zatem rozrywki uważasz za stosowne dla Lance'a? Hafciarstwo i pichcenie w kuchni? Tak się składa, że ja lubię wypoczywać na świeżym powietrzu.

- Twoje upodobania nie mają znaczenia. Nie jesteś moim mężem.

- Zachowujesz się, jakby to była moja wina.

- A czyja?

- Wzajemne obwinianie się i spieranie, kto ma rację, narusza fundamenty związku — przedrzeźniał jej własne słowa. - Gdzie ja to już słyszałem?

- Nie łączy nas żaden związek!

- Pocałowałaś mnie.

- Co ztego? Ty też mnie całowałaś.

- I podobało ci się, prawda?

Zerknęła spod oka na Hallihana. Wiatr rozwiewał jej ciemne włosy.

- Nie podobało mi się ani trochę.

Wyglądała groźnie i bezbrinnie zarazem. Hallihana aż kusiło, aby zatrzymać samochód i znów ją pocałować. Nie widział jeszcze równie rozkosznych ust, pięknych nawet wtedy, gdy twarz Caroline przybierała zacięty wyraz. Zdecydowanie podobały mu się usta doktor Leighton. Nawet bardziej niż nogi. Albo tyłeczek.

Wcisnęła się w fotel, otuliła ciasno szalem i skrzyżowała ręce na piersiach. Sprawiała wrażenie osoby, która chętnie walnęłaby swego towarzysza w nos lub wyskoczyła z pędzącego samochodu. Boże, jakże wspaniale umiała się

wściekać! Ogień i pasja wstępowały w tę zazwyczaj chłodną i opanowaną osobę.

Dalsza jazda upłynęła w ciszy. Samochód stanął na podjeździe przed domem Caroline, a Tru pomyślał, że tylko wielki marzyciel mógł oczekiwać innego zakończenia wieczoru. W życiu nie spotkał tak przekornej kobiety. Nic dziwnego, że jej mąż wziął nogi za pas. Trzeba by mieć nerwy ze stali, żeby znieść na co dzień jej potrzebę dominacji.

Caroline wysiadła i trzasnęła drzwiczkami.

- Dobranoc, panie Hallihan. Żegnam. Ponieważ nie dopełnił pan warunków umowy, i ja nie zamierzam jej dotrzymać - oświadczyła. - Proszę nie czekać na mnie z pokresem. Nie przyjdę.

Pomaszerowała do domu. Zaklął cicho i wyskoczył z samochodu bez otwierania drzwi.

- Zaczekaj! Zrobiłem wszystko, co do mnie należało. Uwierzyli, że jestem twoim mężem. Osiągnęłaś cel.

Odwróciła się gwałtownie.

- I przyjąłeś niedorzeczne zaproszenie do domku Ellisa. Nie martw się, sama to odwołam. Lance wyjedzie w bardzo długą podróż służbową.

- Ja też zadzwonię do Stone'a. Opowiem o naszym szczęśliwym małżeństwie. Streszczenie trzydniowej znajomości nie zajmie wiele czasu!

Oczy Caroline płonęły furia, lecz nie straciła kontroli nad sobą. Zacisnęła pięści.

- Tego się spodziewałam! Jesteś zdolny do szantażu. Podły, nikczemny...

Przygarnął ją do siebie i pocałował. Oszołomiona, nie broniła się. Zanim zrozumiała, co się dzieje, pocałunek stał

się namiętny. Caroline nie mogła zaprzeczyć, że między nimi coś zaiskrzyło. I Tru to czuł.

Wreszcie mężczyźni cofnął się o krok i spojrział w szeroko otwarte zielone oczy. Odetchnęła głęboko.

- ...szczeniak, który nie wie, co to honor - ciągnęła drżącym głosem, jak gdyby pocałunek znaczył dla niej tyle co bzyk nieznośnego komara. - Szkoda, że się z tobą zadalam. Powinnam trzymać się z daleka od takiego diab...

Zamknął jej usta pocałunkiem, chcąc w ten sposób dowieść swojej racji. Język Hallihana igrał na ustach kobiety, kusząc, by je rozchyliła. Westchnęła cicho. Tru z zachwytem popatrzył na jej zarumienione policzki i obrzmiałe wargi. Zaznaczył kciukiem wilgotny ślad na policzku Caroline, wiodący od kącika ust.

- Możesz mnie całować do woli - stwierdziła półgłosem - i tak nie zmienię zdania na twój temat i wyjazdu nad Lake.Arrowhead.

- Przyjemnie chociaż spróbować, prawda? - spytał, odślaniając zęby w uśmiechu.

Nachmurzyła się, co wyglądało wielce zachęcająco. Tru wiedział, że jej opór słabnie.

- No dobrze - wyrwała się z jego objęć - o jaką sumę poszło w tym głupim zakładzie?

Wzruszył ramionami.

- Około stu pięćdziesięciu dolarów - mruknęła do siebie, wydając z torebki pióro i książeczkę czekową. Wypisała czek i oderwała z bloczku. - Psie pieniądze! Warto tyle zapłacić, żeby pozbyć się ciebie z mojego życia. - Wręczyła czek detektywowi. - Proszę. Jesteśmy kwita.

Pochylił się, żeby znów ją całować, lecz cofnęła się o krok. Schował czek do kieszeni smokingu.

- Wykonałeś swoje zadanie, i to dobrze. Teraz jednak nie ma powodu, żebyśmy się jeszcze kiedykolwiek zobaczyli. Żegnam, panie Hallihan.

Odwróciła się sztywno i odeszła.

- Tym czekiem nie wyrównasz rachunków, Caroline -zawołał. - Czekam na ciebie w barze „U Flynnna” we wtorek wieczorem.

- Obyś sienie przeliczył!

- Powinnaś iść ze mną. - Podekscytowana Aurora położyła torby ze sprawunkami na biurku Caroline. - Robienie zakupów z wróżką ma swoje zalety. Potrafię wyczuć największe okazje. Popatrz tylko.

Para oliwkowych butów wojskowych wylądowała tuż obok drugiego śniadania terapeutki, omal nie czyniąc spuszczenia w sałatce i mrożonej herbacie.

- Urocze .- oceniła Caroline. - Wybierasz się na poligon, na ćwiczenia dla parapsychologów?

- Nie masz wyczucia stylu - zażartowała Aurora, wjmując nabijane świekami czarne lakierki na dziesięciocentymetrowym obcasie.

- Interesujące - skomentowała Caroline. - Dodawano do tego szpicrutę z pięćdziesięcioprocentowa zniżką?

- Znalazłam też coś dla ciebie. - Z kolejnego pudełka Aurora wyciągnęła beżowe pantofle i pomachała nimi przed nosem przyjaciółki. - Obcas pięć centymetrów, siódemka w neutralnym kolorze; Pięćdziesiąt sześć dolarów, przecena ze stu dwudziestu.

Caroline wyrwała jej buty z rąk.

- Wspaniałe! Szukałam właśnie tego odcienia, na niskim obcasie. To pierwszy punkt na liście ubraniowych

spraw do załatwienia. Skąd wiedziałś, czego potrzebuję?  
I skąd znałaś mój rozmiar?

Aurora uśmiechnęła się tajemniczo i postukała w skroń wściekle fioletowym paznokciem.

- Parapsychologia! Poza tym pokazałaś mi tę listę przy okazji wspólnych zakupów.

- Dziękuję. Będą świetnie pasowały do mojego nowego kostiumu,

Aurorą opadła bez sił na fotel dla gości i przerzuciła nogę przez poręcz.

- Wiesz, na podstawie obuwia mogę powiedzieć mnóstwo rzeczy o danej osobie- Wybacz górnolotne określenie, ale buty są jak okno duszy. Czasem mówią więcej niż karty tarota.

Garoline jęknęła na taką niedorzeczność. Aurorą zawsze umiała ją rozśmieszyć, kiedy Garoline znalazła się w dołku psychicznym. Nosząca zwariowane fryzury i ekstrawaganckie ubrania Aurora żyła na pełnych obrotach, Chociaż wydawała się wciąż roztrzepana, bezbłędnie wyczuwała złe nastroje przyjaciółki i wpadała wtedy na pogaduszki od serca...

- Wprawdzie Freud pomijał buty jako narzędzie psychoanalizy, ale ja jestem otwarta na wszelkie nowinki naukowe - zażartowała Caroline. - Opowiedz o swojej teorii. Co widzisz w moich podszwach?

Aurora uniosła beżowy pantofel i zmierzyła go wzrokiem.

- Cała ty. Kiedy ujrzałam te buty, zawołały twoje imię. To znaczy przemówiły do mnie telepatycznie.

- I co stwierdziły? Długo rozmawialiście?

- Przeważnie przedstawiasz światu takie właśnie obli-

cze: osoby neutralnej, konserwatywnej, praktycznej. - Aurora postawiła czarny lakierek na strzelistym obcasie obok klasycznego pantofla. - Czasem jednak pragniesz być taka oto: szalona, bez zahamowań, nieco lekkomyślna.

- Nieprawda! Za żadne skarby nie włożyłabym tych szpilek!

- Ale Carly Lovelace owszem - odparła Aurora. - A czyż Carly Lovelace to nie prawdziwa ty, usiłująca przebić się przez grubą skorupę?

Caroline otworzyła usta, lecz zrezygnowała z odpowiedzi. Musiała przyznać, że ekstrawaganckie buty dziwnie ją zafascynowały. Od chwili gdy je ujrzała, zastanawiała się, jak by w nich wyglądała. Chociaż nIGdy nie uważała się w najmniejszym stopniu za kobietę lekkomyślną i bez zahamowań, Carly Lovelace z pewnością posiadała te cechy. A może dzięki wymyślonej postaci Caroline w prosty sposób uwalniała inną stronę swej osobowości?

Jeszcze rok wcześniej nie uznałaby Hallihana za atrakcyjnego mężczyznę. Ostrzegała radiosłuchaczy przed typem „niegrzecznego chłopca”. Stawiała sobie za cel przestoczenie kogoś takiego w idealnego męża. Teraz podświadomie czuła, że Tru ją pociąga. Wiedziała, że to oznacza same kłopoty, a jednak nie potrafiła wyrzucić go z pamięci.

- Dalej, przymierz! Przecież tego chcesz.

Caroline zerknęła na rozbawioną twarz przyjaciółki. Aurora miała zadziwiający (a czasem irytujący) dar czytania w jej myślach.

- Zgoda! Ale tylko dlatego, że nie dasz mi spokoju.

- Zsunęła solidne granatowe półbuty i włożyła czarne szpilki. - Proszę. Zadowolona?

- I jak się czujesz?'

- Śmiesznie - odburknęła. - Może odrobinę na luzie
- przyznała. - Za to zdecydowanie lekkomyślnie.

Aurora zachichotała z satysfakcją.

- Niektóre kobiety wydają przez lata po sto dolarów za godzinę terapii, a Aurora Starr wydobywa ich ukryte „ja” za pomocą pary butów. Na widok takich butów mężczyźni błagają o litość. Są jak niebezpieczna broń. Darrell zachwyciłby się i zapłonał dziką żądzą.

Caroline uśmiechnęła się. Trudno było sobie wyobrazić Darrella szalejącego na punkcie czegokolwiek. Na pozór on i Aurora stanowili najbardziej niedobraną parę pod słońcem. Pracował jako programista gier komputerowych/Ich małżeństwo trwało już piętnaście lat i chociaż Caroline często pytała przyjaciółkę o receptę na sukces, ta odpowiadała tylko: jesteśmy jak dwie połowy jednego jabłka.

W swojej karierze zawodowej Caroline rzadko miała do czynienia z małżeństwami, które nie straciły pierwotnego rozędu i blasku. Aurora i Darrell odkryli magiczną formułę, dzięki której ich związek nieustannie kwitł. O ileż łatwiej wyglądałaby praca terapeutki, gdyby mogła dać pacjentom lekarstwo na wyleczenie obumierającego małżeństwa.

- Jak to robicie? - spytała Caroline, paradując zamyślna w nowych butach.

- To kwestia równowagi - wyjaśniła Aurora. - Trzeba też uważać na dziury w chodniku. I stawiać ciężar ciała na przodzie stopy.

Caroline zatrzymała się zaskoczona.

- Na przodzie stopy? Co to ma wspólnego z udanym małżeństwem?

Aurora zmarszczyła czoło.

- Sądziłam, że pytasz o metodę chodzenia w szpilkach.

- Szalony pomysł - mruknęła Caroline, kręcąc głową, i opadła na krzesło.

- Chcesz wiedzieć, dlaczego Darrell i ja trzymamy się wciąż razem? - Aurora wzięła głęboki oddech i zastanawiała się przez chwilę. - Cóż, to kwestia równowagi. Trzeba też uważać na dziury w chodniku. I jeszcze...

- Stawiać ciężar na przodzie stopy? - dodała Caroline.

- Właśnie o to w tym wszystkim chodzi. O wiele mniej skomplikowana sprawa, niżby się wydawało. Nigdy nie wątpiliśmy, że jesteśmy stworzeni do tego, by spędzić życie jako mąż i żona. Wszelkie problemy tracą znaczenie przy kosmicznej sile, która nas łączy.

- Jesteście tacy różni.

- Czasem myślę, że dzięki temu trwamy razem. Darrell nie przestaje mnie fascynować. Ma te cechy, których mi brakuje. I vice versa. Każdy dzień to dla nas przygoda.

O dziwo, podobnymi słowami Caroline opisałyby siebie i Hallihana.

- Nie takie to proste, Auroro. Próbowałam skleić setki małżeństw i wiem, że trzeba czegoś więcej.

- Sądzę, że każdy ma własną definicję małżeństwa. Wybująe oczekiwania i niezliczone warunki utrudniają wspólne życie i najczęściej prowadzą do rozpadu związku. Prostota, szczerosc i uczucia - oto fundamenty.

Prostota i szczerosc. Nagle Caroline poczuła się bardzo zmęczona. Lata nauki, doktorat z psychologii, prywatny gabinet w Beverly Hills - wszystko to traciło sens przy kilku słowach Aurory. A ona próbowała ratować pary, które nIGdy właściwie się nie kochały. Westchnęła.

- Na tym polega problem ze współczesnym małżeństwem. Ludzie oczekują zbyt wiele. Nie wyłączając mnie.



- Co cię naprawdę gryzie, Caroline? Nie zaprosiłaś mnie chyba, żeby rozmawiać o moich poglądach na małżeństwo?

- Wcale cię nie zapraszałam. Sama wpadłaś.

Aurora zerknęła z powątpiewaniem.

- Zgoda, jeśli chcesz w to wierzyć. Opowiedz o nim.

- O kim?

- O mężczyźnie absorbującym twoje myśli. Czuję dziwne wibracje. Widzę twójego męża, lecz nie Edwarda. Powiedz prawdę, Caro, bp i tak prędzej czy później się dowiem.

- Zwolnię Janine — zagroziła Caroline. - Muszę tylko znaleźć równie dobrą sekretarkę.

- Janine nic nie powiedziała.

Caroline zagłębiła widelec w sałatce, udaj ąc, że ta czynność pochłania ją bez; reszty.

- Nazywa się Tru Hallihan i jest prywatnym detektywem, jak również moim mężem, Lance'em Lovelace'em.

- Znalazłaś kogoś do tej roli?

- Tak. Dobrze się spisał. Producenci uważają mnie za szczęśliwą mężatkę i chcą nagrać próbne *talk show*. A potem powiem im prawdę.

- Więc na czym polega problem?

- W zasadzie na niczym. W rewanżu za występ mam dziś wieczorem iść z nim na pokera. To znaczy, doktor Carly Lovelace powinna pójść. Ja nie idę.

- Dlaczego? Zapowiada się zabawnie.

- Nie chcę. Tru Hallihan doprowadza mnie do szału. Przy nim mówię i robię rzeczy, które... Auroro, jestem szanowaną terapeutką i nie mogę pojąć, dlaczego tak na niego reaguję. Poza tym nie dotrzymał warunków umowy, więc nie czuję się zobowiązana do rewanżu.

- Czego się boisz, Caroline?  
- Z pewnością nie jego! Ale w jego pobliżu... tracę kontrolę nad sobą i wszyscy psychologowie świata nic na to nie poradzą! A przecież jako specjalista od ludzkich zachowań potrafię przewidywać reakcje, a nawet nimi sterować. To mój zawód.

- Kiedy on cię całuje, twoja samokontrola ulatnia się bez śladu?

Caroline westchnęła i odłożyła widelec.

- Dokładnie tak się dzieje. Bóg jeden wie, dlaczego Tru mnie pociąga. Chodzący kłopot. Nie w moim typie. Byłby okropnym mężem.

- Mówisz jak twoi radiosłuchacze. A co doktor Carly Lovelace poradziłaby pacjentce Caroline Leighton?

- Kazałabym jej zaufać instynktowi i trzymać się z daleka od tego mężczyzny. Przeprowadzić się do innego stanu, innego państwa i poszukać odpowiedniego kandydata na męża.

Aurora wstała z fotela i pstryknęła palcami.

- Oto twoja odpowiedź!

- Sądzisz, że tak powinnam postąpić?

- Nie, tak sądzi doktor Lovelace. Wchodzą tu w grę kosmiczne siły, Caro. Nie uciekniesz od przeznaczenia. Radzę ci słuchać głosu serca i mieć umysł otwarty.

- Żebyś mogła w nim czytać?

- Książki telefoniczne są ostatnio ciekawsze - zażartowała Aurora, idąc do drzwi. - Widzę jednak dla ciebie pewną nadzieję.

Caroline zorientowała się, że czarne szpilki zostały pod jej biurkiem.. Chwyciła je szybko i pobiegła za przyjaciółką.

- Auroro, twoje buty!

Wróżka przystanąła na progu i odwróciła się z konspiracyjnym uśmiechem.

- Kupiłam je dla ciebie, Caro. To nie mój rozmiar.

Pomachała na pożegnanie i pomaszzerowała do swojego gabinetu. Brzęk jej bransoletek rozbrzmiewał w całym holu.

Caroline zerknęła na błyszczące czarne pantofle i przeniosła pytający wzrok na Janine. Recepcjonistka uniosła brwi.

- Pasują -stwierdziła. -Akurat dla ciebie.

- Nie przyszedłem tu na przesłuchanie w sprawie randki - zapowiedział Tru. - Przyszedłem zagrać w pokera.

- Miałeś randkę? - spytał Josh. - Kiedy?

- Nie pamiętasz? Przecież byłeś w barze w sobotę wieczorem. Tru włożył smoking.

Josh zmarszczył brwi.

- Garrett mówił, że idziesz na pogrzeb.

Tru uśmiechnął się, pokręcił głową i przetasował karty. Cały Josh. Jeżeli rozmowa nie dotyczyła inwestowania kapitału, kruczków podatkowych i urzędów skarbowych, wyłączał się zupełnie.

- A więc jak przebiegła randka? - zagadnął Garrett.

- Kto wam powiedział o randce?

- Ty. Przed chwilą - wyjaśnił oszołomiony Josh.

Hallihan wzruszył ramionami.

- Właściwie nie chodziło o randkę, lecz o zobowiązanie towarzyskie. Czysta wymiana usług.

- Barter? - zainteresował się Josh. - Opodatkowanie handlu barterowego to skomplikowana sprawa. Jedna ze

stron zgłasza przedmiot wymiany jako koszty, druga zaś jako przychód. Należy także wypełnić formularz numer...

- Nie martw się, Josh - przerwał mu Tru. - Ta transakcja nie leży w gestii urzędu skarbowego.

Bob i Eddie skończyli pić piwo przy barze i dołączyli do kolegów.

- Ciagniemy po pięć kart - obwieścił Garrett. - Jak tam sprawa, którą rozpracowujesz? Przyłapałeś już faceta ze spuszczoneymi spodniami?

- Jeszcze nie. Ale zbliżam się do tego. Coraz bardziej.

Tru rozsiadł się na krześle i wbił wzrok w wachlarzyk kart. Usiłował otrząsnąć się z dziwnego przecucia wiszącego nad nim niczym chmura smogu nad Los Angeles. Czegóż jeszcze potrzebował? Przed trzema dniami poznał i Ellisa, i Marianne Stone'ów. Dostał zaproszenie do ich przekłętego domku. A jak się już zorientował, wystarczyło umiejętnie przycisnąć Ellisa przy koniaku, żeby wyśpiewał swoje męskie grzeszki.

Tru odetchnął głęboko. Co go właściwie niepokoiło w rutynowym śledztwie? Dwadzieścia tysięcy dolarów leżało na wyciągnięcie ręki. Czuł, że jakieś tajemnicze siły wkroczyły do akcji. Spotkał Simona Marshalla i dostał in-tratne zlecenie dokładnie wtedy, gdy tego najbardziej potrzebował. A potem dziwny zbieg okoliczności: Carly i Caroline, głos w radiu i twarz w teleobiektywie. Powiązania kobiety z Ellisem i z detektywem. I oczywiście lustro...

- Skoro sukces się zbliża, czemu jesteś taki ponury? - spytał Garrett. - Sądziłem, że wpadnie ci trochę docłów.

- Tak, jeśli dostarczę dowodów czarno na białym. - Zaważał się. - McCabe, zasz to miasto od podszewki. Mam pewną sytuację hipotetyczną.

- Facet zabawia się z bliźniaczkami w kąpieli? Sytuacje hipotetyczne potrafią człowieka rozśmieszyć.

- Tutaj chodzi o firmę produkcyjną. Mąż ją prowadzi, a żona daje pieniądze. Bogaty też podejrzewa faceta o zdradzanie żony i chce się go pozbyć z rodziny na dobre. Co stanie się z firmą?

- Mówiąc hipotetycznie, nie specjalizuję się w rozwodach.

- Radziłbym żonie wycofać swoje udziały i zaprzestać inwestowania w firmę - wmieszał się Josh.

- A projekty w toku realizacji...

- Po prostu upadną - dokończył Garrett. - Stone ma za mało własnego kapitału. Musi polegać na inwestorach z zewnątrz. Czy taka odpowiedź ci wystarczy?

- Tak - odrzekł Tru wracając do gry;

W ciągu minionych trzech dni przyłapywał się wciąż na rozmyślaniu o Caroline, o jej zmysłowym głosie, rewelacyjnych nogach i słodkich ustach. Zamiast walczyć ze wspomnieniem terapeutki, postanowił się nim cieszyć. Dzięki temu łatwiej znosił długie godziny śledzenia „obiekta”.

Nie czuł się odpowiedzialny za szczęście Caroline. Samo myślenie o kobiecie nie oznacza jeszcze więzi. Dziwnie pojmowany honor nakazywał mu jednakże zrezygnować ze zlecenia. Wiedział, co jego ewentualny sukces oznacza dla Caroline, i wzdragał się przed wyrządzeniem jej krzywdy.

Ale z drugiej strony zdawał sobie sprawę, ile znaczy dla niego pomyślne zakończenie sprawy. Dwadzieścia tysięcy dolarów i stałe zlecenia. Szansa solidnej przyszłości. Koniec z długami, brakiem prądu i samochodu, z życiem od zlecenia do zlecenia.

Zerknął na zegarek. Dziesiąta trzydzieści. Caroline spóźniała się, i to bardzo. Kończyła audycję o dziewiątej. Jazda do baru zajęłaby jej najwyżej czterdzieści pięć minut. Czy naprawdę spodziewał się, że przyjdzie? Przecież zapłaciła za to, żeby go więcej nie oglądać. I nie rozstali się na stopie przyjacielskiej.

- Gdzie ona jest, Hallihan? - Garrett czytał w jego myślach. - Miała przyjść dziś na pokera. No więc, gdzie doktor Carly Lovelace?

- Przyjdzie - mruknął Tru. - Nie martw się.

- Ustaliłeś jej tożsamość? - zagadnął Eddie.

- Tak. To Caroline Leighton. Zajmuje się poradnictwem małżeńskim. Ma prywatny gabinet w Beverly Hills.

- Pokaż przynajmniej czarno-białe fotki - zażądał Garrett.

- Zepsuła mi film - wyjaśnił Tru, uśmiechając się na wspomnienie jej gwałtownej reakcji,

- Tru, bądźmy szczerzy. Ona nie przyjdzie, prawda? Nie mogę dłużej czekać. Kim mnie zabiję, jeśli zaraz nie wrócę do domu.

- Ach, rozkosze małżeńskie - szydził Garrett, naśladując gestem zaciskanie pętli na szyi.

- Nie jest tak źle - przekonywał Eddie. - Powinieneś spróbować.

- Nawet za milion lat! Niektórzy z nas są stworzeni do korzystania z życia, prawda, Tru?

Hallihan wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Małżeństwo może się okazać niezłą imprezą, jeżeli trafisz na odpowiednią kobietę,

- Zaraz, zaraz! - wykrzyknął Garrett. - Co ci się stało, Tru? Romansik z rozpustną klientką? Czy pani doktor Lovelace urządziła ci pranie mózgu? Nie możesz ot tak,

po prostu zmienić poglądów. Josh, słyszysz, co wygaduje Hallihan?

- Małżeństwo niesie ze sobą pewne korzyści podatkowe - przyznał Josh. - Posiadanie potomstwa daje dodatkowe ulgi.

- Nie mam nic przeciwko ustatkowaniu się — dodał Bob. - Czy doktor Lovelace radziła ci, jak szukać żony?

- Nie wierzę własnym uszom! Czyście, chłopcy, postradali zmysły? - zaprotestował Garrett.

- Podoba mi się małżeństwo - przyznał Eddie. - Kim i ja tworzymy solidny związek, mamy córeczkę. Kim wierzy we mnie. Kiedy sprzedam scenariusz, mój wkład w utrzymanie rodziny będzie większy niż dotychczas.

- W tym tygodniu na pewno wniesiesz więcej o dwadzieścia pięć doliczów - zauważył Garrett. - Sądzę, że doktor Lovelace nas dziś nie odwiedzi.

- Inaczej określiliśmy warunki zakładu. Tru miał wytropić kobietę i przynieść zdjęcia. I wytropił, więc powinniśmy wypłacić przynajmniej część kwoty - podsumował Josh.

- Nieważne, Josh. Umówmy się inaczej. Zatrzymacie pieniądze, a ja nie będę musiał paradować w spodenkach po barze. - Tru cisnął karty na stół i dopił piwo. - Na mnie czas. Jutro wcześniej wstaję.

Ruszył do drzwi i wtedy ją zobaczył. Pochylona nad kontuarem, rozmawiała z barmanem. Odwróciła się we wskazanym kierunku i napotkała wzrok Hallihana.

Znieruchomiała. Twarz jej stężała. Skinęła głową detektywowi. Z brązową kopertą pod pachą podeszła do stołu pokerowego. Gracze odłożyli karty i spojrzeli zaciekawieni.

- Panowie, nazywam się Carly Lovelace. - Wyjęła

z koperty plik zdjęć i, okrążając stolik, położyła po jednym przed każdym z mężczyzn. - Jeśli się dobrze orientuję, pan Hallihan obiecał wam fotografie. Mam nadzieję, że te was satysfakcjonują, co zamyka sprawę zakładu. Dobranoc.

Zniknęła równie szybko, jak się pojawiła. Niczym burza śnieżna zostawiła po sobie lodowatą ciszę.

Garrett nachmurzył się.

- To naprawdę Carly Lovelace?
- Głos miała podobny - skomentował Eddie.
- To na pewno ona. Do zobaczenia, chłopcy. I nie zapominajcie, że każdy płaci mi dwadzieścia pięć dolców - zawołał Tru, biegnąc do wyjścia.

Dogonił ją przy samochodzie.

- Caroline, zaczekaj. - Chwycił ją za łokieć. - Nie tak się traktuje męża!

Potrząsnęła głową i roześmiała się cicho.

- Gdybym wiedziała, że tak trudno będzie się ciebie pozbyć, nigdy bym cię nie poślubiła.

- Bo przecież wcale nie chcesz się mnie pozbyć, prawda?

Odwrociła się ze smutnym uśmiechem na twarzy.

- Ja już nie potrzebuję męża. A ty chyba nie chcesz żony.

- Skąd wiesz, czego chcę?

Zaczerpnęła głęboko powietrza i nerwowo splótła palce.

- Tru, myślę, że najlepiej będzie, jeśli raz na zawsze położymy kres tej... znajomości. Uwierz komuś, kto zna delikatną materię związków damsko-męskich. Powinniśmy uznać za wielkie szczęście, że nie jesteśmy prawdziwym małżeństwem. Byłaby to katastrofa na miarę trzęsienia ziemi.

- Przesadzasz - zażartował.

Caroline wyjęła z torebki kartkę.



- Popatrz, zrobiłam listę powodów stojących na przeszkodzie naszemu związkowi. Natomiast na odwrocie znajdziesz listę wszystkich cech, jakich szukam w mężczyźnie.

Tru obejrzał notatki sporządzone schludnym, starannym charakterem pisma.

- Następne listy - bąknął pod nosem.

- Tru, naprawdę jestem wdzięczna za to, co dla mnie zrobiłeś. Mam nadzieję, że dziś się zrewanżowałam i że zrozumiesz, dlaczego na tym poprzestaniemy.

Westchnął i oddał jej kartkę.

- Tak, rozumiem. Ale niezupełnie wyrównaliśmy rachunki. - Wyjął z portfela czek wypisany przez Caroline przed domem, przedarł go i wcisnął w dłoń kobiety. - Teraz jesteśmy kwita.

- Żegnaj, Tru.

- Bywaj, Caroline.

Odprowadził ją wzrokiem. Korciło go, żeby jeszcze zawołać i zatrzymać kobietę, lecz zamiast tego odtworzył w myślach obie listy. Miała chyba rację. Wypunktowane przyczyny układały się w logiczną całość. Pochodzili z dwóch różnych planet. Mimo to Tru nie potrafił powstrzymać się od refleksji, że tego, co zaczęła się dziać między nimi, nie wolno sprowadzać do bezdusznej wyliczanki.

Światła BMW rozplynęły się w ciemnościach. Tru otrząsnął się z mglistego uczucia żalu. Odetchnął pełną piersią i spacerkiem wrócił do odległego o parę kroków mieszkania. Wszedł do ciemnego pokoju i włączył radio. Spokojna muzyka jazzowa nie współgrała z jego nastrojem. Postanowił przesłuchać kasetę z audycją, którą zaprogramowany magnetofon zarejestrował podczas jego nieobecności.

Głos Caroline dotarł do niego jak ze snu. Rzucił się na tapczan, zamknął oczy i słuchał.

„Kontynuujemy audycję «Małżeństwo doskonałe». Przed mikrofonem doktor Carly Lovelace. Dobry wieczór, Los Angeles. Dziś rozmawialiśmy o sześciu stopniach do małżeńskiego sukcesu. Zanim się pożegnám, chciałabym krótko przypomnieć sformułowane wnioski. Jeśli nie będziecie tracić z oczu wymienionych tu celów, zauważycie, że wasz związek z każdym dniem staje się silniejszy i pełniejszy. Kamieniem węgielnym każdego szczęśliwego małżeństwa jest porozumienie. Zgodność i troskliwość umacniają wzajemną więź. Dzięki otwartości i kompromisowości pokonacie wszelkie konflikty. Natomiast elementem łączącym wszystko w spójną całość jest zaangażowanie. Oto sześć składników przepisu na szczęśliwe małżeństwo. Mówiła doktor Carly Lovelace. Słuchajcie nas jutro w KTRL. Dobranoc”.

Zaangażowanie. NIGdy nie miał zaufania do tego pojęcia. Łatwo mówić i robić coś bez przekonania. Ale jeszcze łatwiej po prostu odejść jak jego matka przed wielu, wielu laty. Po jej odejściu ojciec Hallihana, policjant w Los Angeles, szedł przez życie jak robot, nie ciesząc się niczym, co mu przypominało żonę. Nie interesował się też synem, w chwili jej ucieczki dziewięciolatkiem. Tak więc Tru zanurzył się w świat książek, powieści kryminalnych o bystrych, niezależnych mężczyznach, którzy nie ufali nikomu i żyli bez zobowiązań.

Często myślał o tym, żeby wytropić matkę i dowiedzieć się, dlaczego odeszła. W głębi duszy jednak nie potrzebował tej wiedzy. Odziedziczył po matce jedną rzecz: niespokojną naturę, i już to wiele tłumaczyło. Od ukończenia

szoły nie związał się z żadną kobietą. Przez jego życie przewinęło się ich wiele, lecz żadna nie zagrzała miejsca, nie zapisała się w sercu. Przyszły, poszły. Bez odpowiedzialności, bez żalu, bez zawracania głowy.

Czemu zatem Caroline Leighton wciąż zaprzętała jego myśli? Przecież nie żywił do niej szczególnego uczucia. Zawarli pewien układ. Sprawa została zamknięta. NIGdy nie zobaczy Caroline. Oboje powrócą do swoich zajęć, jak gdyby wcale się nie spotkali: Tru dostarczy dowodów przeciwko Stone'owi i wyprowadzi interesy na szerokie wody.

Poczucie winy nie dawało mu jednak spokoju. Sumienie dokuczało. Hallihan zaklął cicho. Dlaczego? Nic między nimi nie zaszło. Caroline ucięła z góry wszelkie kuszące kontakty. Do diabła, nie obchodziło go ani trochę, co ta terapeutka o nim myśli. Zniknęła z jego życia. Na dobre!

Pozostało paskudne przeświadczenie, że w sprawie Stone'a nie ma dobrego rozwiązania. Czy Tru doprowadzi ją do końca, czy też poniecha - tak czy tak będzie potępiony.

- Kiedy facet wpuści do swego życia kobietę, natychmiast pojawiają się problemy - mruknął do siebie, zasłaniając ręką oczy. - Z kobietą nie wygrasz.

## ROZDZIAŁ

# 5

Było późne popołudnie. Poprzecinane drobnymi falami wody jeziora błyszcząły w łagodnym, jesiennym słońcu. Caroline siedziała zamyślona na końcu pomostu, kontemplując otaczającą ją przyrodę. Bose stopy zanurzyła w wodzie, a lekka bryza pieściła jej twarz i igrała w rozpuszczonych włosach,

Wyjechała z Los Angeles tuż po południu. Musiała przeдрzeć się przez piątkowe korki na autostradzie San Bernardino. Była u kresu cierpliwości i wytrzymałości nerwowej, kiedy dotarła do wylotu drogi numer 18. Wkrótce miejski pejzaż z żelaza i stali zastąpiły skaliste wzgórza porośnięte tu i ówdzie zielonymi dębami.

Od skrzyżowania pod Crestline zaczęły się prawdziwe góry. Krajobraz zapierał dech w piersiach, zwłaszcza mieszkance wielkiego miasta. Po godzinie otworzyła tylne wejście domku Ellisa Stone'a, a raczej - wiejskiej rezydencji.

Weekend w górach wcale jej się nie uśmiechał, a już szczególnie wizja spędzenia go w charakterze żony Tru Hallihana. W czwartek zadzwoniła do Ellisa, aby się upewnić, że Tru odwołał przyjazd. Ku jej uldze tak właśnie

zrobił, ale Stone przekonał ją, że powinna pojechać do Lake Arrowhead sama.

Zgodziła się po krótkim wahaniu. Potrzebowała wypoczynku na świeżym powietrzu. Musiała raz na zawsze wymazać z pamięci krótkie „małżeństwo” z Hallihanem i nie stosowne zauroczenie. Koniec z czekaniem na jego telefon. Koniec ze zwalczaniem pokusy, by do niego zadzwonić. Wszystkie problemy Caroline pozostały w Los Angeles. Znikną do jej powrotu.

Przynajmniej taką miała nadzieję. Tru Hallihan stanowił twardy orzech do zgryzienia. Od chwili gdy przed barem „U Flynnna” rozstali się na dobre, myśli o detektywie nękały ją nieustannie. Czuła wielki żal. Chociaż wiedziała, że związek z Hallihanem oznaczałby same kłopoty, zastanawiała się wciąż, czy warto zaryzykować.

Żaden mężczyzna nie pociągał jej do tego stopnia. Nawet Edward nie miał tego rodzaju męskiego magnetyzmu jak Tru. Małżeństwo Caroline z Edwardem opierało się w większym stopniu na profesjonalnym partnerstwie niż na namiętnej więzi. Tak dobrze знаła swego męża, że nie miał szans zaskoczyć jej jakimś gestem czy słowem. Czuła jednak, że nie starczyłoby życia kobiety aby zgłębić tajniki osobowości Hallihana. Taka wizja fascynowała. Życie z Tru nigdy nie stałoby się nudne, to pewne.

Westchnęła i przygładziła rozwiane wiatrem włosy. Jednostajny plusk fal uderzających o pomost koił wzburzone emocje. Życie z Tru? Roześmiała się, a tafla jeziora zawtórowała jej echem. Wewnętrzna sprzeczność: Tru i stały związek. Nie istniała nawet jedna szansa na milion, że coś takiego by się udało. Tru nie był stworzony do małżeństwa,

a Caroline głęboko w sercu pragnęła ponownie spróbować. Tym razem bez błędów popełnionych z Edwardem.

- Jedyne sposoby na wykreślenie Hallihana z pamięci to przestać o nim myśleć - mruknęła do siebie i odwróciła głowę, żeby popatrzeć na dom Ellisa Stone'a.

Stała na lekkim wzniesieniu nad jeziorem. Szklana ściana i olbrzymi taras oddzielały go od wody, a rozłożyste drzewa - od sąsiednich domów. Z miejsca, w którym siedziała Caroline, widać było w regularnych odstępach pomosty wcinające się w jezioro - jedyna oznaka zasiedlenia okolicy.

Romantyczny zakątek. Wprost stworzony na intymne rendez-vous... Kusząca możliwość, lecz Caroline nie pozwoliłaby, aby męskie towarzystwo zepsuło jej weekend. Nie potrzebowała mężczyzny do szczęścia. Powtórzyła sobie w duchu jedno z własnych „radiowych” powiedzeń: brak mężczyzny jest lepszy niż nieodpowiedni mężczyzna, w tym wypadku Tru Hallihan. Ile jeszcze razy powtórzy tę oczywistość, zanim w nią uwierzy?

Zabrała buty i ruszyła po schodkach w stronę domu. Zbliżała się pora kolacji, a ona jeszcze nie zajrzała do lodówki. Czekala ją zapewne wyprawa do sklepu warzywniczego w pobliskiej wiosce, a najpierw - sporządzenie listy zakupów. Natychmiast zaczęła ją układać w głowie.

Wkroczyła do kuchni i stanęła jak wryta. Zza otwartych drzwi lodówki wystawały nogi jakiegoś mężczyzny. Caroline znieruchomiała. Nie wiedziała, czy nogi należą do domownika, czy też do zgłodniałego włamywacza. Nagle intruz zatrzasnął lodówkę. Caroline pisnęła, odskoczyła przerażona i odwróciła się gwałtownie, gotowa wybiec z domu.

- Caroline?

Słyszając znajomy głos, przystanąła i powoli weszła do kuchni.

- Ellis? Co ty tu robisz?

Uśmiechnął się w typowy dla siebie, czarujący sposób.

- Jestem przecież właścicielem domu.

Odruchowo przyłożyła rękę do piersi. Serce waliło jak młotem.

- Śmiertelnie mnie wystraszyłeś.

- Przepraszam. Dzwoniłem do drzwi ale nikt nie odpowiadał. Pomyślałem, że poszłaś na spacer. Wpadłem zobaczyć, jak sobie radzisz.

- Świetnie. Tylko muszę trochę ochłonać z wrażenia.

- Przepraszam - powtórzył. - Sprawdzałem zawartość lodówki. Widzę, że przysłali zapasy ze sklepiku. - Zmarszczył brwi. - Powinienem z nimi uzgodnić spis win, których tu sobie nie życzymy. Stale wciskają mi kilka kiepskich roczników:

- Przejechałeś taki kawał tylko po to, żeby zajrzeć do lodówki?

- Skądże. Przywiozłem opracowania socjologiczne na temat różnych *talk show*. Sądzę, że z ciekawością je przeczytasz. - Podeszedł do blatu i wyjął z teczki plik dokumentów. - Jestem zaproszony na przyjęcie w posiadłości położonej na drugim brzegu jeziora. Wpadłem po drodze. Do brze ci tu samej?

- O tak. Cudownie odpoczywam.

Przyglądał jej się uważnie przez chwilę.

- Caroline, wybac i przerwij, jeśli sięmieszam, ale czy wszystko jest w porządku... to znaczy między tobą i Lance'em? Macie jakieś problemy?

- Nie... skąd ten pomysł? - Zmusiła się do promienne-

go uśmiechu. - Jesteśmy bardzo szczęśliwi i bardzo... - szukała odpowiedniego słowa - szczęśliwi. Naprawdę.

Baczenie obserwował jej twarz, jak gdyby ważąc ciężar każdego słowa. Wreszcie pokiwał głową.

- To dobrze. Cieszę się, że chociaż jedna znajoma osoba jest szczęśliwa w małżeństwie. Jako terapeutka z pewnością potrafisz wyprowadzić własny związek na spokojne wody.

- Tak. Życzę każdej kobiecie tak spokojnej żeglugi;  
Ellis zatarł ręce i uśmiechnął się.

- Cóż, na mnie pora. - Przystanął na progu kuchni.  
- Jeśli nie masz innych planów co do kolacji, jedź ze mną. Max i Arlene Winter zawsze mają pyszną pieczeń z rusztu.

- Nie wzięłaś ze sobą Marianne?

Na dźwięk imienia żony Ellis spochmurniał.

- Nie, ona nie lubi, kiedy podczas przyjęcia załatwiam interesy. Została w Bel Air. Wierzę, że tym razem to rzeczywiście ból głowy.

- Wiesz, nastawiłam się na wieczór we własnym towarzystwie. Chętnie przeczytam materiały, które przyniosłeś. Popracuję też nad scenariuszem mojego pierwszego programu.

Ellis uśmiechnął się zawiedziony.

- To ważniejsze niż nudne spotkanie z bandą facetów z show-biznesu. Zadzwoń na początku tygodnia. Umówimy się na rozmowę. Miłego weekendu, Caroline!

- Nawzajem. I dziękuję za zaproszenie tutaj i za troskę.

Odprowadziła go do drzwi. A więc żona producenta została w domu. Powróciło wspomnienie uszczypliwych komentarzy Marianne w damskiej toalecie podczas przyjęcia. Czy Ellis naprawdę miał z kimś romans? Caroline wie-



działa, że niewierność w świecie Hollywood kwitnie, czego najlepszym dowodem byli jej klienci.

Ellis nie pasował jednak do stereotypu niewiernego męża, Mówił to wyraz jego oczu, gdy tłumaczył nieobecność żony. We wzroku mężczyzny Caroline spostrzegła nie gniew, gorycz czy mściwość, lecz smutek, żal i szczerzy ból, jak gdyby stracił coś, w co wierzył.

Możę tak się stało. Pieniądze firmy Stone Productions pochodziły z konta bankowego Marianne. Marianne i jej ojciec podejrzewali Ellisa o zdradę. W razie rozwodu Ellis prawdopodobnie straciłby wszystko. *Talk show* Caroline podzieliłoby los setki innych obiecujących przedsięwzięć. Kariera Ellisa skończyłaby się jak nożem uciał, a nóż trzymałaby w swych wypielegnowanych rączkach Marianne.

Caroline westchnęła. Żona o takiej władzy to w najlepszym wypadku utrudnienie pożycia, bo męska siła i ambicja ma swoje granice, wbrew temu, co uważa większość kobiet. Wszystkie znaki zapowiadały rychły koniec małżeństwa Stonesów. Cóż mogła zrobić, kiedy na jej oczach jednocześnie rozwiewały się marzenia o telewizyjnym sukcesie?

Oparła czoło o chłodną szybę w drzwiach, wpatrzona w ruszający z podjazdu samochód Ellisa, Ratowanie małżeństw to moja specjalność, pomyślała i uśmiech powoli rozciągnął kąciki jej ust. Czyż nie to właśnie powinna zrobić? Uratować małżeństwo Ellisa i Marianne, a w następstwie - swój program telewizyjny!

Podskoczyła i klasnęła w dłonie. Wiedziała, że to potrafi. Ellis i Marianne nie różnili się niczym od par, którym pomogła, Wciąż byli małżeństwem, więc wciąż istniała nadzieja. A wiele małżeństw przeżyło faktyczną lub domniemaną niewierność.

Pograżona w rozmyślaniach weszła do kuchni i spostrzegła na blacie teczkę Ellisa. Spodziewała się, że właściciel wróci po zgubę albo zaraz, albo w drodze do miasta. Może wtedy dyskretnie zaproponuje poradę. A jeżeli Stone nie pojawi się, Caroline zabierze teczkę i zadzwoni już z Los Angeles do jego biura. Badzie miała świetny pretekst do spotkania.

Zajrzała do lodówki. Nie musiała się martwić o jedzenie na weekend. Obfitość i różnorodność produktów zadowoliłaby każdego smakosza. Caroline odkorkowała butelkę wina i nalała kieliszek dla uczczenia swego pomysłu. Sprawy przyjęły zdecydowanie korzystniejszy obrót.

Z kieliszkiem w dłoni zaczęła zwiedzać dom. Zaglądała do każdego pokoju, wreszcie dotarła do urządzonej gustownie sypialni gospodarzy. Otworzyła drzwi wiodące na taras, z którego rozpościerał się zapierający dech w piersiach widok na jezioro. Poniżej, osłonięty drzewami, przylegał do domu przeszklony pawilon, którego środek zajmowała wanna z biczami wodnymi. Niespieszna kąpiel stanowiłaby cudowne preludium do spokojnej kolacji w samotności, a potem lektury przywiezionych przez Ellisa tekstów. Nie zastanawiając się długo, ściągnęła dżinsy, bawełnianą koszulę i bieliznę i weszła do wody. Caroline Leighton zabrakłoby na to odwagi, lecz Carly Lovelace nie miała żadnych oporów.

Zanurzona po szyję w ciepłej kąpieli patrzyła na rozgwieżdżone niebo. Podróż, wino, woda - wszystko to kołysało ciało i umysł, kołysało do rozkosznej drzemki. Z mglistego pogranicza jawy i snu wyłonił się piękny kochanek. Stał nad Caroline. Nagi tors błyszczał w świetle księżyca. Oczy płonęły pożądaniem. Ukłękł przy wannie i delikatnie stał

skroploną parę ze skroni kobiety, Uniosła głowę i oparła ją o brzeg wanny. Mężczyzna przysiadł na piętach i czekał, aż woda spłynie z piersi Caroline. Pochylił się i powoli dotknął jednej z brodawek,...

Ocknęła się gwałtownie. Przez chwilę nie wiedziała, gdzie jest. Na czarnym niebie błyszczały gwiazdy. Zakreśliła krany i wsłuchiwała się w ciszę. Tylko w wysokich sosnach szumiał wietrzyk. Zamknęła oczy, pragnąc dośnić cudowny sen do końca, lecz z wnętrza domu dobiegł jakiś hałas. Odgłos kroków. Serce podeszło jej do gardła. Nie mogła nawet krzyknąć z przerażenia. Przecież zamknęła drzwi na klucz. Widocznie Ellis wrócił po teczkę...

- Ellis? Czy to ty?

W drzwiach na taras stała wysoka postać. Caroline zamarła. Ogarnęło ją uczucie *deja vu*. Usiłowała nałożyć sen na rzeczywistość. Instynktownie zanurzyła się w wodzie aż po podbródek.

- Ellis?

- Chyba poznaję ten głos - mruknął mężczyzna, zbliżając się do wanny. Miał na sobie dżinsy, podkoszulek opinający muskularny tors i wygniecioną lnianą marynarkę. Caroline przeniosła wzrok na jego twarz. Krzyknęła przeraźliwie, a jezioro i las zawtórowały jej echem.

Tru Hallihan uśmiechnął się jak gdyby nigdy nic.

- Czy tak się wita męża, kochanie?

W podświetlonej wannie widać było dokładnie każdą ponętą kragłość nagiego ciała Caroline. Tru obejrzał mokre ramiona, cudowne piersi tuż pod powierzchnią wody i właśnie miał zawędrować wzrokiem niżej, kiedy kobieta zdała sobie z tego sprawę.

- Wynoś się! - krzyknęła, w pośpiechu odkręcając kurki. Woda zabulgotała, buchnęła para, tworząc zasłonę dla jej nagości.

Tru powoli podszedł do wanny. Z każdym jego krokiem oczy Caroline otwierały się szerzej. Skrzyżowała ramiona na piersiach. Patrzył na to rozbawiony.

- Jak tam kąpiel? - zagadnął, zanurzając palce w falującej wodzie.

- Jest wystarczająco głęboko, aby cię utopić! - syknęła.

Uśmiechnął się, pochylił i podniósł ubranie Caroline, a potem sztuka po sztuce rzucał je w ką. Majteczki zostawił na koniec. Kręcił je na palcu tuż przed nosem właścicielki. Wreszcie westchnął i cisnął w ślad za resztą ubrania.

- Strzał i gol! Publiczność szaleje! - zażartował.

- Jesteś świnią!

- Przezywanie mnie nie pomoże ci wydostać się z kłopotliwej sytuacji.

- Nikczemnik! - rzuciła przez zaciśnięte zęby. - Co ty tu robisz?

Tru nie zamierzał wyjawić prawdy. Przyjechał z nadzieją, że przyłapie Ellisa i jego domniemaną kochankę na gorącym uczynku. W poniedziałek zadzwonił do firmy Stone'a z prośbą o wskazówki, jak dojechać nad jezioro. Wtedy jeszcze planował wycieczkę. W środę, już po wizycie Caroline w barze, odwołał przyjazd. Zamknął rozdział zatytułowany „Caroline i udawane małżeństwo”.

Śledził każdy krok Ellisa w Los Angeles, ale albo producent postępował nadzwyczaj ostrożnie, albo w ogóle nie obchodziły go inne kobiety poza własną żoną. Po południu ruszył za samochodem Ellisa autostradą San Bernardino na

zachód. Chociaż zgubił go w ulicznych korkach, wiedział, że Stone jedzie nad Lake Arrowhead.

Caroline to ostatnia osoba, jakiej spodziewałby się w wiejskiej posiadłości. Z daleka dom wyglądał na pusty. Dopiero przed garażem Tru spostrzegł białe BMW. Zapukał, lecz nikt nie odpowiadał. Wyłączył system alarmowy i wszedł do środka. Rozejrzał się po domu, wreszcie trafił do sypialni, a stamtąd na taras i do pawilonu. Naga Caroline czekała w wannie na... Ellisa.

Skrzyżował ręce na piersiach. Serce mówiło mil, żeby nie wierzyć faktom, lecz postanowił nie iść za jego głosem.

- Co tu robisz? Ciebie mógłbym spytać o to samo. Iza pytam. Co tu robisz?

Zacisnęła usta. Wyzywająco uniosła podbródek.

- Nie zamierzasz odpowiedzieć? Cóż, nie będę czekał. Nie spędzisz przecież reszty życia w wannie.

Caroline spoglądała to na niego, to na przeszklone drzwi, jak gdyby czekała na coś lub na kogoś. Albo Ellis jeszcze nie przybył, albo wyskoczył gdzieś na chwilę. Ale na pewno czekała na niego. Do diabła, zawołała go po imieniu! Czyż nie takiego właśnie dowodu potrzebował?

Na myśl o Caroline kąpiącej się razem z Ellišem Hallihana ogarnęła zazdrość. Pragnął znaleźć się na miejscu Stohe'a... Zbyt szybko wykluczył romans łączący terapeutkę \ producenta. Może podświadomie chciał wierzyć w ich niewinność? A może Caroline chciała, żeby w to uwierzył?

Jeśli między nimi rzeczywiście coś było, Ellis z pewnością nie spodziewa się wizyty zazdrosnego „męża”. Tru i tak nie opuściłby domu. Weekend zapowiadał się interesująco, z El-lisem czy bez. A wanna z gorącą wodą kusiła coraz bardziej.

- Miałeś się tu nie pojawić - stwierdziła rozdrażniona.

- Odwołałeś przyjazd zgodnie z zapowiedzią. Umówiliśmy się przecież.

- Zmieniłem zdanie - odparł, wzruszając ramionami.

- Nie znalazłem klucza we wskazanym miejscu, więc musiałem się włamać. Wyobraź sobie moje zaskoczenie, kiedy cię tu znalazłem. Sama... gołą jak cię Pan Bóg stworzył.

Zdjął marynarkę i cisnął w stronę sterty jej ubrań.

- Chcę, żebyś stąd poszedł - zażądała, wałąc pięściami o brzeg wanny.

Wzrok mężczyzny powędrował ku różowym brodawkom, muskającym powierzchnię wody. Zrozumiała, czemu Tru się przygląda i zanurzyła się w wodzie po szyję.

Pochylił się, by ściągnąć buty i skarpetki.

- NIGdzie nie pójde, Caroline. Przez całe popołudnie jechałem tu w korkach z Los Angeles i nie uśmiecha mi się powrót. Bądź trochę miłsza, dobrze?

, Zdjął podkoszulek. Chłodne wieczorne powietrze wywołało gęsią skórę na muskularnym torsie. Caroline nerwowo przygryzła wargi. Kiedy zaczął rozpinąć dżinsy, skrzywiła się.

- Przestań! - krzyknęła. - Nie wejdiesz ze mną do wanny!

- Jeśli mnie wzrok nie myli, niewiele możesz zrobić, aby mnie powstrzymać. Chyba że chciałabyś wyjść z wanny - oznajmił szeroko uśmiechnięty.

Jęknęła i uderzyła dłońmi o wodę, oblewając Hallihana.

- Po co przyjechałeś? Chciałam się uwolnić od... - przełknęła ślinę. - Chciałam spędzić miły, spokojny weekend. Nie pozwolę, abyś wszystko popsuł. Odejdź i zostaw mnie w spokoju!

Zrobił kilka skłonów, z zaciekawieniem obserwując reakcję kobiety. Wzrok Caroline sunął w dół jego piersi

i brzucha, ku pierwszemu, rozpiętemu guzikowi džinsów. Zmarszczyła czoło, jak gdyby zastanawiając się, co odsłoni następny rozpięty guzik.

Tru odruchowo przeciągnął dłonią po torsie, a oczy kobiety podażyły za jego gestem jak zaczarowane.

- Wiesz, czego mi trzeba? - spytał cicho.

Potrząsnęła głową. Zrobił następny skłon.

- Piwa.

- Co? - roześmiała się niepewnie.

- Napiłbym się piwa. Jest tu gdzieś?

- Jest... jest, w lodówce. - Nagle zrobiła się bardzo uprzejma. - W kuchni. W głębi domu.

Uśmiechnął się lekko i niespiesznie wyszedł z pawilonu. Kusiło go, aby wrócić po ubranie Caroline, wiedział jednak, że jedno spojrzenie na nagą kobietę rozbroi go zupełnie. Nie zdoła trzymać rąk przy sobie. A przecież chodziło o dwadzieścia tysięcy dolarów. Nie zamierzał spłoszyć nagrody.

Wyjął z lodówki piwo. Kiedy robił sobie kanapkę z szynką, do kuchni wpadła jak burza Caroline. Biała koszula przywarła do mokrego ciała.

- Muszę przyznać, że nie spodziewałem się ciebie tutaj - oświadczył. Brodawki Caroline odznaczały się na mokrej bawełnie i kusiły, żeby ich dotykać i pieścić ustami. Tru poczuł, że budzi się jego męskość. Z trudem przełknął kęs.

- Sądziłem, że nie lubisz wypadów na zieloną trawkę. A może planowałaś spędzić weekend z Ellisem w zamkniętym pomieszczeniu?

Wzrok Hallihana prześlizgnął się po całej jej postaci. Porównał stopień atrakcyjności nóg, bioder, ust i piersi. Zdecydowanie wygrały piersi.

- Go ty sugerujesz? - spytała, marszcząc brwi. - Ellis-tu nie został.

Tru zakrzuszył się.

- Zabawne - wydusił z siebie. - Przysiagłbym, że na niego czekałaś.

Wyglądała na zakłopotaną i zdezorientowaną. Może naprawdę się mylił? Chrząknął.

- Czekałam.

Zacisnął zęby i z trudem powstrzymał gniew. Palce odruchowo zmiażdżyły kanapkę.

- Ellis wpadł tu na chwilę i zapomniał teczki. Sądziłam, że po nią wróci. A co to ma wspólnego z twoją wizytą?

Położył na stole żałosne resztki kanapki. Zaprzagnął nagle poznać całą prawdę. Nie poprzez żmudne śledztwo nie w teleobiektywie, lecz wprost z pięknych ust Caroline. Spojrzał głęboko w zielone oczy.

- Masz z nim romans? - spytał otwarcie.

Zamrugwała zaskoczona i wykrzyknęła:

- Co?-

- Słyszałaś, co powiedziałem. Masz romans z Ellisem Stone'em? Dlatego potrzebowałaś męża na przyjęcie? Aby rozwiać podejrzenia? Czy uspić podejrzliwość Marianne? A może żeby wzbudzić w Ellisie... zazdrość?

Pokręciła głową i roześmiała się ochryple.

- Postradałaś zmysły! Chyba zwariowałam, że się z tobą zadawałam!

- A więc nie masz romansu z Ellisem Stone'em?

- Nie! Ale i tak nie powinno cię to obchodzić. Zawarliśmy układ, ściśle handlowy. Obie strony wywiązały się z umowy. Chcę, żebyś wyniósł się z mojego życia!

Tru błysnął zębami w uśmiechu i pociągnął łyk piwa.



Odpowiedź Caroline bardzo go zadowoliła. Nie była kochanką Ellisa Stone'a. To nie rokowało sowitego honorarium i właściwie powinien się czuć nieco rozczarowany. Jednak, o dziwo, poczuł ulgę, satysfakcję i coś jeszcze...

- Ależ ja nie jestem częścią twego życia.

- Nie? Zachowujesz się dokładnie jak zazdrosny mąż. Siedzisz mnie, oskarżasz o oszustwo. Masz obsesję!

Zadrzał. W ciągu ostatnich kilku dni sam się o to podejrzewał. Ale słowa wypowiedziane przez Caroline zabolęły.

- Nie ma mowy - stwierdził chłodno. - W żadnym razie, kochanie.

- To po co przyjechałeś?

- Nawet nie wiedziałem, że cię tu zastanę - odrzekł wykrętnie. - Szukałem ciszy i spokoju. Chciałem trochę powędkować i spędzić weekend na luzie. I oto trafiłem na ciebie i króla show-biznesu.

- Zawsze możesz wyjechać - zasugerowała.

- I zostawić cię samą na pastwę Casanovy?

- Ellisa tu nie będzie! Czy twoja zakuta głowa jaskiniowca może to wreszcie pojąć?

- Myślę, że pokręcę się po okolicy i sam sprawdzę. Mężczyzna powinien chronić własność.

- Własność? - krzyknęła. Tru spodziewał się najgorszego, lecz Caroline zdołała pohamować gniew. - Świetnie! Rozgość się; Zostań tak długo, jak ci się podoba, ale trzymaj się z daleka ode mnie. Nie chcę cię widzieć ani słyszeć przez resztę weekendu. Zrozumiałeś?

- Ani widzieć, ani słyszeć. Zrozumiałem. - Uśmiechnął się szeroko. - A dotykać? Smakować?

Jęknęła z bezsilności, uderzając pięściami o uda, a potem odwróciła się i pomknęła przez salon, ciskając za sobą

stek przekleństw. Gwałtownie otworzyła drzwi na taras i wybiegła.

Odprowadził ją wzrokiem. Usiadła na krańcu mola. Wyglądała bezbrinnie i samotnie. Tru poczuł przypływ opiekuńczości i nagle pożałował swego zachowania. Naprawdę nie chciał, aby się na niego wściekła. Nie mógł zrozumieć, dlaczego zawsze kończą rozmowę w tak porywezy sposób.

Włożył podkoszulek, a marynarkę przewiesił przez ramię i zbiegł po schodkach. Bose stopy cicho stapały po deskach mola. Caroline wyczuła jego obecność i zadygotała. Okrył jej ramiona marynarką.

- Robi się chłodno.

Nie odpowiedziała. Usiadł obok i spojrzał na odbite w wodzie światło gwiazd.

- Myślałem trochę o renegocjowaniu warunków naszej umowy.

Połowa twarzy Caroline tonęła w cieniu, drugą połowę skapała złota poświata,

- Umowa wygasa - oznajmiła. - Załatwiliśmy wszystko. Nie ma co renegocjować.

— W porządku, w takim razie zawrzyjmy nowy układ.

- Po co?

- Cóż, chyba dobrze nam razem i...

- Tru! - krzyknęła. — W ogóle nam się nie układa! Jesteśmy najbardziej niedobraną parą na tej planecie. Wciąż ze sobą walczymy.

Zastanawiał się przez chwilę.

- Zgoda - przyznał. - Użyłem niewłaściwego określenia. - Splótł dłoń z jej lodowatymi palcami, aby je ogrzać.

- Ale naprawdę cię lubię.

- A ja ciebie nie - stwierdziła uparcie.

- Lubisz. Ja to wiem. Przynajmniej trochę.

Usiłowała się uśmiechnąć. Bez powodzenia.

- No dobrze. Może troszeczkę cię lubię. Czasami. Kiedy nie doprowadzasz mnie do szału.

- Obiecujący początek.

Uśmiech Caroline nie był wesoły.

- Albo koniec. Tru, trzeba o wiele więcej niż lubić się, żeby związek dwojga osób był udany.

Hallihan czuł delikatne kostki kobiecej dłoni, gładką skórę, szczupły nadgarstek.

- Związek? Nie mówiłem o związku. Mówiłem o paru randkach, wspólnej kolacji, kinie, meczu.

- No proszę. Ty pragniesz kolacji i kina, a ja zaangażowania w stałym związku.

- Ze mną?

- Nie, niekoniecznie. Z kimś, kto by się świetnie ze mną uzupełniał. Kto oczekiwałby od życia tego samego co ja.

Pochylił się i musnął pocałunkiem jedwabisty policzek Caroline. Jego wargi natychmiast rozgrzały gładką skórę. Czuł rumieniec, chociaż nie widział go w ciemności.

- Uzupełniamy się.

- Nieprawda.

Odwrócił wzrok ku jezioru.

- Dlatego, że nie zarabiam wystarczająco wiele?

- Nie! - Wczepiła się w jego ramię i potrząsnęła głową.

- Pieniądze w ogóle nie pojawiają się na mojej liście dwudziestu przyczyn. nigdy nie uważałam ich za czynnik motywujący. Chodzi o coś głębszego, o zasadnicze różnice w naszym sposobie myślenia i oczekiwań wobec życia.

- Skąd wiesz, w jaki sposób myślę?

- Uwierz, że to wiem. I udowodnię. Zrobimy mały test.

- Ale nie ułożysz kolejnej listy?  
- Nie, to typowy test skojarzeń. Wypowiem jakieś słowo, a ty musisz odpowiedzieć pierwszym określeniem, jakie ci przyjdzie na myśl.

Kiwnął głową.

- Dobra, strzelaj.

Obserwowała go bacznie.

- Góra... -zaczęła.

- Dół.

- Czarny...

- Biały - odparł. - Taka przepytawka ma ujawnić mój sposób myślenia?

- Na razie ćwiczymy.

- Omińmy ten etap - zaproponował ironicznie. - Spróbuj czegoś trudniejszego.

- Zgoda. Serdeczne...

- Życzenia.

Zerknęła pytająco.

- Coś nie tak?

- W tym teście nie ma dobrych lub złych odpowiedzi.

Idziemy dalej. Zadowolenie...

- Bekanie.

- Bekanie?

- Tak. Rozumiesz, siedzisz z kolegami po dobrym obiedzie, oglądasz mecz w telewizji, pijesz piwo. Nagle bek. Zupełnie naturalne skojarzenie.

- Dobrze. Rozmowa...

- Międzymiastowa.

- Przywołać...

- Abonenta.

- Komunikacja...

- Satelita. Jak sobie radzę?
- Jeszcze nie skończyłam. Powierzyć...
- Oszczędności. Twierdziłaś jednak, że to ci nie sprawia różnicy.

- Nie sprawia. Otwarta...
- Przysłona. W aparacie fotograficznym.

Uśmiechnęła się.

- Bardzo zabawne. Chcę, żebyś podszedł do sprawy poważnie. To nie gra. Miłość...

- O ho, ho. Pełna powaga - mruknął.

- Odpowiedz. Miłość...

- „Love Me Tender”.

Zmarszczyła brwi.

- Moja ulubiona piosenka Elvise Presleya - wyjaśnił.

- „Love Me Tender”. Lubię też „Jailhouse Rock”, ale bardziej odpowiadają mi ballady Elvise.

- Popełnić...

- Przestępstwo.

- Małżeństwo...

- Rozwód.

Przerwała nagle i znów skierowała wzrok ku jezioru.

- Skończyliśmy? - zapytał.

- Tak - odrzekła cicho z nutą rezygnacji w głosie. -

Eksperyment skończony. Stwierdzam, że nie mamy ze sobą absolutnie nic wspólnego. - Zerwała się na nogi i zsunęła z ramion marynarkę. - Do zobaczenia rano.

- Daj spokój, Caroline. Zostań jeszcze trochę. Zapomnijmy o teście skojarzeń i po prostu porozmawiajmy.

- Jestem zmęczona, Tru. Posiedź, jeśli chcesz, ale ja idę spać.

Wpatrzony w dal, słuchał oddalających się kroków.

Ogarnęło go uczucie bolesnej pustki i, po raz pierwszy w życiu, samotności. Chciał zawołać w ślad za Caroline, przytulić ją, wdychać kwiatowy zapach włosów, trzymać dłoń i czuć ciepło przepływające od jej palców. Pragnął całować jej usta.

Ale ona go nie chciała. Jej zdaniem nie pasowali do siebie. Zaprojektowała w każdym calu mężczyznę swego życia. Kierowała się wyłącznie „sześcioma stopniami do małżeńskiego sukcesu”, gdy tymczasem on nie pokonał nawet pierwszego.

Wścickły w swej bezsilności, kopnął wodę, aż fontanna kropel trysnęła w noc. Może tak było najlepiej... Caroline pragnęła czegoś, czego nigdy by jej nie dał: zaangażowania, stałego związku, małżeństwa. Wstał gwałtownie i zaczerpnął głęboko powietrza. Powinien zapomnieć o Caroline i zająć się własnym życiem. Miał zadanie do wykonania. A kiedy już udowodni niewierność Ellisowi Stone'owi, ta terapeutka na pewno nie będzie chciała mieć z nim do czynienia, nawet za milion lat.

Tru ruszył do domu. Nadeszła idealna pora, by zapomnieć o Caroline i trochę powęszyc. Zamierzał zacząć od przejrzenia teczek Ellisa.

Dochodziła dziesiąta, kiedy skończył przepisywać numery telefonów wszystkich kobiet z notesu Stone'a. Wyjął z lodówki następne piwo i wyciągnął się na kanapie. Jego myśli krążyły wciąż wokół Caroline. Walczył z pokusą, by pójść do sypialni, wślizgnąć się pod kołdrę i kochać.

Zamknął oczy i wyobraził sobie jej nagie ciało pośród skłębionych prześcieradeł, piękne zielone oczy płonące pożądaniem, cudowne piersi spoczywające w jego dłoniach i długie nogi obejmujące męskie uda.

Przyszła do niego na granicy jawy i snu, Ciepłe wargi dotknęły jego ust. Jęknął w odpowiedzi i zanurkował w sen, czekając na więcej. Poczuł na ramionach dotyk jej dłoni, a potem ciężar kobiecego ciała. Zsunął ją z siebie i ułożył na plecach na kanapie.

- Jesteś ostatnią osobą, której bym się tu spodziewała - szepnęła mu do ucha.

Zmarszczył czoło i jeszcze mocniej zacisnął powieki. Coś się nie zgadzało. To nie był głos Caroline. Powoli, aby nie spłoszyć snu, otworzył oczy. Miał przed sobą uśmiechniętą twarz Marianne Stone.

- Dobry Boże! - krzyknął, odpychając ją i zrywając się ha nogi. Potarł rękami o dzinsy, jak gdyby ścierał z nich świeży dotyk kobiety. Otarł też dłonią usta i roześmiał się zakłopotany.

- A ty jesteś ostatnią osobą, której...

- A kogo właściwie oczekiwałeś? - zażartowała. - Własnej żony?

- Co ty tu robisz?

Wstała z kanapy i powoli zbliżyła się do niego.

- Chcesz znać prawdę?

Kiwnął głową i cofnął się, okrążając kanapę.

- Przyjechałam tu nakryć męża z jedną z jego przyjaciółeczek.

Udał zaskoczonego. Przybył w tym samym celu. Jęknął w duchu. Myślał, że zakończy sprawę, a wkroczenie

Marianne na scenę pomieszało mu szyki.

- Sądzisz, że mąż cię zdradza? - spytał niewinnym tonem.

Simon Marshall był pewien, że Marianne, nie podejrzewa męża o niewierność. Przedstawił swoją córeczkę jako

niewinną ofiarę. Gołym okiem widać było jednak, że Marianne daleko do świętości.

- Nie bądź taki zaszokowany, kochanie. Wiem wszystko o kociakach Ellisa. - Starannie wypielegnowana dłoń dotknęła torsu mężczyzny. - Właściwie mogę ci zdradzić pewien sekret, jeżeli obiecasz się na mnie nie gniewać.

- Sekret? - spytał Tru, cofając się o krok.

- Spodziewałam się zastać tu męża z... twoją żoną. - Paznokiec pani Stone musnął policzek Hallihana. - Nie wyglądasz na zaskoczonego, Lance.

Uniósł brwi.

- Ach, teraz już nic mnie nie zdziwi.

- A więc cieszysz się, że mnie widzisz? - zagadnęła półgłosem.

- No cóż, ja...

Nagle Marianne opłótła ramieniem szyję Tru, popchnęła go na kanapę i usiadła okrakiem na kolanach.

- Tak się cieszę, że to powiedziałaś, Lance! Rozpalasz mnie. Odkąd cię poznałam, myślę tylko o połączeniu naszych ciał.

Przycisnęła wargi do jego torsu, a kiedy chciał zaprotestować, zamknęła, mu usta namiętym pocałunkiem. Każdego innego dnia przyjąłby zaloty Marianne z entuzjazmem. Była atrakcyjna i miała pieniądze. Najwspanialsza z możliwych kombinacji. Tym razem poczuł jednak niesmak. Marianne była przecież mężatką, a jego „żona” spała w sąsiednim pokoju.

- Marianne, daj spokój..- Usiłował ją odepchnąć. - To nie w porządku.

Zignorowała jego opór.

- Marianne!-krzyknął. - Przestań! Jestem żonaty!



- A ja jestem mężatką. - Gwałtownymi ruchami rozpi-  
nała bluzkę. - Widzisz, mamy jednak coś wspólnego.

Tru otworzył usta, lecz nie zdążył znów zaprotestować.

- Marianne! - rozległ się czyjś głos.

Odepchnął kobietę tak energicznie, że stoczyła się na  
podłogę, A na progu, z ponurą miną, stał Ellis Stone.

- Ellis! - zawołała Marianne, podnosząc się i zapinając  
bluzkę.

- Tru! - zawtórował jej nagle głos Caroline.

Hallihan odwrócił się. Do pokoju wkroczyła jego „żo-  
na”-zaspana i z potarganymi włosami.

- Lance!-przypomniał detektyw.

- I Caroline! - wykrzyknęła Marianne. - Lista obecno-  
ści odczytana. Możemy zaczynać.

scandalous

## ROZDZIAŁ

# 6

Caroline przetarła zaspane oczy i już przytomniej spojrzała na rozgrywającą się przed nią scenę. Zarumieniła się. Ręce nerwowo szarpały pasek jedwabnego szlafroka. Otworzyła usta, lecz nic nie powiedziała. Pokręciła tylko głową z niedowierzaniem. Ellis, pozornie chłodny i opanowany, z trudem krył oszołomienie i zakłopotanie. Tylko Marianne zdawała się cieszyć zamieszaniem. Z uśmiechem przeczuciła jasne włosy na plecach. Kosmyki musnęły twarz Hallihana. Skrzywił się.

- Czy zechciałbyś mi wyjaśnić, co tu robisz, Ellis? - spytała wyniosłym tonem.

- Ja? - Ellis był wyraźnie zbity z tropu. - Wszedłem i przyłapałem cię całującą męża Caroline. Chyba właśnie to robiłaś, prawda?

Zmysłowo oblizła usta i poprawiła ubranie.

- To samo ty planowałeś robić z przyjaciółeczką, która tu stoi. To znaczy do momentu, kiedy pojawił się jej mąż. Musiałeś zaskoczyć Ellisa, Lance.

Tru podejrzewał, że Ellis coś kręci, lecz potwierdziła to jego własna żona.

- Tak więc rzeczywiście przyjechałeś uwieść Caroline!

- zagrzmiał. Z satysfakcją uśmiechnął się do „żony”. - Wiesz, mówiłem, że nie możesz ufać temu człowiekowi.

Caroline jęknęła.

- Nie bądź śmieszny! Powiedziałam ci: Ellis po prostu przywiózł mi pewne dokumenty, a potem pojechał na przyjęcie.

- Po prostu przywiozłem dokumenty - powtórzył jak echo Ellis.

- Ładna historia - stwierdziła Marianne. - Nie spodziewałeś się tu męża swojej kochanki, co, Ellis?

Protekcjonalny ton pani Stone rozwścieczył Caroline.

- Nie jestem jego kochanką! I, do twojej informacji, to nie mój...

- Ładna historia-przerwał Tru, posyłając jej uspokajające spojrzenie. Po cóż mieli dolewać oliwy do ognia?

- Kiedy wszedłem tu wcześniej, sądziłaś, że to Ellis.. Co w tej sytuacji powinien pomyśleć sobie każdy mąż?

Caroline z trudem przełknęła ślinę.

- Już wyjaśniałam, że...

Marianne chwyciła Tru pod ramię i zatrzepotała rękami.

- Kochanie, każda kobieta zauważyłaby, że nie jesteś Ellisem.

- Daj spokój. - Tru uwolnił rękę.

- A kiedy całowałaś Marianne, to za kogo ją brałeś, Lance?-zagadnęła Caroline.

- Ja też chciałbym wiedzieć - włączył się Ellis. - Za kogo wzięłaś moją żonę?

- Myślałem, że to moja żona! - wyjaśnił Tru.

- Ładna historia. nigdy mnie tak nie całujesz! - oświadczyła Caroline.

- Może dlatego mu się spodobało - dodała zadowolona z siebie Marianne.

- Wcale mu się nie podobało! - krzyknęła Caroline. - I bądź łaskawa trzymać ręce z daleka od mojego męża!

- Trzymaj ręce z daleka od jej męża Marianne - polecił Ellis.

Uśmiechnięta Marianne znów uczepliła się ramienia detektywa.

- Tylko jeżeli obiecasz nie dotykać jego żony.

- Nigdy jej nie dotknąłem - wyznał Ellis.

- Ani ja twojej!- przysiągł Tru.

- Ładna historia -burknął producent.

- Nigdy nie dotknąłem świadomie i celowo twojej żony - powtórzył Tru, oswabadzając rękę.

Nagle rozmowa straciła swój cywilizowany charakter. Ellis i Marianne zaczęli obrzucać się niewybrednymi oskarżeniami. Caroline bezskutecznie usiłowała ich uspokoić. Tru wzruszył tylko ramionami i starał się wyłowić z potoku słów jakąkolwiek informację pozwalającą zamknąć wreszcie sprawę Stone'a.

- Ellis, Marianne, proszę - błagała Caroline.

- Chyba wcale cię nie słyszą - stwierdził Tru, podchodząc do niej. - Świetnie się bawią tym skakaniem sobie do gardła.

Caroline włożyła do ust dwa palce i gwizdnęła donośnie. Zaskakujący talent jak na cenioną panią psycholog...

- Ellis, Marianne! Natychmiast przerwijcie kłótnię! - krzyknęła.

Burzliwy dialog ucichł. Małżonkowie popatrzyli na nią, zaskoczeni, że zapomnieli o jej obecności w pokoju.

- To zachowanie nie do przyjęcia - oświadczyła Caro-

line autorytatywnie. - Usiądźmy i wyjaśnijmy w spokoju całe nieporozumienie. Z pewnością możemy...

- Wal prosto z mostu! - zawołała Marianne.

Podniosła torebkę z podłogi za kanapą i wyszła do sypialnej części domu. Po chwili rozległo się trzaśnięcie drzwiami.

- Ellis -chyba najlepiej będzie, jeśli...

- Nie teraz, Caroline - uciał ostro i udał się ślad za żoną. I znów trzasnęły drzwi.

W salonie zapadła nieznośna cisza.

- Oto małżeństwo godne podziwu - mruknął Tru. - Nie martwiłbym się o podział rodowej porcelany i kryształów. Wszystko zostanie rozbite w kawałki, zanim para dotrze do sądu po rozwód.

Caroline westchnęła.

- Skąd masz pewność, że się rozwiodą?

Zachichotał.

- O, rozwiodą się, uwierz mi. Widzę wszystkie oznaki końca tego stadła.

Caroline wyjrzała przezornie na korytarz.

- Nie mówisz tego z własnego doświadczenia. Jeśli się orientuję, ostatnio byłeś zdeklarowanym kawalerem.

- Nie trzeba połykać arszeniku, aby się przekonać, że to trucizna.

- Małżeństwo nie jest śmiertelną chorobą, Tru - oznajmiła zirytowana. - Przy odpowiednim przygotowaniu i wysiłku obu stron może stać się źródłem radości i zadowolenia.

- Racja. Czy dlatego rozwiodłaś się z mężem?

Brutalne pytanie zaskoczyło Caroline. Tru załował, że je zadał.

- Ja nie rozwiodłam się z mężem - powiedziała cicho,

starając się pokryć ból w głosie obojętnością. - To on się ze mną rozwiódł. Chciałam wspólnie rozwiązywać nasze problemy, ale on nie był zainteresowany.

Wzruszony Hallihan wstrzymał oddech. Oto opadła maska pewnej siebie, wszystkowiedzącej pani doktor. Stała przed nim bezbronna, nieszczęśliwa kobieta. Chciał ją objąć i zapewnić, że Edward jest głupcem. Zrobił krok w jej kierunku, lecz cofnęła się, unikając jego wzroku. Nerwowo potarła ramiona, jak gdyby poczuła chłód.

- Wciąż go kochasz?

Uniosła gwałtownie głowę i spojrzała mu prosto w oczy.

- Nie! Długo to trwało, lecz wreszcie zrozumiałam, że nie mogłam zmusić Edwarda, aby mnie kochał, chociaż bardzo się starałam.

- Caroline, naprawdę nie musisz się starać, żeby cię kochać. To Edward poniósł klęskę.

- I to mówi człowiek, który uważa małżeństwo za coś gorszego niż dożywotnie więzienie w San Quentin! Nie bardzo ci wierzę.

Położył dłonie na jej ramionach.

- Nie obawiaj się podstępu. Mówiłem szczerze.

Podniosła wzrok. Ból w jej oczach ustąpił miejsca nieśmiałej akceptacji.

- Czasem potrafisz być całkiem miłym facetem, panie Hallihan - stwierdziła z uśmiechem.

- A czasem? - nalegał, zachęcony takim skokiem swoich notowań u Caroline.

- Nie zaczynajmy od początku - oświadczyła surowo. - Mam pewne zadanie do wykonania.

Ruszyła w stronę sypialni Stone'a. Już miała zapukać, kiedy Tru chwycił ją za rękę.

- Co zamierzasz zrobić? - spytał szeptem.
- Pomóc Ellisowi i Marianne dojść do zgody. Muszą otwarcie przedyskutować problemy, nie uciekać od nich. Muszą się nauczyć porozumiewać.

Tru pociągnął Caroline do jej pokoju, i cicho zamknął drzwi.

- Caroline, nie sędzę, by teraz byli zainteresowani porozumiewaniem się. Może najlepiej zostawić ich w spokoju.

Caroline przyłożyła ucho do ściany.

- Nic nie słyszę.
- A czego się spodziewałaś? Zajmują przecież oddzielne pokoje.
- Ja wiem, że potrafię im pomóc. I muszę im pomóc. Powinnam najpierw porozmawiać z Ellisem. Wydaje się podatniejszy na cudze rady.

- Dlaczego tak się uparłaś, żeby naprawiać ich małżeństwo? Sama mówiłaś, że nie można nikogo zmusić do miłości. Skoro nie są szczęśliwi, powinni się rozejść i raz na zawsze z tym skończyć.

Potrząsnęła głową.

- Tym razem muszę spróbować. - Zawahała się, czy ciągnąć ten wątek. — Podśluchałam rozmowę Marianne w toalecie podczas przyjęcia. Jej pieniądze idą na działalność firmy Ellisa. Jeśli się rozwiodą, Ellis straci firmę, a ja szansę na własny program telewizyjny. Jeżeli istnieje nadzieja na utrzymanie tego małżeństwa, powinnam zrobić wszystko co możliwe.

Hallihana ogarnęło poczucie winy. Szukał dowodu potrzebnego do szybkiego, bezproblemowego zakończenia małżeństwa Stone'ów, podczas gdy Caroline rozpaczliwie usiłowała skleić ten związek.

- Robisz to dla nich czy dla siebie?
- Czy to ma znaczenie?
- A jeśli nie chcą twojej pomocy? Jeśli nie można im pomóc?

- Żadne małżeństwo nie jest z góry spisane na straty. Poza moim - dodała z goryczą w głosie. - Gdybym namówiła ich oboje na terapię, przekonałabym ich, że jeszcze istnieje szansa.

- Może nie ma już co ratować?

Skrzyżowała ręce na piersiach i spojrzała podejrzliwie.

- Dlaczego tak starasz się mnie zniechęcić?

- Ależ nie. Życzę ci sukcesu - skłamał.

- I odniosę go, jeżeli nie planujesz dalszych kontaktów z żoną Ellisa.

Wzruszył ramionami.

- Przecież wyjaśniłem Ellisowi ten incydent. Myślałem, że to ty.

- Myślałeś, że to ja i całowałeś ją bez opamiętania?

- Właśnie tak.

Z uśmiechem błakającym się na ustach obserwował Caroline.

- Co ci tak wesoło? - spytała zirytowana. - Na pewno nie kłamiesz?

- Skądże. Jestem tylko zdumiony, że mi uwierzyłaś.

- Oczywiście. Czemu miałabym nie wierzyć? Wiem, że Marianne od czasu przyjęcia miała na ciebie chętkę. Podśledzałam w toalecie.

- I nic mi nie powiedziałaś?

- I tak masz za wysokie mniemanie o sobie. A poza tym całujesz mnie, kiedy ci przyjdzie na to ochota. Wierzę więc, że mówisz prawdę.



- Jak na osobę doradzającą małżeństwom, niewiele wiesz o tej instytucji.

Zmarszczyła czoło.

- O co ci chodzi?

- Załóżmy, doktor Leighton, że jesteś moją żoną. Najpierw ja oskarżam cię o romans z innym mężczyzną. Potem ty przyłapujesz mnie w ramionach innej kobiety. A teraz, niewiele myśląc, przebaczasz mi. Co tu się nie zgadza, pani doktor.

- A co według ciebie powinnam zrobić? Dać ci w nos? Zamordować? Wyrzucić cię ze swojego życia już próbowałam, więc ten pomysł odpada.

- Wścieknij się, Caroline. Pokaż mężowi, że ci na nim zależy!

- W takiej sytuacji gniew jest absolutnie nieużyteczny. Najważniejsze narzędzia w rozwiązywaniu podobnych problemów to zaufanie i szczerze porozumienie.

- Dajże spokój! Skończ te psychologiczne gadki. W gruncie rzeczy mi nie ufasz, prawda?

Patrzyła na niego długo, surowo.

- Nie ufam. To znaczy, nie do końca.

- A więc przyłapałaś męża całującego inną kobietę. Nie ufasz mu. Powiedz mu, jak się naprawdę czujesz.

Wzniosła wzrok do nieba.

- Nie jesteś moim mężem - odparła spokojnie. - A to, jak się czuję, nie ma najmniejszego znaczenia.

- A gdybym był twoim mężem? - prowokował Tru.  
- Czy nie byłabyś przynajmniej trochę zła? Caroline, nie udawaj. Jesteś podminowaną- Czerwienisz się, spinasz. Rozładuj napięcie, zanim eksplodujesz.

- Zgoda, jestem trochę wytrącona z równowagi - przyznała. - Nie na tyle jednak, by się rumienić i eksplodować.

Tru zachichotał i pokręcił głową.

- Trochę wyrażona z równowagi - przedrzeźniał. - Cóż za cywilizowany sposób wyrażania się! Caroline, to nie herbatka u cioci, to małżeństwo! Pokaż, jak się naprawdę czujesz, a nie jak chciałabyś się zaprezentować. Walcz o mnie.

- Do czego zmierzasz, Tru?

- Kryjesz się za fasadą tak zwanej przyzwoitości Chłodny profesjonalizm, poprawne odpowiedzi, uporządkowane listy tematyczne i tak dalej. Ale gdzie jesteś prawdziwa ty? Odgrywałeś tę rolę przed Edwardem i popatrz, co się stało. Ukryłaś emocje bardzo głęboko, ale ja wiem, że pod fasadą pozorów kryje się kobieta pełna namiętności. I co wieczór daje o sobie znać podczas twoich audycji radiowych.

- Czego ode mnie chcesz?

- Chcę, żebyś powiedziała, jak się naprawdę czujesz.

- Dobrze! - wybuchnęła. - Jestem wściekła. Zadowolony? Wchodzę do pokoju i widzę, jak tarzasz się po kanapie w miłosnym uścisku z Marianne Stone. Uchodzisz za mojego męża, a ona jest żoną znanego biznesmena. Oczywiście, że jestem wściekła.

Hallihan jęknął, udając zdumienie.

- Jesteś wściekła? Nie masz przecież powodu.

Twarz kobiety wyrażała najwyższe zmieszanie. Nagle straciła cały impet.

- No... cóż... to właśnie starałam się wytłumaczyć - zająknęła się. - Nie mam powodów do wściekłości. Konfrontacją nie prowadzi do...

- Marianne całuje o wiele lepiej niż ty - stwierdził Tru bez ogródek. - Jest taka... entuzjastyczna.

Caroline zeszytniała, W zielonych oczach zapłonął ogień.

- Jeśli sądzisz, że mnie sprowokujesz...

- I ma wspaniałe ciało. Zgadzasz się ze mną? Nie mówię przez to, że twoje ciało jest złe, ale... no cóż, ona ma wspaniałe ciało.

- Jesteś odrażający. Czy tylko to się dla ciebie liczy? Jesteś płytki jak kałuża. Kobieta to o wiele więcej niż ciało. Umysł się dla ciebie nie liczy? Owszem, może być świetna w łóżku, ale całego życia nie spędzisz przecież w łóżku. Prędzej czy później trzeba wstać, usiąść do śniadania i rozmawiać. O czym? O jej piersiach? Temat dobry na poranną pogawędkę. Na minutę. I co dalej?

Tru uśmiechnął się. Oto jego Caroline, ognista i namiętna, nie zaś profesjonalistka ukryta za maską powściągliwości. Nie kobieta, którą poślubił Edward, i nie skrupulantka z listami spraw do załatwienia. Takiej oto Caroline pragnął - w ramionach, w łóżku, w życiu.

- Chyba...

- I skąd wiesz, że ona całuje lepiej niż ja? - ciągnęła, nie dopuszczając go do głosu. - Tak naprawdę nigdy mnie jeszcze nie pocałowałaś. Chyba że uważasz za pocałunek zwykłe cmoknięcie w policzek na molo. A te inne pocałunki się nie liczą. Nie masz pojęcia, jak ja całuję. Padłbyś z wrażenia, pyszałku!

- Spróbuj - zaproponował.

Gniewnie zmrużyła oczy. Ujęła twarz Tru w dłoń i stanęła na palcach. Spodziewał się, że jej usta będą twarde i zaczepne, tymczasem okazały się miękkie, podatne na jego pocałunek. Objęła go mocno za szyję i stawała się coraz śmielsza. Kiedy zetknęły się ich języki, poczuł przypływ żądy i jęknął przyciągając Caroline do siebie.

Powoli pocałunek z dumnego wyzwania przerodził się

w ekscytujące doświadczenie. Kąsała jego wargi, pieściła ustami policzki i oddychała coraz szybciej.

Podniecony Tru przycisnął brzuch do bioder Carpline. Czuł, że spodobało jej się to. Z trudem oderwał się od niej i odetchnął głęboko. Zamrugła i podniosła wzrok. Nie było w nim uporu i zadziorności, lecz oszołomienie. Pocałunek ją odurzył.

Przełknęła ślinę.

- Ja... nie wiem, co...

Położył palec na jej ustach i uśmiechnął się.

- Powiedz tylko pierwsze słowo, które przychodzi ci do głowy - poprosił półgłosem. - Nie myśl, po prostu zawierz uczuciom.

Musnął ustami jej szyję za uchem. Westchnęli

- Tak - odpowiedziała cicho.

Chwycił pasek szlafroka i czekał.

- Rozwiąż - poleciała.

Rozluźnił węzeł i zsunął jedwabną materię z ramion Caroline. Pod spodem miała cienką bawełnianą koszulę nocną. I niewiarygodnie nęcące ciało, które Tru chciał zbadać centymetr po centymetrze. Zaczął od barków i szyi.

Zamknęła oczy, odrzuciła głowę do tyłu i przygryzła wargi. Zadrżała.

- Niżej - mruknęła.

Serce Hallihana biło coraz szybciej, lecz dłonie nie spieszyły się.

- Niżej-jęknęła głosem, który pobudzał zmysły.

Tru dotknął jej piersi. Pieścił kciukami brodawki, aż stwardniały. Wstrzymała oddech, a kiedy wypuściła wreszcie powietrze, uleciały wraz z nim wszystkie obawy i zahamowania. Twarz jej wypogodziła się, uśmiechnęła. Tru

pragnął dać jej czystą, nieograniczoną rozkosz. Walczył z chęcią, by natychmiast zaciągnąć ją do łóżka. Bał się, że każdy gwałtowniejszy ruch mógłby wytrącić ją ze zmysłowego transu. Pochylił się i przez cieniutki materiał pieścił językiem sutki.

- O, tak - szepnęła.

Zanurzyła palce w jego włosach. Coraz słabiej trzymała się na nogach.

- Caroline, kochana...

- Kochany - powtórzyła cicho.

Hallihan czuł się, niepewnie. Każde słowo, każdy gest mógł zniszczyć ich cudowne zmysłowe porozumienie. Chciał przede wszystkim, żeby Caroline było dobrze. Nie uważał jej za dziewczynę na jedną noc. Była kimś więcej, kimś o wiele ważniejszym.

- Chcę się z tobą kochać - szepnął jej do ucha i drżąc, oczekiwał odpowiedzi.

Powoli uniosła powieki. Tru z ulgą dostrzegł w zielonych oczach namiętność i pożądanie.

- Powiedz, że pragniesz mnie tak bardzo jak ja ciebie.

- Pragnę cię - oświadczyła z przekonaniem,

Pocałował ją, a potem zaniósł na łóżko i delikatnie położył. Gdy pochylił się nad nią, musnęła palcem jego usta.

- Tru - odezwała się głosem ochryplym z podniecenia - chcę, żebyś coś mi obiecał.

Przycisnął rozpalone lędźwie do bioder Caroline.

- Nie mogę obiecać nic poza tym, że na pewno będzie nam dobrze.

- Nie o to mi chodzi. Chcę... żebyś zrozumiał, że to tylko przygoda dwojga ciał. I kiedy się skończy, wszystko się skończy.

Nie wierzył własnym uszom, a przecież mówiła szczerze. Oferowała seks bez zobowiązań, satysfakcję bez poczucia winy. I chociaż kiedyś chętnie skorzystałby z okazji, teraz nie mógł przystać na taką propozycję.

Nagle dotarło do niego, że nie pragnie seksu dla przyjemności.. Chciał kochać Carohne nie tylko miłością fizyczną, lecz głębiej, pełniej. Ghciał wiedzieć, że ich znajomość nie zakończy się po tym jednym zbliżeniu. Zrezygnowałby ze zlecenia Marshalla i sowitego honorarium, aby tylko mieć pewność, że będzie następne.

- Chyba nie rozumiem, co mówisz — stwierdził cicho.

- Chcę, żeby wydarzenia tej nocy pozostały w czterech ścianach sypialni. Wiem, że nie jesteś zdolny do zaangażowania się ani zainteresowany stałym związkiem. Nieważne. Nie chcę niczego więcej.

- Dlaczego? - spytał niecierpliwie.

- Ponieważ wiem, że nie jesteś w stanie mnie pokochać. Nie będę cię zmuszać do uczuć. Wiemy od początku, że nie jesteśmy dla siebie stworzeni. Zaspokoimy ciekawość seksualną i będziemy dalej żyć własnym życiem, zapominając o sobie.

- Czy naprawdę tego chcesz?-spytał rozwścieczony Tru.

- Wydaje się to najsensowniejszym scenariuszem. Zgadzasz się?

Zmusił się do uśmiechu i powstrzymał gniew.

- Jasne. Rozumiem.

Uśmiechnęła się zadowolona. Przyciągnęła go za włosy. Jęknął i oddał ciało we władanie instynktu. Ale nie do końca. Resztką świadomości mówiła mu, że seks nie rozdzielił ich, tak jak sądziła Caroline, lecz przeciwnie - wzmocnił siłę wzajemnego przyciągania.

Oderwał się od Caroline i usiadł na skraju łóżka. Zwi-  
chrzył dłonią włosy i westchnął.

- Nie mogę tego zrobić - mruknął pod nosem, sam nie  
wierząc własnym uszom.

Usiadła obok i z wahaniem dotknęła ramienia mężczyzny.

- Gzy to moja wina?

- Nie. - Milczał przez chwilę. - Może.

- Wiem, że nie jestem w tym najlepsza - stwierdziła  
przygnębiona. - Od dawna nikogo nie miałam. Myślałam  
jednak, że to jak z jazdą na rowerze i że błyskawicznie  
przypomnę sobie to uczucie. Co było źle? Proszę, tylko  
szczerze.

- Nie chodzi o twój... występ. To ja mam problem i nie  
mogę sobie z nim poradzić.

- Chcesz powiedzieć, że... że nie możesz... - chrzą-  
nęła - wystąpić?

Odrzucił się, zirytowany jej przypuszczeniem.

- Nie, nie w tym rzecz - wyjaśnił. - Ja po prostu nie  
chcę... wystąpić. - Pokręcił głową i przycisnął dłonie do  
oczu. - Jezu, nigdy nie sądziłem, że takie słowa przejdą mi  
przez gardło. Chyba zwariowałem.

Zarumieniona twarz Caroline przez chwilę wyrażała ból,  
którego miejsce zajęła zaraz maska opanowania.

- Rozumiem. Nie podniecam cię.

- Caroline, nie masz pojęcia, jak na mnie działasz.

Wstał z łóżka i patrzył na nią pełen pokusy, by zGnoro-  
wać głos sumienia i oddać się żądzy. W białej koszuli noc-  
nej wyglądała młodo i niewinnie. Wiedział jednak, jakie  
namiętności w niej drzemia.

- Co się ze mną dzieje - mruknął. - Chyba poszukam  
jakiejś innej sypialni. Do zobaczenia rano.

Droga do wyjścia wydała mu się szlakiem przez piekło. Jeszcze trudniej przyszło mu zamknąć drzwi za sobą. Kiedy opadł na kanapę w salonie, wiedział, że najgorsze dopiero przed nim. Miał spędzić bezsenłą noc, rozmyślając o Caroline, gorącej i samotnej w swoim łóżku, kilka metrów dalej, zastanawiając się, jak mogło im być dobrze.

- Wiedziałam, że tak się skończy, jeśli będę miała zbyt długą przerwę - powiedziała Caroline z twarzą w dłoniach.  
- Przestałam być seksualnie atrakcyjna dla mężczyzn. Zresztą nigdy nie byłam w tym dobra.

Aurora, na wznak leżąc na kanapie w gabinecie terapeutki, bawiła się talią kart do tarota.

- Pytałam tylko, jak minął weekend nad jeziorem - stwierdziła, wyraźnie zmieszana wyznaniem przyjaciółki.  
- Co świeże powietrze i odpoczynek w samotności mają wspólnego z twoim życiem seksualnym?

- Mój spokojny weekend zamienił się w największą bitwę od czasu lądowania aliantów w Normandii. Brakowało tylko ciężkiej artylerii.

- Zechciałabyś wyjaśnić tę zaskakującą metaforę? - poprosiła Aurora.

Caroline mocno splotła dłonie przed sobą.

- Pojawił się Ellis, a po nim Tru z niedorzecznym podejrzeniem, że umówiłam się z Ellisem na schadzkę. Potem przyjechała Marianne, a Ellis i ja przytąpaliśmy ją całując się z Hallihanem. Potem wybuchła wielka kłótnia. Ellis i Marianne zamknęli się w osobnych sypialniach, za to ja i Tru wylądowaliśmy w tym samym pokoju. Najpierw on próbował mnie uwieść, później ja jego. W każdym razie skończyło się na tym, że on nocował na kanapie w salonie.



Rano wydawało mi się, że to tylko zły sen, ale teraz jestem pewna, że naprawdę to wszystko się wydarzyło.

- Próbowaaś uwieść Tru Hallihana? - zachichotała Aurora. - Nie bez powodu przyszłam w niedzielę do pracy. Miałam dziwne przeczucie. Opowiedz wszystko ze szczegółami. Od początku.

- Siedzę tu usiłując spisać w punktach powody, dla których poszło nam źle, ale nic nie rozumiem. - Podała Aurorze listę. - Tru od początku dawał do zrozumienia, że nie szuka stałego związku. A ja jestem rozsądna na tyle, by wiedzieć, że to nie mężczyzna moich marzeń. Chciałam więc ułatwić mu zadanie. Zapewniłam, że nie oczekuję niczego poza zbliżeniem fizycznym. Wtedy wstał z łóżka i wyszedł.

Wspomnienie wywołało na twarzy Caroline rumieniec zakłopotania. Całą noc walczyła z pokusą, by pójść do salonu. A rano dom był pusty.

- Powiedz, Auroro, co zrobiłam źle?  
- On jest w tobie zakochany.  
- Co? -jęknęła Caroline.  
- Zakochany. Może jeszcze o tym nie wie, ale tak jest.  
- Śmieszne! Więc dlaczego wybiegł z sypialni jak oparzony?

- Bo cię kocha. Zranił cię go.

Caroline patrzyła oszołomiona na przyjaciółkę. Głos uwiązł jej w gardle. Niemożliwe! Przecież od początku mówił wyraźnie, że nie wierzy w miłość aż po grób.

- Nie twierdzą, że on jest świadom swoich uczuć. Pewnie jak większość mężczyzn będzie z początku odrzucał taką ewentualność. Może nawet próbować zapomnieć o tobie w ramionach innej kobiety. Prędzej czy później prawda uderzy w niego jak piorun i zrozumie, że nie potrafi bez

ciebie żyć. Wtedy lepiej uważaj. Opisałaś Hallihana jako człowieka, który nie rezygnuje z osiągnięcia celu.

- Ależ on w ogóle do mnie nie pasuje! - zaprotestowała gwałtownie Caroline. Wyjęła z szuflady plik kartek. - Popatrz, dwadzieścia trzy argumenty przeciwko naszemu związkowi. A to tylko najważniejsze sprawy. Nawet nie warto robić listy pomniejszych przyczyn.

Aurora chwyciła listę, zerknęła na nią, zmięła i rzuciła za siebie.

- Daj kartkę - zażądała. - I ołówek. Sporządzę zaraz listę argumentów za tym, że do siebie pasujecie.

Pisanie trwało zaledwie chwilę. Uśmiechnięta wróżka spojrzała na pełną powątpiewania minę Caroline i pokazała jej kartkę z jednym słowem: PRZEZNACZENIE.

- Siły kosmosu, nad którymi nie panujecie - wyjaśniła. - Fatum. Karma. Kismet. Nazwij to jak chcesz, Caroline, ale musisz zrozumieć jedno. Nie wygrasz z tym. Jesteś stworzona do życia z Tru Hallihanem, Nawet ja czuję energię, jaką wytwarzacie.

- Ależ on nie jest odpowiednim mężczyzną dla mnie. Porównaj tylko jego cechy z sześcioma stopniami do małżeńskiego sukcesu. Jest uparty, skryty, zadziorny i wcale nie zainteresowany stałym związkiem. To związek skazany na zagładę.

- Caroline, zapomnij o listach. Jak się czujesz w obecności Hallihana?

- Zdenerwowana aż do bólu żołądka.

- Jak jeszcze?

- Robi mi się gorąco. Serce bije szybciej. Tracę oddech. Zamieniam się w dotyk. I chcę, żeby całował mnie bez końca.

- Słuchaj, może powinnaś zapomnieć o wiedzy zawodowej i zacząć słuchać swego serca?

- Nie mogę. Postąpiłabym wbrew temu, co mówię pacjentom i radiosłuchaczom. Ważne, aby na każdy związek patrzeć rozsądnie i logicznie.

- Miłość przybiera różne postaci. Może ty nie powinnaś kochać głową?

- Chyba w ogóle nie jestem stworzona do miłości - mruknęła Caroline.

Aurora zerwała się z kanapy.

- Nie wierzę! Na twoim miejscu dałabym panu Hallihanowi szansę. A jeśli okaże się wymarzoną mężczyzną dla ciebie?

- Nie ma mowy.

- Wiesz, Caroline, zrób dla mnie jeszcze jedną listę. Listę powodów, dla których przestaniesz robić listy. A kiedy się z tym uporasz, usiądź w spokoju i przeprowadź szczerą rozmowę z samą sobą.

Aurora wyszła z gabinetu. Caroline chciała zgnieść kartkę z „argumentem” przyjaciółki, lecz zmieniła zamiar. Wbiła wzrok w magiczne słowo.

Przeznaczenie. Niełatwo uwierzyć, że spośród wszystkich mężczyzn świata pisany jest jej właśnie Tru Hallihan. Ale coż właściwie wiedziała o siłach kosmosu?

## ROZDZIAŁ

# 7

Jak na południową godzinę szczytu panował zadziwiająco mały nich. Caroline skręciła w prawo, w Lasky Drive, i znalazła miejsce do zaparkowania. Miły jesienny wierzyk i szybki spacer kołły skołatany umysł.

Od powrotu znad Lake Arrowhead usiłowała usunąć z pamięci Tru Hallihana i skupić się wyłącznie na pracy. Po godzinach terapii z pacjentami z zapalem przygotowywała się do swego pierwszego *talk show*. Mimowolnie myślała jednak wciąż o dziwnej radzie Aurory i jeszcze dziwniejszym zachowaniu Tru. Gzy mógł być w niej zakochany i nie wiedzieć o tym? Sprawiał wrażenie mężczyzny o ustalonym poglądzie na kobiety. Otwarcie przecież przyznał, że nie interesuje go małżeństwo czy jakikolwiek poważny związek. Jego opinia w tym względzie przypominała domy odporne na trzęsienie ziemi: gdy nadchodziło, mogły się lekko przechylić, ale nie runąć.

I tyle ona dla niego znaczyła. Lekkie wychylenie sejsmografii na uczuciowej skali Richtera. Gdyby Tru rzeczywiście ją kochał, jak podejrzewała Aurora, nie uciekłyby tamtej nocy. Na samo wspomnienie jego pieszczot dreszcz wstrząsnął ciałem Caroline.

Chwyciła torebkę i wysiadła z samochodu. Roztrząsając wciąż od nowa, dlaczego nie powiodło im się w sypialni nad jeziorem, mogła doprowadzić się do obłędu. Koniec „małżeństwa” z Hallihanem. W oceanie kawalerów pływają różne ryby, miłe, spokojne i bez awersji do małżeństwa. Powinna zarzucić sieć na taką rybkę, zamiast czekać, aż rekin (co prawda o wiele atrakcyjniejszy) pożre ją żywcem.

Ruszyła w stronę modnej restauracji „U Johnny’ego” na spotkanie z Ellisem. Oprócz tematów związanych z jej pierwszym programem zamierzała poruszyć sprawę konfliktów małżeńskich Stone’ów.

Przed lokalem spostrzegła czarny mercedes Ellisa, a tuż za nim niepozorny wóz nie znanej jej marki, za którego kierownicą siedział mężczyzna w czarnych okularach, bardzo podobny do Hallihana. Kiedy ponownie spojrzała w tę stronę, samochód był pusty. Czyżby przywidzenie? Traciła już głowę...

Wnętrze restauracji urządzone wygodnie i sztywnie. Na lnianych obrusach stała porcelana, kryształ, srebra. Był to jeden z ulubionych lokali Caroline, głównie dlatego, że podawano tu wyśmienicie przyrządzone przepiórki. Kierownik sali zaprowadził ją do stolika pod oknem wychodzącym na tarasowy ogród z fontanną.

Ellis wstał na powitanie.

- Caroline, miło znów cię widzieć.

Uśmiechnęła się i podała mu rękę.

- Ja też się cieszę.

Wyczuła jego napięcie i zakłopotanie. Wspomnienia wydarzeń sobotniej nocy nad jeziorem zdawały się wisieć nad stolikiem niczym ciemna chmura. Caroline postanowi-

ła od razu poruszyć drażliwy temat, aby oczyścić atmosferę, lecz Ellis ją uprzedził.

- Caroline, chciałbym przeprosić za zachowanie mojej żony. Marianne to bardzo... porywcza osoba i czasem mówi szybciej, niż myśli. Ubrdała sobie, że łączy nas coś więcej niż sprawy zawodowe. Podrywaniem Lance'a chciała mi się zrewanżować.

Caroline dotknęła jego dłoni w geście współczucia.

- Dobrze, że tak otwarcie podchodzisz do sprawy, Ellis.

- Przykro mi, jeśli między tobą i Lance'em powstały z tego powodu nieporozumienia. Słyszałem, że wyjechał w środku nocy. Marianne zniknęła godzinę później. Postanowiłem pojechać za nią i wszystko wyjaśnić.

- I udało się?

- Niestety nie. Przeżywamy kryzys. Marianne jest pewna, że ją zdradzam. Chyba ojciec ją tak nastawia do mnie. nigdy mnie nie lubił. Uważa, że popełniła megalomanię. Nie może znieść, że użyłem jej pieniędzy do założenia własnej firmy.

- A zdradzasz ją, Ellis?

Odwrócił wzrok. Potrząsnął głową.

- Byłem tego bliski, raz, ale nie zdradziłem jej. Dla Marianne nie ma to znaczenia. Wyczuła, że coś wisiało w powietrzu. Chciałem powiedzieć prawdę, ale boję się, że stracę żonę.

- Z powodu pieniędzy?

Roześmiał się.

- Nie. Pieniądze nic dla mnie nie znaczą. - Znów prze-  
niósł wzrok na ogród. — Marianne i ja poznaliśmy się na  
premierze jakiegoś filmu. Pracowałem wtedy w reklamie  
i sądziłem, że ona chce za mnie wyjść na złość ojcu. Miłość

od pierwszego wejrzenia. Przeznaczenie. Kochałem ją i wciąż Kocham. Oddałbym wszystko - firmę, dom w Bel Air, wszystko, żeby tylko ją odzyskać.

- Powiedziałaś jej to?

- Nie. I tak by mnie nie słuchała. Ojciec przekonał ją, że jestem ladaco. Może rzeczywiście. Syn malarza pokojowego z Resedy. A ty i Lance szalejecie za sobą, to widać gołym okiem.

Caroline wierciła się na krześle i bawiła widelcem.

- Cóż, ciężko pracujemy nad naszym małżeństwem - skłamała. - Nie zawsze jest łatwo, uwierz mi.

Nie śmiała wyznać prawdy. Ona i Lance przeżywali równie wiele problemów jak Marianne i Ellis, chociaż nie byli nawet małżeństwem!

- Wiesz - ciągnął Ellis — Lance i ja mamy dużo wspólnego. Wychowaliśmy się w tej samej okolicy. Staramy się zrobić karierę w Los Angeles, a nasze żony na razie za to płacą. Dlaczego wam ta zależność nie zatruwa małżeńskiego życia?

- Staramy się skupić na uczuciach - odparła Garoline, przywołując słowa Aurory. - To najważniejsze. Reszta się nie liczy.

- Kiedyś było tak między mną i Marianne.

- Cóż, przy odrobinie pracy dałoby się uleczyć wasz związek. Proponuję wam terapię. Jeśli uważacie korzystanie z mojej pomocy za krępujące, chętnie polecę wam kolegę psychologa. Tak czy owak powinieneś usiąść spokojnie z żoną i powiedzieć jej wszystko to, co mnie przed chwilą.

- Nie sądzę, by Marianne zgodziła się na terapię.

- W takim razie przyjdź sam, ale powiadom ją o tym.

Niech wie, że zależy ci na waszym związku. Miłość naprawdę potrafi wszystko przezwyciężyć.

Dalsza część lunchu upłynęła na omawianiu szczegółów programu Caroline. Kiedy wyszli z restauracji, zdała sobie nagle sprawę, że blisko godzinę nie myślała o Hallihanie. Z rozmysłem nie popatrzyła, czy ciemny wóz stoi wciąż po drugiej stronie ulicy. Serdecznie pożegnała się z Ellisem. Kiedy zmierzała do swojego samochodu, minął ją samochód prowadzony przez kierowcę o znajomym profilu.

- Coraz gorzej z tobą, Caroline - mruknęła do siebie.  
- Niedługo zobaczysz Hallihana za kierownicą autobusu albo w porannej kawie. Opanuj się, kobieto, zanim ten człowiek doprowadzi cię do szaleństwa.

„Dobry wieczór, Los Angeles. Tu rozgłośnia KTRL. Słuchacie audycji «Małżeństwo doskonałe». Przed mikrofonem doktor Carly Lovelace. Mamy następną rozmówczynię: Moj chłopak mówi, że mnie kocha, ale nie chce się angażować w stały związek. Chciałabym wyjść za mąż, ale jakie mam szanse na udane małżeństwo, skoro nawet nie potrafię doprowadzić chłopaka do ołtarza?

Według ostatnich sondaży cztery kobiety na pięć mają ten sam problem. Badania wykazują, że nieżonaci-umierają wcześniej niż żonaci. Czy znaczy to, że mężczyźni żenią się po to, aby żyć dłużej? A może kawalerskie życie zagraża zdrowiu? Nie wiem. Wiem jednak, że mężczyźni unikają angażowania się z paru powodów. Po pierwsze, boją się niewłaściwego wyboru. Myślą: a jeśli spotkam kogoś ładniejszego, młodszego?"

Tru nastawił głośniej radio w samochodzie, aby słyszeć wszystkie odcienie głosu Caroline. Trudno mu było uwie-



rzyć, że spotka w życiu kogoś piękniejszego i bardziej fascynującego niż doktor Leighton.

„Mężczyźni obawiają się odpowiedzialności finansowej za rodzinę. Zadają sobie pytania: czy moja żona zrezygnuje z pracy zawodowej? A co z domem? Z emeryturą? To ogromny stres dla mężczyzny”.

- Jaki stres? - mruknął Tru.

Caroline nigdy nie zrezygnowałaby z kariery zawodowej, zwłaszcza gdyby dostała pracę w telewizji. Skromne dochody prywatnego detektywa niewiele znaczyłyby w domowym budżecie. Praca u Simona Marshalla zależała od sukcesu w przyłapaniu Ellisa. Gdyby zaś Tru dowiódł jego niewierności, Caroline nigdy by mu nie wybaczyła. Koło się zamykało.

„Mężczyźni nie chcą się żenić, bo wszelkie dobrodziejstwa małżeństwa można mieć bez tego. Seks, sprzętaczkę, gotowe jedzenie. Nie za darmo, ale bez konieczności budzenia się codziennie u boku tej samej kobiety. Strach przed nudą również odstręcza od angażowania się w stały związek”.

Codziennie patrzeć na twarz Caroline po przebudzeniu? Co noc zasypiać w jej ramionach? Ta perspektywa nie wydawała się Hallihanowi odpychająca. Nie potrafił wyobrazić sobie znudzenia tą kobietą. Wymienione przez nią powody nie zniechęcały go do zaangażowania się. Nie umiał podać ani jednego kontrargumentu. Poza ewentualnymi dwudziestoma tysiącami dolarów od Marshalla, co zresztą nie miało nic wspólnego z jego uczuciami.

Sprawa Ellisa Stone'a przestała się dla niego liczyć. Mógł przecież zafundować sobie elegancki gabinet z sekretarką i bez pieniędzy Marshalla. Przez dwa tygodnie nie znalazł

najmniejszego dowodu na romanse Ellisa. Za każdym z telefonów z jego notesu kryły się kontakty zawodowe.

Tru zrezygnował ze śledzenia czarnego mercedesa i pojechał pod rozgłośnię KTRL w Burbank. Wślizgnął się do budynku wejściem dla personelu. Z wewnętrznych głośników płynął głos Caroline prowadzącej audycję na żywo. Siedziała w studiu tyłem do drzwi, ze słuchawkami ha uszach. Nie zauważyła Hallihana. Naradzała się właśnie z redaktorką programu, czy wpuścić na antenę siedemdziesięcioletnią staruszkę skarżącą się na swoje życie seksualne z o dwa lata starszym mężem.

- Zabawne - odezwał się Tru, a jego słowa zabrzmiały w ciszy studia jak salwa armatnia.

Caroline podskoczyła na krześle, krzyknęła i odwróciła się gwałtownie.

Tru wyszedł z ciemnego kąta przy drzwiach i odetchnął głęboko.

- W porządku — zaczął. - Myślę wciąż o nas. O tobie i mnie. Chcę stałego związku. Poważnego związku. Wiem, że nie przywykłaś do takich mężczyzn jak ja, ale...

- Co ty tu robisz? - odzyskała wreszcie głos. - Jak się tu dostałeś?

- Tylnym wejściem. Wiem, że masz listę cech idealnego mężczyzny, ale ja nie potrafię dopasować się do listy. Jesteś...

- Carly, wchodzisz za minutę - uprzedził głos redaktorki.

- Tru, jestem na antenie. Musisz wyjść.

- Nie wyjdę, dopóki nie ustalimy, co z nami.

- Wyjdź, bo redaktorka wezwie strażników.

-Najpierw coś załatwię.

Chwytał fotel Caroline za poręcze i przyciągnął do sie-

bie, przykleknął na jedno kolano, zatopił dłonie w jej włosach, a na ustach złożył długi, zmysłowy pocałunek. Odpowiedziała żarliwie.

Tru poprawił słuchawki na uszach Caroline. Z trudem opanowała się i powróciła do rozmów ze słuchaczami. Ale on wciąż klęczał obok. Zdjął jej pantofel i masował stopę, potem łydkę i sunął dłonią wyżej, wzdłuż uda. Przyzwalająco rozchyliła nogi, przeklinając w duchu majteczki. Po chwili Tru zdjął je także i podwinął spódnice. Nie przerywał pieszczot. A Caroline nie przerywała rozmowy na antenie. Wreszcie nie wytrzymała i zapowiedziała reklamy.

Głos redaktorki zaprotestował przez interkom. Nie wolno było skracać audycji. Caroline, tłumacząc się bólem gardła, musiała przeprowadzić jeszcze tylko jedną rozmowę na żywo. Tymczasem Tru poradził sobie z biustonoszem i otoczył ustami jedną z brodawek. Znow zapowiedziała reklamę i zakończyła program.

Zaniepokojona redaktorka zaproponowała herbatę z miodem. Caroline podziękowała, zamknęła drzwi studia na klucz i zasłoniła przeszkloną ścianę. Zdjęła żakiet i bluzkę.

W trzech krokach znalazł się przy niej. Uśmiechnął się.

- Porozmawiajmy o naszym związku.

Caroline stanęła na palcach i pocałowała go.

- Zaczyna się robić poważnie - stwierdziła.

- Bardzo poważnie.

Jeszcze nigdy nie czuła takiego pożądanego, ani wobec Edwarda, ani żadnego innego mężczyzny. Bała się, ale chciała zaryzykować. Pragnęła zademonstrować Hallihowi, co czuje.

- Chyba czas wyrównać rachunki, prawda? Zdejmij marynarkę. I podkoszulek - poleciła.

Odsłonił zęby w uśmiechu.

- Lubię agresywne kobiety.

Przycisnęła się do muskularnego torsu.

- Kochaj mnie, Tru. Teraz.

Usiadł na krześle, tuż przed nią. Wsunął dłoń między jej uda. Zarumieniona sięgnęła po torebkę. Wyjęła foliowy pakiecik. Rozpiął spodnie, a ona szybko i zręcznie osłoniła gładki, twardy kształt. Tru wstrzymał oddech, aby nie jęknąć.

- Chcę cię kochać, Caroline - szepnął. - Chcę spróbować.

Musnęła palcem usta Tru, wyrażając milczącą zgodę. Czegoś takiego Caroline jeszcze nie przeżyła. Poruszali się w zgodnym rytmie, jak gdyby robili to już przedtem wielokrotnie. Doznania jednak były tak intensywne, jak przy pierwszym razie. Drżała, jęczała i szeptała imię Tru, aż jednocześnie osiągnęli szczyt rozkoszy.

- Wiem, czego chcę - odezwał się Tru cicho, kiedy powrócił do rzeczywistości. - Chcę, żeby nam się udało. I chcę, żebyś mi w tym pomogła, Caroline. Nie musisz decydować się od razu, ale przemyśl to.

Nie musiała się zastanawiać. Kochała Hallihana i to ją przerażało.

## ROZDZIAŁ

# 8

Caroline pchnęła drzwi gmachu West Hollywood. Na dole znajdował się modny sklep odzieżowy, na górze - cztery biura. Odnalazła tabliczkę Hallihana, po wąskich schodach wspięła się na piętro i zapukała.

Miała nadzieję, że zastanie Tru w gabinecie. Godzinę wcześniej nagrała się na automatycznej sekretarce, zapowiadając wizytę o pierwszej, nie wiedziała jednak, czy odebrał wiadomość.

Kochali się przez całą noc u niej w domu. Rano został tylko zapach męskiej wody kolońskiej na poduszce i liścik, w którym Tru prosił ją o podjęcie decyzji: albo stały związek ze wszystkimi tego konsekwencjami, albo nic. Podczas wspólnej nocy Tru wciąż dowodził szczerości swych uczuć. Pragnął jej, i to nie tylko na tę noc.

Chciała wierzyć, że mają przed sobą przyszłość. Na ich niekorzyść przemawiało jednak tak wiele czynników, że jako specjalistka musiała być sceptyczna. Gdyby chodziło o jedną z pacjentek, doktor Leighton poleciłaby sporządzenie listy oczekiwań, przedyskutowanie jej z potencjalnym partnerem i zdecydowanie, czy dany mężczyzna może uczynić kobietę szczęśliwą. Taka lista tkwiła w torebce

Caroline, która z niepokojem czekała na omówienie spisanych punktów z Hallihanem.

Rozważała możliwość spotkania w mieszkaniu Tru, lecz doszła do wniosku, że należy zastosować typowo kawalerską taktykę rozmowy na „jego” terenie. Gdyby sprawy ułożyły się niepomysłnie, mogła z wdziękiem opuścić gabinet Tru, oszczędzając im obojgu kłopotliwego rozstania.

- Nie ma go - rozległ się za jej plecami kobiecy głos.

Na progu biura po przeciwnej stronie korytarza stała na wpół naga kobieta, zawodowa striptizerka, jak głosił napis na drzwiach Strategiczne części ciała zasłoniła sztucznymi owocami.

- Wie pani, kiedy on wróci? - spytała Caroline.

- Nie spowiada mi się, skarbie - odparła cienkim, przesłodzonym głosem. - Chociaż nie miałabym nic przeciwko temu. Niezły ogier ten Truman. Szukasz prywatnego detektywa?

- Niezupełnie. Jestem jego przyjaciółką.

- Jeśli szukasz faceta z jajami, Tru jest najlepszy.

Caroline zaczerwieniła się.

- Facet z jajami?

- Tak, prawdziwy fachowiec. Ma nosa do tropienia niewiernych mężów. - Striptizerka zniżyła głos do konspiracyjnego szeptu. - Nakrył mojego ślubnego, kiedy posuwał sąsiadkę. MłGiem dostałam rozwód i przejęłam interes. Owocowa Ruby to moje pseudo artystyczne. Niektóre owoce są prawdziwe - zachichotała, zrywając jabłko z bioder. - Poczęstuj się.

- Dziękuję, jestem po obiedzie - mruknęła Caroline z rezerwą. - Poczekał tu chwilkę, jeśli to pani nie przeszkadza.

- Czuj się jak u siebie w domu. Czasem Tru nie zagląda tu całymi dniami. Pracuje teraz nad superważną sprawą. Rozwód grubej ryby. Chyba jakiegoś producenta z Hollywood. Wstap do mnie. Mam trochę czasu. Pogawędzimy sobie po babsku. Opowiesz o Trumanie i tak dalej.

Caroline potrząsnęła głową.

- Nie, wolałabym poczekać na korytarzu, żeby nie przeoczyć jego przyjścia.

Ruby przypatrywała jej się badawczo przez chwilę.

- Wiesz co, masz szczerą twarz. Tru na pewno nie będzie zły, jeśli cię wpuszczę do jego biura. - Spód banana zakrywającego lewą pierś striptizerka wyjęła pęk kluczy. - Zastępuję dozorcę. - Wyjaśniła. - Gdyby Truman się nie pokazał, zostaw mu wiadomość i dokładnie zatrzasknij drzwi za sobą.

Caroline powoli wkroczyła do ciemnego gabinetu. Uśmiechnęła się do Ruby.

- Bardzo pani dziękuję.

- Nie ma problemu, skarbie. - Zza kiści sztucznych winogron wyciągnęła wizytówkę. - W razie gdybyś potrzebowała striptizerki na przyjęcie, zadzwoń. Dla przyjaciółki Trumana dziesięć procent zniżki!

- Dziękuję. Miło mi było panią poznać. Życzę powodzenia w sprawach zawodowych.

W ciasnym gabinecie panował zaduch. Popołudniowy żar wlewał się przez zasunięte rolety. Włączyła światło, spodziewając się bałaganu, lecz w przeciwieństwie do mieszkania detektywa, w gabinecie panował wzorowy porządek, jak gdyby Tru spędzał tu niewiele czasu. Poobijane stare biurko stało pośrodku, przed nim dwa skórzane miękkie fotele, a wzdłuż tylnej ściany - katalog.

Rozejrzała się po wnętrzu, szukając jakiegoś śladu mówiącego o człowieku, z którym kochała się minionej nocy. Nie znalazła jednak żadnych akcentów osobistych - żadnych fotografii czy drobiazgów świadczących o przeszłości lub teraźniejszości lokatora.

- Nic o nim nie wiem - stwierdziła półgłosem - oprócz tego, że nie potrafię się mu oprzeć.

Otrzeпаła kurz z fotela dla gości i usiadła. Cieszyła się, że nie zastała Hallihana w chwili przybycia. Miała przynajmniej czas na zebranie myśli. Nie mogła zaprzeczyć, że są dla siebie atrakcyjni. Chpciaż nigdy nie polecała opierania związku na seksie, zaczynała wierzyć, że uda się im przekształcić więź fizyczną w trwały układ partnerski, w którym początkowe oczekiwania nie będą odgrywały roli.

Zerknęła na zegarek i jęknęła niezadowolona. Wstała i zaczęła przechadzać się tam i z powrotem po niewielkim gabinecie. Jej wzrok przykuła brązowa koperta na biurku. Nie uważała się za osobę wścibską. Chciała po prostu dowiedzieć się czegoś więcej o pracy Hallihana. Otworzyła kopertę i wstrzymała oddech.

Z błyszczącej czarno-białej fotografii patrzyła jej własna twarz. Nie było to jednak zdjęcie, które ofiarowała kolegom Tru w barze. Dreszcz przeszedł po plecach Caróline, kiedy oglądała kolejne fotografie zrobione przed biurem Ellisa. Wiele przedstawiało ją w towarzystwie Stone'a. Rozmawiali, uśmiechali się, a nawet całowali w policzek. Skąd i po có Hallihan miał takie zdjęcia?

Może zrobił je wtedy, gdy próbował ustalić tożsamość radiowej doktor Carly Lovelace? Ale dlaczego usiłował potem sfotografować ją w gabinecie przy pierwszym spotkaniu? Ta teoria nie wydawała się sensowna.



Druga wywołała napad panicznego strachu. Może Tru miał obsesję na jej punkcie? Może był maniakałnym podglądaczem i zbóćceńcem? O Boże, a ona sama zapraszała go do swego życia i zachęcała do odgrywania roli Lance^.... Zamknęła oczy i z trudem przełknęła ślinę. Teoria numer dwa, aczkolwiek sensowna, nie pasowała do Hallihana. Dziwaczne poczucie humoru detektywa dalekie było od szaleństwa.

Odetchnęła głęboko, aby uspokoić nerwy. Na nalepce na kopercie męska ręka napisała dużymi literami: STONE. Czyżby jedna ze spraw prowadzonych przez detektywa? Przypomniała sobie słowa striptizerki. Rozwód grubej ryby. Producent z Hollywood. Ellis Stone?

Zmarszczyła brwi. To najprawdopodobniej szał z możliwości, ale dla kogo pracował Tru? Z pewnością nie dla Ellisa, obecnego na tyłu zdjęciach. Dla Marianne Stone!

Spokojnie analizowała informacje. O czym rozmawiali Tru i Marianne podczas przyjęcia? Planowali strategię? Jak daleko zaszli w Swojej znajomości? Czy wystarczająco, by planować schadzki nad jeziorem? Powróciły wspomnienia nocy w domu nad Łakę Arrowhead. Zdziwienie Tru na jej widok, podejrzenia wobec Ellisa, szamotanina na kanapie. I jeszcze ciemny wóz zaparkowany przed restauracją.

Omam nie rozpłakała się z wściekłości. Opadła na fotel. Poszczególne elementy układanki doskonale do siebie pasowały. Tru pracował na zamówienie Marianne Stone i prawdopodobnie również z nią sypiał. Podobnie jak Marianne, podejrzewał ją o romans ze Stone'em. Potrzebowali dowodu, więc wślizgnął się niczym robak w życie Caroline, przypuszczalnie z błogosławieństwem pani Stone.

Nie, nie jak robak. Sama go przecież zaprosiła. Naiwna, głupiotka. Nie zamierzała jednak udawać idiotki ani chwili dłużej. Starannie włożyła zdjęcia do koperty i podeszła do drzwi. Kiedy naciskała kłamekę, na schodach rozległy się czyjeś kroki. Cofnęła się. Zazgrzytał klucz w zamku. Na progu stanął Tru z wyrazem zaskoczenia na twarzy.

- Caroline.

Powstrzymała wybuch gniewu. Zmusiła się do uśmiechu.

- Cześć, Tru.

- Odebrałem wiadomość i natychmiast przyjechałem.

Jak się tu dostałaś?

Rzucił klucze na kopertę ze zdjęciami. Caroline podskoczyła.

- Ruby mnie wpuściła.

Roześmiał się.

- Poznałaś Ruby? Uprzejma dama, prawda? Przypomnij, żebym jej podziękował.

Kiwnęła głową i zerknęła na zegarek.

- A niech to! - zawołała zdenerwowana. - Popatrz, jak już późno! Muszę iść. Hartmannowie przychodzą o drugiej, a Sampsonowie o trzeciej.

Pobiegła do drzwi. Dogonił ją w trzech susach i chwycił za łokieć.

- Poczekaj. Nie powiesz, po co chciałaś się ze mną spotkać?

Dotyk palców Tru działał elektryzująco. Kolana ugięły się pod Caroline.

- Nie! To znaczy, nic ważnego. Może zaczekać. Naprawdę muszę lecieć. Zadzwoń i pogadamy... później.

Wyrwała się i pomknęła po schodach.

- Caroline! Wróć! Co tu się dzieje, do diabła?

- Jestem spóźniona! - krzyknęła w odpowiedzi i trzasnęła drzwiami, bojąc się, że Tru pobiegnie za nią.

Przestraszona spojrzała w lusterko wsteczne. Tru stał przed budynkiem i patrzył, jak jej samochód skręca w najbliższą przecnicę.

Dopiero wtedy rozluźniła palce na kierownicy. Walczyła z wzbierającym potokiem łez. Podstępne zachowanie Hallihana wprost nie mieściło jej się w głowie. Od początku do końca udawał, a ona dała się wciągnąć w nikczemną pułapkę.

A po drodze - także do jego łóżka...

- To chyba nie takie trudne? - spytała Caroline ironicznie. - Skoro Tru w ten sposób zarabia na życie. Zresztą przestudiowałam podręcznik od deski do deski. - Podała książkę Aurorze.

- „Jak zostać prywatnym detektywem”. - Aurora odwróciła książkę, aby przeczytać notkę z tyłu okładki. - „Dziesięć lekcji nowego zawodu. Wprowadzenie do eksycytującego świata prywatnych detektywów”. Caroline, wiem, że lubisz podnosić swoje kwalifikacje, ale posuwasz się chyba za daleko. Nie możesz z książki nauczyć się, jak pracuję prywatny detektyw.

- Możemy się nauczyć. I tak właśnie zrobimy - zapowiedziała Caroline.

- Nie. W tym ci nie pomogę - zaprotestowała wróżka.

- Ależ musisz! Twoje siły psychiczne będą bardzo pomocne. Instykt, intuicja, mocna psychika to ważne cechy dobrego prywatnego detektywa. Rozdział szósty.

Aurora uśmiechnęła się pobłaźliwie.

- Piszą tu też, że będę potrzebowała partnerki. - Caroli-

ne szukała odpowiedniego fragmentu. - O, proszę, rozdział czwarty. Siedzenie obiektów samochodem jest łatwiejsze, jeśli korzystamy z pomocy partnera. Jedna osoba prowadzi, a druga nie spuszcza wzroku z obiektu. I musimy wziąć twój samochód. Pięcioletnia toyota mniej się rzuca w oczy niż moje BMW.

- Postawmy sprawę jasno. Użyjemy mojego samochodu do śledzenia Tru Hallihana?

- Nie tylko będziemy go śledzić, lecz pozwolimy mu poznać, jak smakuje bycie śledzonym. Złapiemy go ze spuszczoneymi spodniami —, oświadczyła Caroline z gorzką satysfakcją w głosie.

- Brzmi to interesująco - oceniła Aurora. - Czy do tego właśnie jest nam potrzebny aparat fotograficzny? Zrobimy mu zdjęcie bez spodni? - Uśmiechnęła się flegmatycznie. - Zapowiada się niezła zabawa.

- Przyłapiemy go, kiedy będzie próbował przydybać Ellisa Stone'a. A jeśli się nam poszczęści, dopadniemy go w trakcie zdrady małżeńskiej.

Myśl o znalezieniu Hallihana w łóżku z inną kobietą, a zwłaszcza Marianne Stone, wywołała ból serca Caroline. Ale Tru zdradził ją i wystawił na pośmiewisko. Należy wyrównać rachunki i zamknąć raz na zawsze jakże wstrętne rozdział jej życia.

- Naszym głównym celem nie jest jednak przyłapywanie Hallihana bez spodni - dodała Caroline. - Weźmiesz aparat Darrella?

- Ależ ja się jeszcze na nic nie zgodziłam! Nie chodzi o samo udawanie detektywa, lecz o to, że nie zamierzam zrywać się o szóstej rano i czekać, aż Hallihan wyjdzie z domu. Nie widzę powodu.

- To jedyny sposób. Musimy... - Caroline gwałtownie kartkowała książkę - nadebrać mu na ogon wczesnym rankiem, ponieważ inaczej go nie znajdziemy. Słuchaj, Darrell wyjeżdża na zjazd programistów. Potrzebuję twojej pomocy. Jeśli nie skompromituję Hallihana, mogę się pożegnać z programem w telewizji. Muszę dać Ellisowi przynajmniej szansę wyrównania rachunków.

- Czy naprawdę chodzi o Ellisa? A może o ciebie?

- Nie wiem, co chcesz przez to powiedzieć - odparła Caroline, w obronnym geście krzyżując ręce na piersiach.

- Co między wami zaszło poza tym co oczywiste?

Caroline usiłowała nadać twarzy obojętny wyraz.

- Oczywiście?

- Przecież kochałaś się z nim - stwierdziła cicho Aurora.

- Nie!

- Nie kłam. Widzę to w twoich oczach.

- To nie była miłość. Tylko seks. Kłamstwo, oszustwo, udawanie. Tru Hallihan występował, by tak rzec, zawodowo. Zbierał dowody w sprawie rozwodowej Ellisa Stone'a. No i po drodze postanowił wykorzystać mnie, aby dostać to, czego potrzebował.

- Pytałaś go o to wprost? Dałaś szansę wyjaśnienia?

- Nie potrzebuję jego wyjaśnień - oznajmiła z uporem Caroline. - Muszę z tym skończyć. I dokonać zemsty.

- Szczerść to fundament szczęśliwego związku - przypomniała Aurora.

- Powiedz to panu Hallihanowi. Zresztą nie łączy nas związek. Spędziliśmy tylko noc w łóżku. Niefortunny incydent.

- Mówisz z lekkim sercem, ale w sumie trudno ci w to uwierzyć, prawda?

Caroline posłała przyjaciółce zirytowane spojrzenie

- Jeśli nie przestaniesz, sprawię sobie ołowiany hełm  
Bywają chwile, kiedy chciałabym zachować swoje myśli  
tylko dla siebie.

- Powtarzam ci od lat, że zawsze czytam w twoich  
myślach. Mam po prostu zdolności parapsychiczne, a cza-  
sem nawet telepatyczne. I jestem twoją przyjaciółką.  
Wiem, kiedy coś cię boli. Chcę jedynie pomóc.

- A więc pomóż i tym razem. Nie mogę ryzykować, że  
Tru zniweczy moje starania o własny program w telewizji.  
Trzeba go powstrzymać. Ellis Stone powiedział, że jest  
niewinny i wierzę mu. A jeśli Hallihan stara się udowodnić  
coś przeciwnego, musimy znaleźć na niego jakiś sposób.

Aurora westchnęła.

- Zgoda. Pomogę, jeśli mi coś obiecasz.

- Co?

- Kiedy już odkryjesz to, co zamierzasz, porozmawiasz  
z Hallihanem i wysłuchasz jego wersji, dobrze?

- No dobra, porozmawiam - mruknęła Caroline bez  
entuzjazmu i wyjęła z szafy beżowy płaszcz. - Trzymaj. To  
dla ciebie. Typowy uniform prywatnego detektywa.

Wzrok Aury wyrażał niesmak.

- Nie ma mowy, Caro! Wiesz, że jestem uczulona na beż.

- Obawiam się, że nie produkują tego typu płaszczy  
w kolorze fioletowym. Musisz go włożyć i już. Upnij też  
włosy pod czapką i włóż ciemne okulary. Punktualnie  
o szóstej rano wpadnę po ciebie. Tru późno wstaje, więc nie  
sądzę, żebyśmy miały dużo pracy przed ósmą, dziewiątą.

- Wezmę ze sobą rogaliki i kawę z mlekiem. I pyszną  
sałatkę z krabów. I karton soczków. I ciasteczka czekola-  
dowe.

- Nie jedziemy na piknik, Auroro.
- Czy w twoim podręczniku piszą, że prywatny detektyw żywi się nieświeżymi paczkami, i lura?
- Raczej nie. - Caroline otworzyła książkę na odpowiedniej stronie. - Każą nam tu przygotować gazety, ciemne okulary, kapelusze, ćwierćdolarówki na parkometr, aparat fotograficzny, lornetkę, papier i ołówek oraz butelkę o szerokiej szyjce.
- Po co?!
- Nie wiem, chyba... - Caroline z zażenowaniem przebiegła wzrokiem tekst. - *E* tam, będziemy korzystały z toalety w najbliższym barze.

Tru spostrzegł jadącą za nim granatową toyotę tuż za parkingiem przy Bachelor Arms. Zrobił parę skrętów, aby się upewnić. Tajemniczy samochód utrzymywał stałą odległość od niego. Od razu wyczuł amatorszczyznę. Zaczął się zastanawiać, kto mógłby go śledzić, lecz nikt nie przychodził mu do głowy. Postanowił więc rozwiązać tę zagadkę.

Zatrzymał się przed jakimś obskurnym barem. Toyota przystanąła niedaleko, przed pralnią chemiczną. Tru wysiadł i kątem oka zauważył w śledzącym go samochodzie dwie osoby w czapkach baseballowych i ciemnych okularach. Wszedł do baru, a po dziesięciu minutach wyszedł kuchennymi drzwiami i wślizgnął się od tyłu do pobliskiej pralni. Przez grubą szybę świetnie widział pasażerów toyoty. Natychmiast rozpoznał piękny profil Caroline, co wywołało jego wesołość. Do diabła, co ona wyprawia?

Za kierownicą siedziała nieznajoma kobieta. Spisał numer tablicy rejestracyjnej i cichaczem wrócił do baru. Za-

dzwonił do znajomego w wydziale komunikacji i poprosił o ustalenie właściciela wozu. Wypił kawę, zjadł grzanekę i wyszedł.

Chciał poświęcić rano na dokończenie raportu dla Simona Marshalla. Nie zdobył dowodu niewierności małżeńskiej Ellisa Stone'a, więc pragnął jak najszybciej pozbyć się tej sprawy. Tylko to stało na drodze wspólnej przyszłości z Caroline. Może ona nigdy nie dowie się o zleceniu Marshalla, a i on nie będzie musiał jej o tym opowiadać?

Papierkowa robota w biurze wydawała się jednak śmiertelną nudą w porównaniu z zabawą w śledzenie śledzącej go Caroline i jej towarzyszki. Następnym przystankiem była myjnia samochodowa. Cadillac z zaciągniętym dachem dwukrotnie przejeżdżał między szczotkami, a toyota oczywiście dzielnie robiła to samo. Tru zdążył jeszcze zadzwonić w sprawie numeru rejestracyjnego. Dowiedział się, że toyota należy do niejakiej Aurory Starr.

Nie spiesząc się, dotarł Santa Monica Boulevard do Venice Beach. Tam wysiadł z samochodu na miły, nadmorski spacer. Spostrzegł, że Caroline z Aurorą po chwili wahania ruszyły za nim. Żeby nie zgubiły go w tłumie wrotkarzy i plażowiczów, kupił specjalnie u ulicznego sprzedawcy zwariowaną czapkę w tygrysie paski.

Po raz kolejny wysiadł z samochodu na Hollywood Boulevard. Szedł szybkim krokiem, przystając przed witrynami. Ku jego zdumieniu Caroline zdecydowała się śledzić go sama. Kiedy wkroczył do baru ze striptizem i tańcem erotycznym, biedaczka prawie dziesięć minut zbierała się na odwagę, by przekroczyć próg.

Ujrawszy charakterystyczną tygrysią czapkę, usiadła przy barze i starała się nie zwracać na siebie uwagi. Tru dał



barmanowi dwie dwudziestodolarówki i szepnął na ucho instrukcje. Barman wzruszył ramionami i podszedł do Caroline.

- Co zamawiasz, panienko? Chcesz patrzeć, musisz pić.

Caroline zamówiła coś nieśmiało i poprawiła ciemne okulary.

- Nie mamy dietetycznej coli! - wrzasnął barman. - To nie lokal dla grzecznych damulek.

Tru zachichotał cicho na widok miny Caroline. Musiał jednak przyznać, że trzymała się dzielnie. Ale dlaczego w ogóle to robiła? Przecież nie miał nic do ukrycia. Ani panienek na boku, ani podejrzanych interesów, ani przeszłości kryminalnej. Wiedziała, jak zarabia na życie. Nie znała tylko jednego szczegółu - sprawy Ellisa Stone'a i Czyżby?...

Tru zmarszczył czoło. Przypomniał sobie dziwne zachowanie Caroline w jego gabinecie. Jeżeli coś odkryła, dlaczego nie chciała o tym otwarcie porozmawiać? To do niej niepodobne. Cóż, musiał ciągnąć tę grę w kotka i myszkę. Czas na wielki finał.

Tancerka wijąca się na scenie w rytm muzyki zbliżyła się do Caroline i podrygiwała uśmiechnięta, aż ta, zażenowana, ukryła twarz w dłoniach. Wtedy Tru podszedł do niej.

- Nie jest taka zła. Chciała ci udzielić lekcji tańca - powiedział pochylony nad uchem Caroline, przekrzykując muzykę.

Odwróciła się i zerwała okulary.

- To ty! Wiedziałeś, że cię śledzimy! Wszystko ukartowałeś!

Tru usiadł obok i odesłał tancerkę machnięciem ręki.

- Na twoim miejscu nie zmieniałbym zawodu. Ty i twoja przyjaciółka nie nadajecie się na detektywów. Trąbiący autobus mniej się rzuca w oczy.

- Doprawdy? Nie potrzebowałam się wysilać, aby odkryć, o co ci chodzi - stwierdziła wściekła.

Rozejrzył się po barze i wzruszył ramionami.

- Nie podoba ci się, jak spędzam popołudnia?

- Nie o tym mówię!

Pieszczotliwie chwycił jej dłoń, lecz wyrwała się. Chłódna jak lód, beznamiętna. Zaniepokoił się nie na żarty.

- W porządku. Poddaję się. O czym mówisz?

- Kiedy zamierzałeś mi powiedzieć o śledzeniu Ellisa Stone'a?

Zacisnął zęby. Do diabła, ale pech. Wiedziała. Skąd?

- Jak to odkryłaś?

- Nieważne. Odpowiedz!

- Wcale nie zamierzałem ci powiedzieć - oświadczył cicho.

- Co? - dopytywała się, przekrzykując dudnienie głośników.

- Nie zamierzałem ci powiedzieć! Moich klientów chroni tajemnica zawodowa.

Zerwała się z krzesła.

- Wspaniale! - roześmiała się szyderczo. - Bez zmruczenia oka chciałeś zniszczyć moją karierę i marzenia, a jednocześnie zaciągnąłeś mnie do łóżka. Cudowny początek naszego związku! Cieszę się, że zdobyłeś się na szczerość.

Ściągnęła czapkę i z potarganymi włosami ruszyła do wyjścia.

- Wcale tak nie było, Caroline! - zawołał za nią.

Dogonił ją na ulicy. Przeciskała się przez tłum turystów i cudaków, których zawsze pełno w centrum Hollywood.

- Puść mnie! - syknęła. - Nie mam ci nic do powiedzenia,

- Caroline, po prostu nie było o czym opowiadać. Zrezygnowałem z tej sprawy.

Chwycił ją za rękaw, lecz uderzyła go łokciem w brzuch.

- Cholera, Caroline, posłuchaj! Zrezygnowałem z tej sprawy. Powiem Simonowi Marshallowi, że nie znalazłem żadnych dowodów.

Zatrzymała się i gwałtownie odwróciła.

- Kto to jest Simon Marshall?

- Teść Ellisa. To on mnie wynajął. Proponował dwadzieścia tysięcy dolarów za udowodnienie niewierności Ellisa. Niczego nie ustaliłem. To właśnie zamierzam mu powiedzieć. Tak wygląda prawda, Caroline.

Rozpłakała się i pokręciła głową.

- I mam w to wszystko uwierzyć? Kłamiesz jak z nut.

- Mówię prawdę. Przysięgam.

Spróbowała uśmiechnąć się przez łzy.

- Zawsze w twojej obecności zastanawiałam się, czy oszalałam. Jakaś irracjonalna siła pchała mnie ku tobie. Nie mieliśmy ze sobą nic wspólnego. Nic, na czym można by budować związek. - Pociągnęła nosem i otarła łzy. - Nic oprócz szczerości. A teraz i tego nie mamy. Zwariowałam, sądząc przedtem, że przed nami jest jakaś przyszłość.

Chciał ją przytulić, ale cofnęła się o krok.

- Jestem teraz szczery, Caroline. Kocham cię. Musisz mi uwierzyć. nigdy bym cię nie skrzywdził.

Słowa same cisnęły się na usta. A kiedyś myślał, że

nigdy nie przejdą mu przez gardło. Kochał ją i był tego pewien.

Dumnie uniosła podbródek.

- Już mnie skrzywdziłeś. Podjęłam decyzję, Tru. Nie mamy przed sobą przyszłości. Nie chcę cię. I nie kocham.

Hallihan poczuł, że w jego sercu obraca się wielki nóż.

- Żegnaj, Tru.

Odeszła w stronę samochodu przyjaciółki. Oszołomiony Tru zaklął i odprowadził wzrokiem jedyną kobietę, którą w życiu kochał. Nie mógł nic zrobić, aby ją zatrzymać.

scandalous

## ROZDZIAŁ

# 9

Fotel z podnóżkiem zaklinował się w drzwiach mieszkania Hallihana. Garrett i Josh pchali go od wewnątrz. Tru obserwował ich z korytarza.

- Nie rusza się - burknął Garrett. - Jak, do diabła, wniosłeś to tutaj, kiedy się sprowadzałeś?

Tru wzruszył ramionami.

- Nie pamiętam. Może już tu stał? - Popatrzył na uparty mebel i przelazł przez oparcie z powrotem do pokoju.

- Odpocznijmy i obmyślmy nową strategię. Ta się nie sprawdziła.

- Może potrzebujemy piły łańcuchowej? - mruknął Garrett.

- Musi istnieć jakieś rozwiązanie - stwierdził Josh. - To kwestia geometrii.

Wyjął taśmę mierniczą i zaczął badać wymiary fotela.

Tru przyniósł z kuchni trzy piwa.

- Przede wszystkim nie wiem, po co się przeprowadzasz - oświadczył Garrett, padając na tapczan. - Nawet gdyby mi dopłacili, nie zamieszkałbym w miejscu nawiedzonym przez duchy.

- Amberson szuka lokatora do 1G, a ja chciałbym mieć

większe mieszkanie. Szkoda tylko, że plotki wcale nie obniżyły czynszu. A przecież pozwolę damie z lustra mieszkać razem ze mną.

- Nie wyniesiesz lustra? - zapytał Garrett.

- Amberson twierdzi, że nie można go zdjąć ze ściany.

I nie wiem, czy się nie da, czy nie wolno. Nie zamierzam się jednak kłócić. Poza tym już widziałem tę panią. Drugi raz nie przyjdzie.

Garrett natychmiast podniósł wzrok znad pisma, które przeglądał.

- Widziałeś ją?

- Jak ciebie teraz.

- Zaraz, zaraz. Chyba nie sądzisz, że w to uwierzę?

- Uwierz lub nie. Nie zależy mi. Mówię prawdę. Sześć czy siedem tygodni temu. Zaraz po tym jak poznałem Caroline Leighton - wyjaśnił zamyślony Tru.

- Czyli Carly Lovelace?

Tru kiwnął głową. Od razu wróciła fala wspomnień, uczuć. W uszach brzmiał urzekający głos, chociaż od czasu rozstania nie słuchał jej programów. Przypomniał sobie zapach włosów Caroline i żywe zielone oczy. Drobiazgi, które nagle wydały się ważne.

- Powiedz, co ci się spełniło. Marzenie czy koszmar?

- zażartował Garrett.

Tru pokręcił głową i podniósł pudło z książkami.

- Nie wiem, do diabła. Wciąż usiłuję to ustalić.

Właściwie od czterech tygodni nie robił nic innego. Sądził z początku, że łatwo o niej zapomni, lecz z każdym dniem nabierał pewności, że wspomnienia nie odejdą. Każda noc potwierdzała obawy. Caroline pojawiała się w snach - delikatna i uwodzicielska. Budził się, nie znajdował jej

przy sobie i spacerował po pokoju tam i z powrotem, aż podniecenie mijało i ogarniało go zmęczenie.

Josh chwycił następny karton książek i w ślad za Hallihanem sforsował oparcie fotela.

- Zdaje się, że Caroline Leighton załazła ci solidnie za skórę - stwierdził, doganiając detektywa na korytarzu.

Tru obejrzał się zdumiony. Nie zdawał sobie sprawy, że Josh słuchał jego rozmowy z Garrettem.

- Tak - przyznał. - Byłem w niej zakochany. I wciąż jestem.

Setki razy podnosił słuchawkę telefonu, żeby do niej zadzwonić. Setki razy kusiło go, aby pójść do jej gabinetu i zmusić Caroline do rozmowy. Ale kiedy przypominał sobie ostatnie minuty spędzone razem i bolesne pożegnanie, tłumił w sobie pragnienie spotkania. Cóż, kiedy pragnienie wracało.

Josh zmarszczył czoło.

- Kochasz ją?

- Tak.

- To dlaczego z nią nie jesteś? - spytał Josh z właściwą sobie bezpośredniością.

Tru zastanawiał się przez chwilę, a potem uśmiechnął.

- Nie wiem. Może powinienem?

- Zważywszy na twoje uczucia, miałyby to sens - podsumował rozsądny przyjaciel.

W milczeniu zeszli po schodach do mieszkania 1G. Większość rzeczy Hallihana już przeniesiono. Na górze został tylko tapczan, fotel z podnóżkiem i skromna zawartość lodówki.

Za każdym razem, kiedy wchodził do 1G, przypominał sobie pierwszą wizytę w tym mieszkaniu. Teraz również. Postawił pudło na podłodze, podszedł do lustra i czekał.

Widział jednak jedynie własne odbicie. Nie golił się od tygodnia, schudł, a pod oczami pojawiły się sińce od niewyspania.

Przycesał dłonią włosy, odwrócił się i zaczął ustawiać na półce swój zbiór powieści kryminalnych.

- Garrett uważa, że powinieneś złapać wiatr w żagle - oznajmił Josh. - Chodzi mu chyba o to, żebyś przestał myśleć o Caroline i umówił się na randkę z kimś innym.

- Nie mam nastroju.

Pożółkłe książki z pozaginanymi rogami zmieniły życie Tru. Kończył ból po odejściu matki. Pozwalały zapomnieć o schłym ojcu. Powinien odnowić znajomość z ich bohaterami.

- Nie pomoże ci litowanie się nad sobą - powiedziała Josh. - Jeśli ją naprawdę kochasz, powinieneś przyjemniej spędzać czas.

- Co proponujesz?

- Zadzwoń do niej. Idź do niej. Poślij jej kwiaty. Napisz wiersz. Pokaż, co czujesz i nie rezygnuj, dopóki jej nie odzyskasz.

Hallihan popatrzył na niego z niedowierzaniem. nigdy przedtem Josh nie udzielał mu rad. Kiedy rozmowa scho-  
dziła na kobiety, zamieniał się w obserwatora.

- Josh, czy wiesz, co mówisz?

- Wiem, że jej nie odzyskasz robiąc to, co robisz, czyli nic. - Josh podszedł do lustra. - W takich sytuacjach jak twoja najlepiej zająć postawę aktywną.

- Sądzisz, że powinienem starać się ją odzyskać?

- Zdecydowanie tak.

- Nie będzie chciała mnie widzieć.

- To nie ma znaczenia - oświadczył Josh, badając mo-  
sięzną ramę zwierciadła.



- Ale powiedziała...
- Skoro znalazłeś kogoś, z kim pragniesz spędzić resztę życia, uważaj się za szczęściarza - przerwał Josh. - I nie pozwól, żeby cokolwiek stanęło ci na drodze.

W sercu Tru zapłonęła iskierka nadziei. Może zdoła odzyskać Caroline? Może zechce zapomnieć o przeszłości, spróbować raz jeszcze? Instykt mówił mu, że Caroline równie ciężko jak on przeżyła rozstanie.

- Jutro po południu Caroline nagrywa pierwszy program w telewizji. Garrett mi powiedział. Idź tam i porozmawiaj z nią.

Tru uśmiechnął się szeroko.

- Może powinienem. I może pójde. - Byle jak ustawił resztę książek na regale. - Chodź, zobaczmy, czy McCabe poradził sobie z fotelem.

Ruszył do drzwi, lecz Josh nie poszedł za nim. Stał jak słup soli przed lustrem, wpatrzony we własne odbicie.

- Idziesz? - Klepnął przyjaciela po ramieniu. - Dobrze się czujesz?

Josh podskoczył jak oparzony.

- Tak. Jasne. Świetnie. Idziemy.

Tru uśmiechnął się.

- Na pewno wszystko w porządku? No to chodźmy. Muszę wpaść w parę miejsc i starać się o względy pewnej damy, tymczasem drogę zagroził mi fotel.

Godzinę później ogolony i wykapany Tru zaparkował cadillaka przed biurem firmy Marshall Enterprises. Strażnik w holu zaszczycił go tylko znudzonym spojrzeniem. Recepcjonistka przed gabinetem Marshalla sprawiła więcej trudności.

- Nie, nie jestem umówiony. Proszę po prostu powie-

dzieć panu Marshallowi, że chce się z nim widzieć Tru Hallihan.

Wzrok kobiety potrafiłby przemienić mleko w kefir.

- Obawiam się, że pan Marshall nie przyjmie nikogo, kto nie był wcześniej umówiony - stwierdziła z zawodową wyniosłością, a zarazem protekcyjnie.

- Mnie przyjmie - zapewnił Tru. - Proszę tylko mu powiedzieć.

Prychnęła, podniosła słuchawkę i nacisnęła brzęczyk interkomu. Po dziesięciu sekundach Tru został uprzejmie odprowadzony długim korytarzem do mahoniowych drzwi. Marshall powitał go na stojąco, z uśmiechem oczekiwania na rumianej twarzy.

- Hallihan! - zawołał. - Miło cię widzieć. Proszę, siadaj. Czy Louise ma przynieść coś do picia?

Tru był pewny, że Marshall zaraz skończy z uprzejmością. Na pewno nie zadowolą go wyniki śledztwa. Istniała jednak szansa, że się z nimi pogodzi, a może nawet zrezygnuje z mieszania się do małżeństwa córki.

Rzucił raport na biurko.

- Nie mam czasu na kawę - oświadczył. - Oto raport. Niczego nie znalazłem. O ile się zorientowałem, pański zięć nie zdradza żony.

Twarz Marshalla stężała. Usiadł za biurkiem i patrzył na Hallihana świdrującym wzrokiem.

- Wynająłem cię do konkretnego zadania, Hallihan. Wynająłem cię, żebyś znalazł dowody.

- Jeśli sugeruje pan, że powinienem je sfabrykować, to źle pan trafił.

- Właśnie widzę - odparł gorzko Marshall.

Tru oparł się o wypolerowany blat biurka.

- Jestem profesjonalnym detektywem, panie Marshall, i chociaż w branży działa wielu nieuczciwych ludzi, ja do nich nie należę. Prosił pan o śledzenie Ellisa Stone'a i wykonałem zlecenie. Nie znalazłem niczego świadczącego o niewierności małżeńskiej. A za dwadzieścia tysięcy dolarów nie zrezygnuję z zasad etyki zawodowej.

- Skoro nie chcesz dwudziestu tysięcy dolarów, na pewno znajdę kogoś, kto nie pogardzi taką sumą.

- Coś panu poradzę, Simon. Niech pan się trzyma z daleka od córki i jej męża. Ellis to dobry człowiek i kocha pańską córkę. Oby Marianne nie musiała wybierać między nim a panem, bo może podjąć decyzję, która pana nie ucieszy.

Tru odwrócił się i ruszył do drzwi, ale zatrzymały go słowa Marshalla.

- A ja myślałem, że dasz sobie radę z tą sprawą. Przyznaj się, to twoja porażka, co?

- Miał pan szczęście wynajmując właśnie mnie. Jestem najlepszy. Jestem uczciwy i zrobiłem kawał dobrej roboty dla pana. - Tru otworzył drzwi. - A tak przy okazji, na pana miejscu zwolniłbym strażnika z parteru. Zainwestowałbym też w kamery w holu i w windzie. Natomiast kiedy sekretarka prowadziła mnie do pana, zostawiła komputer bez opieki. Dobry programista w sekundę włamałby się do bazy danych. Szef ochrony pana firmy wyraźnie nie zna się na rzeczy. No cóż, to pańska porażka, prawda?

Obrzucił spojrzeniem oszołomionego Simona Marshalla i wyszedł. Słyszał, że tamten go jeszcze woła, ale się nie zatrzymał. Wręczył tylko recepcjonistce swoją wizytówkę.

- Pan Marshall spyta o mój numer telefonu. Proszę po-

wiedzieć, że będę w biurze jutro rano. Omówimy problemy bezpieczeństwa jego firmy.

Caroline przespacerowała się wzdłuż ciasnej garderoby, patrząc na swoje stopy w czarnych butach nabijanych ćwiekami.

Aurora, z nieodłączną talią tarota w rękach i z nogami przewieszonymi przez poręcz fotela, przyglądała się krytycznie przyjaciółce.

- Nie możesz ich włożyć - oceniła. - Nie pasują.

- Nieważne. Chcę je włożyć. Muszę je włożyć. Teraz wybierz mi odpowiednie ubranie. Przyniosłam cały ich stos.

- Ależ, Caroline, do tych butów pasowałyby tylko obcisła skóra i siatkowe pończochy. Nie możesz się tak ubrać do telewizji.

- Carly Lovelace włożyłaby te buty-wyjaśniła Caroline. - Jestem Carly Lovelace, więc je włożę.

- W takim razie czerwony kostium - poradziła Aurora.

- Czerwony? Naprawdę tak sądzisz?

- Naprawdę! A teraz ubierz się i odpręż. Udziela mi się twoje zdenerwowanie.

- Wyglądam na zdenerwowaną? - spytała Caroline z rozpaczą w głosie. - Nie chcę występować w takim stanie. Czuję się zdenerwowana. Nie powinnam czuć się zdenerwowana. Jestem dobrze przygotowana. Przeprowadziłam wywiad z zaproszoną parą, wiem dokładnie, co powiem i,...

- Siadaj!

Caroline posłusznie osunęła się na krzesło i zerknęła na przyjaciółkę.

- Powiedziałam kilkorgu pacjentom o programie - przyznała, strzepując z rękawa nie istniejący pyłek. - Poprosili, żebym nie rezygnowała z terapii, jeśli znajdę dla nich czas.

- To miłe - odparła Aurora, nie przestając rozkładać kart.

- Dzwoniłam też do rodziców. Nie byli zbyt uszczęśliwieni, ale będą mnie wspierać duchowo. Z pewnością prędzej czy później zasila publiczność w studiu. Widzisz więc, że naprawdę nie mam powodów do zdenerwowania i...

Wróżka zatrzymała wzrok na jednej z kart. Zmarszczyła brwi i przygryzła purpurowy paznokieć.

- Co widzisz w kartach? Powiedz, zła wróżba?

- Przecież nie wierzysz kartom - odrzekła Aurora.

- W tej chwili gotowa jestem uwierzyć we wszystko.

Proszę, powiedz.

Aurora uśmiechnęła się.

- Rycerz Mieczów na szóstej pozycji.

- Co to znaczy? Coś złego?

- Nie. Zwykle rozkładałam karty w formie krzyża celtyckiego, ale tutaj nie mam stołu i odczytuję je inaczej. Ta karta mówi, co cię czeka w najbliższej przyszłości.

- Spotkam rycerza z mieczem na koniu?

Aurora zachichotała i potrząsnęła głową.

- Ta karta symbolizuje dziarskiego, odważnego mężczyznę. Ciemnowłosa, ciemnooki. Silny charakter. Serce szczere. Nie podda się.

- Serce szczere - powtórzyła Caroline półgłosem. Zamknęła oczy. - Tru Hallihan, prawda?

- Tak bym to zinterpretowała.

- A czy istnieje inna możliwość?

- Czasem ta karta oznacza niepowodzenie, czasem zaś

koniec kłopotów, ale ja sędzę, że po prostu wkrótce znów spotkasz Tru Hallihana.

Caroline zasłoniła twarz dłońmi.

- Kiedy? Stanie na progu czy zadzwoni? Jak to będzie?

- Nie wiem. Może sama zadzwonisz?

- Nie - stwierdziła zdecydowanie Caroline. - Nie obchodzi mnie, co mówią karty. Nie zamierzam drugi raz zadawać się z Hallihanem.

- Ale go kochasz.

Caroline nerwowo zaciskała spocone palce.

- Czasem to nie wystarczy. Uwierz mi, przemyślałam tę sprawę. Zrobiłam setki list, ważyłam argumenty i zawsze dochodziłam do jednego wniosku: Tru i ja nigdy nie stworzymy trwałego związku.

- Ale go kochasz.

- Tak - westchnęła doktor Leighton. - Mam nadzieję, że z czasem uczucie wygaśnie. Muszę żyć własnym życiem i zapomnieć o nim.

Nawet w jej uszach te słowa zabrzmiały fałszywie.

- Zapominasz o kosmicznym przeznaczeniu - oświadczyła Aurora.

Pukanie wyrwało Caroline z rozmyślań. Aurora zerwała się z fotela i otworzyła drzwi.

- Chciałabym rozmawiać z doktor Leighton.

Do garderoby wkroczyła Marianne Stone. Caroline szybko wstała i zdobyła się na uśmiech.

- Jak się masz, Marianne?

Marianne niepewnie zerknęła na ekstrawagancką fryzurę wrózki.

- Dziękuję, świetnie. Czy możemy porozmawiać na osobności?

- Oczywiście - odezwała się Aurora. - Przejdę do salki makijażu. Doktor Lovelace powinna tam być za dziesięć minut.

- Siadaj, proszę. - Caroline wskazała krzesło.

- Raczej postoję - odrzekła żona Ellisa lodowato. - Mam tylko kilka spraw do przekazania.

Caroline zaniepokoiła się. Nie mogła sobie pozwolić na kłótnie tuż przed programem.

- Słucham?-zamaskowała nieufność służbowym tonem.

- Po pierwsze, chciałam przeprosić za moje zachowanie wobec twojego męża. Wiem, że Ellis nie miał z tobą romansu.

- Nie miał - potwierdziła Caroline cicho, wiedząc, ile znaczy takie wyznanie dla dumnej Marianne.

Marianne wzięła głęboki oddech.

- Ellis wspomniał, że radziłaś nam zwrócić się do psychologa.

- To chyba jedyny sposób na rozwiązanie waszych problemów. Ellis cię kocha i nie chce stracić. Powinnaś przypomnieć sobie smak uczucia, którym darzyłaś go na początku znajomości.

Marianne przygryzła drżącą wargę.

- Ja też go kocham. Nie mogłam znieść myśli, że on mnie zdradza. Nawet nie wiesz, jaka byłam o ciebie zazdrosna.

- Dlatego, że spędziłam trochę czasu z Ellisem?

- Nie. Dlatego, że masz szczęśliwe małżeństwo. Nie dzielą cię z Lance'em ani pieniądze, ani kariera. Widziałam, że nie wątpisz w jego miłość, i to mnie denerwowało.

Caroline westchnęła ciężko. Jakże mogła ciągnąć tę maskaradę, kiedy Marianne otwierała przed nią serce? Zresztą jakie to miało znaczenie dla publiczności, która przyszła do studia?

- Posłuchaj, Marianne, Lance i ja też przeżywamy problemy. Właściwie wcale nie jesteśmy małżeństwem.

Zdumiona Marianne zmarszczyła czoło.

- Co przez to rozumiesz?

- To długa historia. Od początku powinnam powiedzieć tobie i Ellisowi, że nie jestem mężatką. Mąż rozwiódł się ze mną przed trzema laty. Bałam się, że producenci telewizyjni nie zaproponują programu terapeutce, która nie umiała uleczyć własnego małżeństwa. Pewien mężczyzna zgodził się wystąpić w roli Lance'a. Chodziło o zakład pokerowy. O wszystkim powiem Ellisowi po nagraniu.

Marianne wybuchnęła serdecznym śmiechem.

- Dopóki ludzie będą oglądać twój program, żaden producent nie śmie cię zaczepić. Ale czy naprawdę wygrałaś męża w pokera?

- W pewnym sensie.

- Ellis i ja poznaliśmy się na premierze jakiegoś filmu. Ellis założył się z kolegami, że zgodzę się na randkę. Zakochałam się od pierwszego wejrzenia.

- Ze mną i Tru było chyba tak samo. Tyle że nie rozumiałam, co się dzieje - wyznała Caroline.

- Tru?

- Skrót od Truman. nigdy nie sądziłam, że zakocham się w takim mężczyźnie.

- Ellis też do mnie nie pasował. Masz jednak rację, trzeba opierać się na uczuciu. Czy znajdziesz czas, żeby nam pomóc?

- Z radością. Zadzwoń do mojego gabinetu i ustal datę spotkania.

Twarz Marianne wyrażała ulgę.

- Dziękuję za wszystko. Chyba nie musisz mówić Elli-



sowi o swoim małżeństwie. Publiczność też na razie może nic nie wiedzieć.

- Na razie?

Marianne zatrzymała się przy drzwiach.

- Cóż, może zdecydujesz się wyjść za Lance'a? A przy okazji, widziałam go, to znaczy Tru, na widowni. Wyglądał na bardziej zdenerwowanego niż ty.

- Co?! -jęknęła Caroline.

- Może nie powinnam o tym wspominać? Przypuszczałam, że wiesz.

Caroline uśmiechnęła się z trudem.

- Oczywiście. Tylko nie spodziewałam się go tak wcześniej. Zza pleców Marianne wyjrzała Aurora.

- Doktor Lovelace jest proszona do makijażu.

- No to powodzenia - stwierdziła Marianne. - Wiem, że wypadniesz rewelacyjnie. Ellis cię ceni. Twoje *talk show* odniesie wielki sukces.

Żona Ellisa wyszła, uśmiechnąwszy się do Aurory.

- Co jej się stało? - spytała wróżka podejrzliwie. - Połknęła jakąś tabletkę rozweselającą czy co?

Caroline wciągnęła przyjaciółkę do garderoby.

- Nieważne! Tru jest wśród publiczności!

Aurora klasnęła w dłonie i zatańczyła.

- Rycerz Mieczów tutaj? Widzisz? Mówiłam, co się zdarzy. Teraz mi wierzysz?

- Musisz kazać mu wyjść. Nie będę się mogła skupić w jego obecności!

- On nie wyjdzie. To Rycerz Mieczów. Rozsądny człowiek.

- Każ mu wsiąść na konia i odjechać. Inaczej nie poprowadzę programu.

Wróżka chwyciła przyjaciółkę pod ramię i ruszyła do drzwi.

- Ależ poprowadzisz. Trójka Kielichów była na dziesiątej pozycji. Sukces, pomyślność, zwycięstwo. Nie masz się czym martwić.

Caroline jęknęła, usiłując opanować przerażenie. Żałowała, że nie może uwierzyć przepowiedniom Aurory. Wtedy nie obawiała się, że poniesie największą w swej karierze porażkę.

Wciśnięty w fotel Tru obserwował wejście Caroline na scenę. Wyglądała na zdenerwowaną, niepewną i bezradną. Pragnął podbiec do niej, wziąć w ramiona i odgonić jej strach. Wiedział jednak, że to niemożliwe.

Ale z każdą chwilą nabierała pewności siebie. Oto do akcji wkraczała doktor Carly Lovelace. Przez piętnaście minut zadawała pytania zaproszonemu do studia mężczyźnie. Potem nastąpiła przerwa w nagraniu. Caroline rozglądała się po sali, jak gdyby szukając na twarzach akceptacji. Przez następne piętnaście minut na pytania prowadzącej odpowiadała żoną mężczyzny.

Atmosfera zagaściła się, kiedy na scenę powrócił mąż. Tru z początku z rezerwą odnosił się do formuły *talk show*. Spodziewał się widowiskowego prania małżeńskich brudów. Musiał przyznać, że Caroline dyskretnie i taktownie „sklejała” skłóconą parę. Zachowywała się swobodnie i pewnie. Doskonale panowała nad sytuacją, a publiczność wprost ją pokochała. Była po prostu naturalna. Ellis miał co do tego rację.

Nadszedł czas zadawania pytań przez publiczność. Tru mimowolnie ustawił się w kolejce do mikrofonu.

- Już ostatnie pytanie - zapowiedziała Caroline.

Spostrzegła go przy mikrofonie i zamarła.

- Obawiam się, że nie zdąży pan go zadać - oświadczyła gładko.

- Właściwie to nie pytanie, tylko sytuacja hipotetyczna.

- Na to również nie mamy już czasu.

Publiczność obserwowała ich słowną potyczkę niczym mecz tenisowy. Oczy zwracały się to na Caroline, to na Hallihana.

- Proszę mu pozwolić zadać pytanie - krzyknął ktoś na widowni.

Caroline powoli podeszła do skraju sceny. Kamery położyły za nią. Reżyser programu, kobieta, machnęła przyzwalająco. W razie czego mogła przecież wyciąć ten fragment nagrania.

Caroline odprężyła się wreszcie, uśmiechnęła, a zielone oczy rozblęły. Tru wiedział, że jest na dobrej drodze.

- Miałem cudowną żonę - zaczął - ale popełniłem pewien błąd, którego ona nie potrafiła mi wybaczyć. Straciłem ją. W jaki sposób odzyskać jej miłość?

Tru sądził, że zakłócenie formuły programu spotka się ze sprzeciwem i interwencją producentów, lecz chyba wszyscy zdawali sobie sprawę, że na ich oczach rozgrywa się coś bardzo ważnego.

- Czy żona nadal pana kocha? - spytała cicho Caroline.

- Tak myślę. Nie wiem. A co pani sądzi?

- Sądzę, że głęboko ją pan zranił. Ufała panu, a pan ją zawiódł.

- Nie chciałem. Odkryła pewną sprawę, której nie zdążyłem załatwić.

- Może gdyby powiedział jej pan prawdę, zrozumiałaby. Powinien pan przynajmniej spróbować.

- Nie chcę jej stracić. Liczyłem na wspólną przyszłość.  
- Czy obiecuje pan od tej chwili być z nią szczerzy?  
Otwarcie o wszystkim porozmawiać?

- Obiecuję złapać księżyc na łące, jeśli mi pani pomoże.  
Caroľine zamruęała, aby odgonić łzy i uśmiechnęła się.  
- Pomogę panu w rozwiązaniu tego problemu. Proszę  
poczekać po programie. Udzielę bezpłatnej porady.

Zwróciła się do kamery po prawej stronie sceny.

- Dziękujemy, że oglądali nas państwo dzisiaj, i zapraszamy na jutrzejszy program „Małżeństwo doskonałe”.  
Doktor Carly Lovelace przypomina: wracajmy do fundamentów miłości małżeńskiej.

Nagranie zakończyło się, a publiczność nagrodziła terapeutkę rześystymi oklaskami. Para na scenie padła sobie w ramiona i płała. Caroľine podeszła do pogodzonych małżonków.

Zadowolony Tru wrócił na miejsce. Zrobił co w jego mocy. Reszta zaleęała od Caroľine. Przez dwadzieścia minut czekał w opustoszałym, ciemnym studiu. Nie chciał przeszkadzać w świętowaniu sukcesu. Bał się zakłócać radość Caroľine.

Rozległy się kroki. Caroľine z ogromnym bukietem róż szła między rzędami krzesel. Tru wstał i ruszył w jej stronę.

- Byłaś wspaniała. Publiczność cię pokochała.

Uśmiechnęła się i musnęła policzkiem jedną z róż. Zaciśnął pięści, wyobrażając sobie dotyk jej skóry.

- A ty?

- Ja kocham cię bez względu na wszystko.

Pragnął przygarnąć ją do siebie, objąć mocno, poczuć każdą słodką kragłość, każdą kosteczkę. Delikatnie położył dłoń na jej policzku. Zamknęła oczy.

- Przepraszam, Caroline. Popęłniłem błąd. Obiecuję jednak, że przez resztę życia odkupię winę wobec ciebie. Uczynię cię szczęśliwą. Będę cię kochał tak, jak nikt inny by nie potrafił.

Pochylił się i całował ją długo, namiętnie. W jej oczach widział miłość, zaufanie i wspólną przyszłość.

Odetchnęła głęboko, a na jej twarzy pojawił się promienny uśmiech.

- Rozumiesz, że to nie będzie łatwe?

Roześmiał się i nie dbając o róże, chwycił Caroline w ramiona.

- To, co ma wartość, zawsze przychodzi z trudem, doktor Leighton.

scandalous